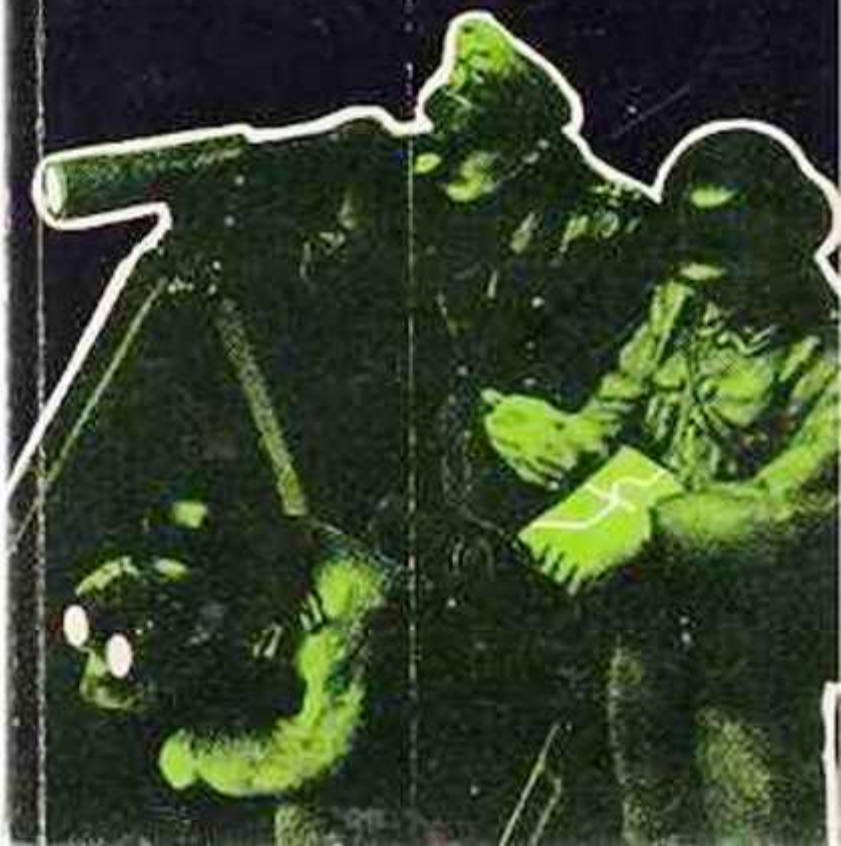


Stanisław Brożkiewicz



Abwehra straciła trop



Stanisław Broszkiewicz

*Abwehra
straciła trop*

WYDAWNICTWO „ŚLĄSK”

Okladkę projektował
Andrzej Kacperek

Copyright by Stanisław Broszkiewicz, Katowice 1960

ISBN 83-216-0437-4

Redaktor
Elżbieta Spadzińska

Redaktor techniczny
Zbigniew Laszek

Redaktor
Krystyna Kossak

Wydanie 3.

Nakład 50 000+150 egz.

Ark. wyd. 8,0. Ark. druk. 5,5 Papier druk, mat, kl. V/70 g Bl.

Druk ukończono we wrześniu 1984 r.

Symbol 32492/L

Zakłady Graficzne w Katowicach,
ul. Armii Czerwonej 138
Zam. 1362/1100/83 – U-10

Kryptonim „Gefreiter”

I

Godziny mroku

Młody, barczysty mężczyzna stanął w progu i rozejrzał się po sali. Orkiestra właśnie skończyła grać i pary rozchodziły się ku rzędom krzeseł ustawionych pod ścianami. Zabawa w gmachu Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu dobiegała końca. Młodzi radzi by się jeszcze pobawić, ale było to połączone z ryzykiem powrotu nocą, ulicami miasta, które od dnia pierwszego powstania pełne było niemieckiej policji, grenzschtzu oraz terrorystycznych bojówek, którym dano nazwę strosstruppów. I tak, choć dobiega dopiero godzina dziewiąta, chłopcy z kompanii ochrony będą musieli odprowadzić do domu przede wszystkim dziewczęta. Ochrona gromadziła się w korytarzu, sprawdzając, czy pistolety tkwią mocno za paskami spodni.

Wysoki, barczysty mężczyzna ubrany był w długi wojskowy, niemiecki płaszcz bez naramienników. W rękach obracał cyklistówkę. Usunął się na bok, by zrobić miejsce wychodzącym, i patrzył bacznie w ich twarze. W pewnej chwili powiedział cicho: – Teresa... Szczupła blondynka o zadartym nosku podniosła wzrok i patrzyła w twarz wysokiego mężczyzny, a jej duże szare oczy rozszerzały się w niepomiernym zdziwieniu i lękliwej radości.

– Ty... żyjesz, Antek!?

Antoni wziął ją pod łokcie, uniósł do góry i pocałował w usta.

– Widzisz sama. Żyję. No, Tereska, nie becz. Tereska, teraz wszystko będzie dobrze...

Dotykała palcami jego twarzy, włosów, piersi, jakby się chciała przekonać, że to naprawdę on, żywy, obecny.

Szli słabo oświetloną ulicą mocno przytuleni. Antoni prowadził Teresę z lewej strony. Musiał mieć wolną prawą rękę. Trzymał ją w kieszeni płaszcza na chłodnej kolbie wojskowego ortgiesa, z którym nie rozstawał się od Verdun, a który miał zawsze przy sobie w dniach rewolucji i w czasie swej długiej wędrówki przez Niemcy i Polskę.

– Ja jedna wierzyłam, że żyjesz. Franek rozpowiadał, że rozstrzelali cię marynarze w Bremie.

– Marynarze? A cóż marynarze mogli mieć do mnie? Kto by mnie mógł sprzątnąć? Chyba „Kaisertreu”.* Ci w Magdeburgu, jak mnie obskoczyli na peronie, to...

* Wierni cesarzowi.

– A ja wierzyłam, Antek. Mnie coś mówiło. Po nocach. Wiesz? Mam wszystkie twoje listy z frontu, pokażę ci. Antek, przestań, jeszcze kto zobaczy! No, Antek, kochany, daj spokój...

– Więc idź pierwsza i przygotuj jakoś matkę. Powiedz jej, że ktoś mnie widział za kordonem, w Sosnowcu. Idź już...

...Stanął przy oknie i patrzył przez szparę w okiennicy. Zobaczył ich wszystkich: matkę dłubiącą coś na drutach, ojca za płachtą „Gazety Opolskiej”, brata Janka zszywającego dratwą podarty but i wreszcie wchodzącą Teresę.

Ogarnęło go uczucie, jakiego doznawać musi dowódca floty, kiedy widzi, że po burzy wszystkie jego okręty zawinęły do portu. Zobaczył, że Teresa coś mówi, że matka wstaje i nagle pada... Nie czekał dłużej.

W ogóle nie umiał czekać. Do domu wrócił od wschodu, z Polski.

Tam dążył przede wszystkim, licząc, że wybuch powstania oznaczać będzie polską interwencję zbrojną na Śląsku. Zaciągnął się do armii, lecz pułk, w szeregach którego miał wkroczyć do rodzinnego Bytomia, poszedł bić się o Polskę pod... Kijowem. Wyjednał zezwolenie na przejście kordonu jako działacz plebiscytowy. Zatrzymywano go jeszcze w Sosnowcu: – Zaczekaj parę dni, wrócisz do Bytomia w mundurze. – Nie chciał czekać, nie umiał. I oto znalazł się w czerwcu 1920 roku w mieszkaniu rodziców, w odrapanym „familoku” przy małej uliczce koło rynku.

*

Groźny, posępny ryk niósł się jak burza ulicami Katowic. Tłum napierał od Rynku, od Bogucic, wciskał się ulicami: Dyrekcyjną, Wodną, Stanisława. Tłum zbrojny był w pałki, laski, noże, kastety, rewolwery. Niemiecka policja skwapliwie usuwała mu się z drogi, niektórzy zaś policjanci, zdjawszy kaski, mieszały się z tłuszcą. Tłum parł tam, gdzie nad gmachem hotelu „Deutsches Haus” powiewała biało-czerwona flaga. Za zabarykadowanymi drzwiami stało z pistoletami w rękach kilku urzędników Polskiego Komisariatu Plebiscytowego. Na zewnątrz tysiące wykrzywionych twarzy pałających żądzą gwałtu i mordy, tysiące rozwartych ust:

– Raus mit Polenkoenig Mielecki! Raus mit Polen!*

* Precz z „królem polskim” Mieleckim!

Wewnątrz ktoś odkłada słuchawkę telefonu i mówi: – To już koniec. Francuzi nie będą interweniować, uważają, że to nic groźnego. Odlóżcie broń, może jakoś ocalejemy...

W tej chwili z brzękiem sypią się szyby i trzeszczą drzwi wejściowe uderzane taranami ławek. Tłum wyje, napiera, wlewa się do wnętrza...

Wysoki, barczysty mężczyzna przeciska się przez szturmujących, już się wyforował, już jest na czele. W rękach ściska sękatą łagę,

woła: – Prędeż! Żywiej! Czego się guzdrzecie, barany? Boicie się tych paru polskich szczurów?! Nieder mit Polen!!!* Rozwścieczony tłum wdziera się przez rozwalone drzwi. Uderzają pałki i kastety. Ktoś, jęcząc, wali się na ziemię, ktoś zasłania twarz przed ciosami kolby. Któryś z napastników z wrzaskiem chwytą się dłońmi za przestrzelony brzuch... Wysoki, barczysty mężczyzna już jest na pierwszym piętrze, wymachuje laską i woła: – Odważni za mną! Na górę, na drugie piętro! Tam są wszystkie dokumenty tej bandy!

* Precz z Polakami!

Kilkudziesięciu napastników biegnie za nim sadząc po kilka stopni naraz, już równają się ze swoim przywódcą, już go mijają, łowiąc w biegu jego chrapliwe komendy: – Na drugim piętrze! W kasach pancernych! Pruć kasy pancerne!

Z okien „Deutsches Haus” lecą biurka, stoły, krzesła, portrety i chorągwie. Z balkonu skacze głową w dół młody człowiek o pokrzwawionej twarzy, w chwilę później szerokim łukiem szybuje krwawy kadłub, uderza o bruk, tryska krew. Z bocznej ulicy wloką starszego człowieka w lekarskim kitlu. Trzyma on w dłoni stetoskop, tym małym kawałkiem gumy i drewna osłania twarz przed ciosami kolb. Poznał go tłum, ryczy: – Raus mit dem Polenkoenig! Raus mit Mielecki!!!

Człowiek w białym kitlu upada na bruk; podnoszą go kopniakami i uderzeniami kolb, niosą już martwe ciało, biorą zamach, rzucają do Rawy.

...Gdy z rozbitych drzwi komisariatu wychodzi wysoki, barczysty mężczyzna, tłum wita go rykiem radości. To on, to przecież on ich powiodł w głąb polskiej twierdzy. Niech żyje!!!

Bohater rozgląda się niepewnie, jest najwyraźniej speszony. Ta skromność jedna mu jeszcze większą sympatię, wyciągają się doń setki uwalanych krwią dłoni. Podbiega jakiś mężczyzna, w którym mimo cywilnego stroju poznać można wojskowego. Otwiera ramiona:

– Anton! Nie poznajesz mnie?!

Antoni mruga oczami, wreszcie uśmiecha się: – Ależ tak, Siegfried, poznaję, jak się masz, stary druhu?

– Anton! Ja wiedziałem, że się w tobie odezwie prawa niemiecka krew! Jak się cieszę, żeśmy się spotkali! Jak ty jesteś z nami, Anton, szybko sobie poradzimy z tą świńską bandą! – Odwraca się do tłumu: – Koledzy! To jest chorąży Anton Kulik, bohater spod Verdun! Na jego cześć – dreimal hoch!!!

– Hoch! – odkrzykuje tłum rozstępując się przed bohaterem. Siegfried Mikke klepie Antka po ramieniu i raz po raz zapytuje: – Pamiętasz?

*

...Czy pamięta?

...Rakiety opadały powoli ku ziemi dogasając w chybottliwym blasku. Bunkry fortu Douaumont stały znowu nieme, z ich strzelnic przestał migotać ogień wystrzałów.

Uciszało się. Ciemniało niebo zapalone luną granatów. Na ziemi zrytej milionem pocisków leżeli nieruchomo bądź czołgali się nieporadnie ludzie, którzy jeszcze kwadrans temu byli trzecią szturmową kompanią 72 pułku piechoty, pułku, który tej nocy otrzymał rozkaz: zdobyć za wszelką cenę fort Douaumont, klucz obrony Verdun. Jeszcze parę minut temu ludzie ci biegli, strzelali, rzucali granaty. Teraz leżą lub pełzną do tyłu tłumiąc jęki, gdyż najcichszy nawet ludzki głos może wywołać ponownie wściekły ogień francuskiej artylerii.

W obszernym leju, mniej więcej pośrodku przedpola, w leju, którego dno wypełnia woda gęsta od krwi i błota, gramoli się dwóch ludzi. Obmacują się: są cali i zdrowi, potłuczeni tylko. Ich palce błędzące w ciemności odszukały głębokie okapy hełmów. Oddychają z ulgą – swoi.

Milczą długo, łapiąc oddech stracony w tym szalonym i przegranym biegu. Potem mówią szeptem cichszym niż wiatr, co obmiata

pobojowisko. Mówią o tym, że muszą się stąd wydostać, bo przed świtem wyjdzie francuski patrol i albo zakłuje ich bagnietami, albo weźmie do niewoli.

Ale bardziej prawdopodobne jest to pierwsze: pod Verdun oplaca się brać jeńca setkami, nigdy pojedynczo.

Dwaj ludzie w niemieckich hełmach postanawiają: rzucić granat daleko w bok, obojętnie – w lewo czy prawo i, odciągawszy uwagę nieprzyjaciela, skoczyć do tyłu, do swoich. Jeśli im się uda przebiec 150–200 metrów, są ocaleni, jeśli nie...

– Hoer mal, Kamerad* – szepce jeden z nich podnosząc się lekko, lecz w tej samej chwili przysiadła z sykiem.

* Posłuchaj, kolego.

Wytryska rakietą, płonie, opada, gaśnie.

– Co się stało, kolego?

– Nic. Mam zwichniętą nogę. W kostce. Uciekaj sam. Ja tu zostanę...

– Nie możesz chodzić? Nie możesz zrobić ani kroku?

– Nie. Wiej już. Niedługo świt. Na co jeszcze czekasz?

– Nic z tego, ja cię tak nie zostawię. Uważaj. Jak rzucę granat i odwrócę się, żeby wyskoczyć z leja, skacz mi na plecy. Tylko trzymaj się dobrze, bo jak spadniesz, nie wrócę po ciebie.

– Przepadniemy obaj.

– Dość gadania. Razem żeśmy wyszli z tej jatki, to może nam się razem uda do końca. Uwaga...

Ciszę i ciemność rozdarł grzmot i krótki, pomarańczowy błysk. Poszybowwały w to miejsce tysiące świetlnych pocisków z francuskich cekaemów, zagrały mózdzierze. Potykając się o trupy i porzuconą, potrzaskaną broń, biegł polem człowiek niosąc na plecach drugiego człowieka. Biegł wolno, drobnym truchtem, głośno rżęjąc z wysiłku. Gwizdały za nimi kule, goniły ich furkocące odłamki, dopędzał blask rakiet. Wreszcie przepadli w ciemności. Cekaemy z Douaumont omiały jeszcze przedpole gasząc jęki konających,

wreszcie umilkły.

Dwaj ludzie przyjrzeni się sobie w skąym świetle zawieszonoego w schronie kaganka. Teraz, gdy otarli z twarzy pot i błoto, gdy zdjęli hełmy, okazało się, że to dwaj młodzi ludzie, może nawet rówieśnicy. Przedstawili się sobie. Ten, którego przyniesiono, rzekł:

– Leutnant Siegfried Mikke.

Ten, który przyniósł, powiedział:

– Feldfabelleutnant Anton Kulik.

Uścisnęli sobie ręce. Siegfried Mikke odkręcił manierkę: – Napijemy się, panie chorąży. Nie dziękuję panu, bo... jak tu dziękować? Chcę tylko powiedzieć, że nigdy panu tego nie zapomnę, że może pan zawsze na mnie liczyć. W każdej sytuacji.

– Dziękuję.

– Proponuję panu przyjaźń. Przyjaźń na śmierć i życie.

– Zgoda.

– Pan jest Górnosłazakiem?

– Tak, jestem Polakiem.

– Hmm... a więc przyjaźń na śmierć i życie.

– Niech będzie.

Duszkciem opróżnili zawartość manierki, po czym podporucznik Mikke pokuszył w noc wsparty na ramieniu żołnierza. Chorąży. Kulik został jeszcze w okopie. Przez otwór strzelnicy patrzył w noc...

*

...Ale wrzeszczą! Tylko patrzeć, jak nadbiegną francuskie patrole. Jak kogo tu złapią, z tym nie będzie żartować międzyaliancka komisja. To, co się stało przed chwilą tu, w „Deutsches Haus” tego mogło być za wiele nawet dla wesołych Francuzów, flegmatycznych Anglików, nawet dla Włochów wyraźnie przychylnych Niemcom. Na wezwanie przywódców tłum rozchodził się powoli. Dwaj przyjaciele weszli w ulicę Dyrekcyjną.

– Gdzie jesteś teraz, Anton, u kogo? Mówią ci, chodź do mojego stosstrupu, będziemy razem. U nas jest wesoło, bracie.

– To się nie da zrobić, Siegfried. Mam inną robotę, nie mogę ci powiedzieć jaką. Jestem żołnierzem, sam rozumiesz.

Mikke rechotał przyjaźnie: – Rozumiem, mój stary. Wojsko, to wojsko. Ale powiedz: gdzie i kiedy się spotkamy?

– Dam ci jakoś znać. A teraz pryskam już. Zdaje mi się, że te ścierwa są na moim tropie.

– Już my ich...

– Do widzenia, Siegfried. Patrz, nadchodzą te żabojady...

Istotnie: opustoszałą ulicą Warszawską szedł patrol francuski. Żołnierze, pochyliwszy karabiny z długimi bagnetami, szli środkiem jezdni, patrząc na bruk zasłany trupami i połamanymi meblami. Jeden z „poilu” mruknął: – I po to gniłem w okopach pod Arras, żeby teraz patrzeć, co wyrabiają te brudne, szwabskie świny. Merde – splunął. Oficer skarcił go z miejsca: – Zamknij pysk, Gerard! Po czym poklepał go po ramieniu.

*

Kapitan Alfons Grzonka słuchał i twarz jego zasępiła się coraz bardziej. Tu nie chodziło o jedną zdradę więcej, tu szło o coś większego: o osobistą klęskę dowódcy okręgu, o jego prestiż komendanta, o jego sławę znawcy ludzi i ludzkich spraw. Wstał z krzesła, przeszedł się po pokoju.

Powiedział ostro:

– Upiliście się, Warzecha. Jeżeli jeszcze raz przydziecie do komendy w takim stanie, wyślę was za kordon i każę zamknąć.

– Komendancie!!!

– No, no, nie unście się, Warzecha. Przywidziało wam się i tyle.

– Kiedy nie ja jeden go widziałem, komendancie. Byli jeszcze „Kaczor”, Kozłowski i Miozga.

– Byliście, no i co?

– A co mogliśmy poradzić we trzech przeciwko tysiącom? Aleśmy go widzieli. I ja go widziałem, komendancie, jak was teraz widzę. On im przewodził, on pierwszy wpadł do gmachu, a potem to całe chacharstwo dało się na jego cześć, że aż mi się na rzyganie zbierało. No, już ja mu wsadzę kulę w łeb...

– To nie wasza sprawa. Idźcie i zwołajcie natychmiast odprawę dowódców obwodów. I niech przyjdzie oficer łącznikowy. Wyoście się już, człowieku, czy nie widzicie, że jestem zapracowany?!

Bojowiec wyszedł, a kapitan Grzonka usiadł przy stole i ukrył twarz w dłoniach.

...Jak tu można organizować, walczyć, działać, kiedy zdrada czai się na każdym kroku? Taki Kulik... niby to oddany ciałem i duszą, znakomity organizator, świetny dowódca ochrony, wytrawny konspirator, nieustraszony bojowiec. I kim się okazał?

W pokoju wisiał gęsty, siny dym. Uchyłono okno, ożywczy powiew nocy wdarł się do izdebki i chłodził spocone czoła. Był to któryś tam kwadrans odprawy.

– Sprawa jest jasna. Ale damy mu chyba możliwość wytłumaczenia się?

– Jeżeli przyjdzie. Teraz zrzucił już maskę na dobre. Może przyjść, ale... nie sam. Rozumiecie?

Ten i ów pomacał kolbę pistoletu. Kapitan wysłał człowieka z rozkazem wzmocnienia obstawy.

– Taak. No, to wy „Bremza” wykonacie wyrok. Łeb mu wciśnięcie pod poduszkę i lufę też. Nie trzeba tu huku.

– Rozkaz, komendancie!

„Bremza” wprowadził kulę do lufy parabellum, położył pistolet na stole i zapalił papierosa. Rozejrzał się z uśmiechem. Jemu nie pierwszozna zlikwidować zdrajcę. Ma ich już paru na sumieniu. W ciszy, jaka nagle zapadła, jał „Bremza” opowiadać jak to było z tym

pierońskim Markiem, który wydał orgeszom magazyn broni...

Kapitan spojrział na zegarek. Jeśli Kulik coś zmiarkował...

– Zamknijcie to okno, do pierona! Ziąb, że aż ciarki przechodzą!

Antek nie zdziwił się, ujrzawszy twarze, na których wypisana była śmierć. Mógł przecież przypuszczać, że tam, pod „Deutsches Haus” widzieli go nie tylko ci, którzy wiwatowali na jego cześć. Podszedł do stołu, stuknął obcasami: – Melduję swoje przybycie. Melduję, że...

– Milczcie! Oddać broń! Chłopczy, przeszukać go.

Drżącymi dłońmi dobył Antek pistolet, granaty, położył je delikatnie na stole i ponowił:

– Melduję, że...

– Będziesz odpowiadać, jak cię zapytają. Czyś to ty był w „Deutsches Haus” w czasie napadu?

– Tak, ja. I w tej sprawie...

– W tej sprawie właśnie. Wystarczy. Czy są jakieś pytania? Nie ma? „Bremza”! Wykonać!

„Bremza” podniósł się z krzesła i odchrząknął. Antek szarpnął się:

– Nie tak zaraz, komendancie, dobrze? Ja mam prawo wytłumaczyć. Jak skończę, możecie ze mnie krupnioki zrobić.

– Święte słowa. Więc gadaj, byle krótko!

– Było tak. Jechałem tramwajem od Chorzowa. I zobaczyłem, jak ta banda idzie na komisariat. Nigdzie Francuzów, a policja szła z tymi chacharami...

– Tak się to wyrażasz o kumplach?

– Zamknij pysk, teraz ja mówię! Jasne, że dla tych w komisariacie nie było już żadnego ratunku. Ale tam, w gmachu, w biurkach na pierwszym piętrze, były wszystkie dokumenty: spisy ludzi, adresy, punkty mobilizacyjne, wykaz magazynów broni. Gdyby to wpadło w ich ręce... sami rozumiecie...

Jeden z dowódców skoczył jak oparzony.

– Jak długo będziemy słuchać tych berów?! Wal mu w ucho, „Bremza”!

– Milczeć, ja tu rozkazuję! – Głos kapitana smagnął jak bicz. – Mów dalej, Kulik!

– Więc... więc udałem jednego z nich. Poprowadziłem ich do wnętrza i posłałem na drugie piętro, żeby pruli kasy, a sam pobiegłem do wydziału wojskowego i zabrałem papiery. Potem pomagałem wyrzucać krzesła, fakt. Potem...

Przerwał mu głośny śmiech. Komendant Pawlik zawołał:

– Fajnieś to obmyśli! Aleś ty mądry chłop, Kulik! A te papiery toś zgubił, nie? Albo ci kaj zabrali!

– Te papiery... słuchajcie no, Pawlik. Póki co, to zawrzyjcie ryjok i ściągacie kopyta, jak godocie do oficera!

– Do zdrajcy, do pierońskiego germona, do...

Grzonka huknął pięścią w stół: – Dość, Pawlik! A ty, Kulik, gdzie masz te papiery?!

Antek sięgnął pod marynarkę i rzucił na stół ciężki plik dokumentów. Potem powiedział: – Schowaj, „Bremza”, ta pukawka, bo ci ją do zadka wcisnę!

*

Z Teresą widywał się mało. Częściej niż z dziewczyną widzieć go można było jadącego na stopniach tramwaju czy buforach pociągu, bądź przemierzającego pieszo hałdy między Katowicami, Bytomiem, Królewską Hutą. W cyklistówce, w wojskowych butach, w krótkiej kurtce ułatwiającej szybkie ruchy, zjawiał się jak po ogień w Sosnowcu, by w kilka godzin później, mając za sobą ciężką przeprawę przez kordon, znaleźć się w Gliwicach i tam poprowadzić lekcję w tajnej szkole podoficerskiej. Wędrował zawsze ze swym nieodłącznym ortgiesem w kieszeni, parą granatów i sztyletem w pochwie wszytej w nogawkę spodni.

Do okna Teresy pukał najczęściej nocą. Jednym susem przesadzał niski parapet i wpadał do wnętrza pokoju pełnego dziewczynskiego ciepła i zapachu. Brał ją rozespaną, zachwyconą, drżącą i zaraz potem odchodził w noc. Patrzyły za nim oczy pełne łez. Kochał ją, prawda, kochał ją całą mocą swego twardego serca. Czyż nie kocha dziewczyny mężczyzna, któremu wszystko jedno, gdzie pięści ukochną: na łóżku, na ławce czy na stoku hałdy? Że się nie żeni... a jak się tu żenić w taki czas? Cały czas łązi pod rękę ze śmiercią, dnie i noce schodzą na pracy, służbie, walce. Trzeba by chyba serca nie mieć, żeby ją teraz pojąć...

– Tyś ostatnio trochę zgłupiała, Tereska. Widzisz co się dzieje. Lada chwila może znów wybuchnąć jakaś większa haratanina, a ty tylko: żeń się. No, nie bec, Tereska, będzie czas i na to!

Patrzała, kiedy mył się w miednicy prychając jak młody koń. Pod śniadą skórą grały mu żelazne muskuły. Klepał się po szerokich pierśiach i wołał radośnie: – No co, Terka, mosz ale chopa, nie?

Potem wkładał koszulę, którą mu wyprała, ubierał się, repetował rewolwer. Odchodził. Wracał.

Ze strachem nasłuchiwała, kiedy skrzypiał żwir w ogródku. A może ten, kto teraz zapuka w okno, to nie będzie już Antek? Może to jakiś kolega przyjdzie powiedzieć, że...

– Jerrunie, Tereska, cała woda z ciebie wyjdzie, jak będziesz się tak ślimtać!

Coraz mniej chętnym okiem patrzała na Antka stara Jochemczykowa, matka Teresy. Potrzebny akurat taki zięć, co tylko patrzy, gdzie łba nadstawić...

*

Major Bursa pochylał się nad mapą. W cywilnym ubraniu, w grubych binoklach w złotej oprawce wyglądał raczej na prokurenta bankowego niż szefa sztabu grupy POW. Pod ścianą siedzieli dwaj bojownicy trzymając na kolanach długie mauzery. Na strychu domu,

gdzie mieścił się sztab, stał karabin maszynowy wycelowany w ulicę. Licho nie śpi. Grenzschatze też...

– A więc mówicie, Kulik...

– Tak jest. Tam jest jeden wielki mętnik, majorze. Organizacja w zasadzie rozbita. Wszyscy się boją, nawet kontakt złapać trudno. W ogóle jest źle.

Major zastanawiał się chwilę. – Myśmy już o tym myśleli. Objęlibyście ten rejon, Kulik?

Antek omal nie krzyknął z radości. To przecież coś dla niego. Powiązać zerwane nici, zrobić porządek, zorganizować się na nowo, dobroić i pokazać germanom pazury. Samodzielny dowódca rejonu. Tak, to już jest coś!

Podrapał się po głowie. – Dobrze, majorze, tylko mam jeden warunek. Żeby mi się byle kto nie wtrącał do roboty, a już najmniej cywile z komisariatu. Jak ja mam być odpowiedzialny, to muszę mieć swobodę.

– Rozumiem. Ale wy, Kulik, jesteście trochę w gorącej wodzie kąpani. Trzeba również delikatnie. Wiecie, że Niemcy z byle czym lecą do aliantów i potem jest wrzask w Lidze Narodów.

– No dobrze. Ale jeśli Niemcy terroryzują naszych, to trudno, żebym się ubrał w ornat. I jeszcze jedno: żebym mógł sobie sam skompletować kadrę!

– Załatwione. Trzymcie się, chłopie.

Obaj oficerowie uścisnęli sobie dłonie. Gdy Antek wychodził, podszedł doń jeden z dwóch wartowników: – Weźcie mnie, komendancie, nadam się wam chyba.

– A coś ty za jeden?

– Ja jestem taki synek, który w osiemnastym roku rozstrzeliwał w Magdeburgu oficerów. Na froncie byłem w Syrii. Mam...

– Wystarczy. Pojedziesz ze mną.

Otrzymawszy nominację na komendanta rejonu północno-zachodniego, zaczął Antek kompletować swoją grupę. Wybierał

największych zabijaków, największych awanturników, ludzi bez rodziny. – Im mniej będzie po tobie płakało – mawiał – tym lepiej. Zgłaszali się więc do Antka i ci z pierwszego powstania, i ochotnicy zza kordonu: z Kongresówki, Galicji. Szli do niego i tacy, którzy kilkanaście lat służyli w Legii Cudzoziemskiej, i byli marynarze ze zrewoltowanych okrętów. Obowiązywał wstępny egzamin, który odbywał się w ten sposób, że delikwentowi wsadzano na głowę hełm i dawano granat do ręki. Kandydat na Antkowego kadrowca musiał granat odbezpieczyć i postawić go sobie na hełmie. Teraz musiał stać jak trusia, we własnym zresztą interesie. Jeżeli się nie poruszył, granat wybuchł na hełmie, krzywdy kandydatowi nie wyrządzając poza potężnym kopnięciem w ciemność i chwilowym ogłuszeniem. Nie wszyscy, oczywiście, wytrzymywali tę próbę nerwów.

Swoich ludzi wysyłał Antek pojedynczo lub małymi grupkami do rejonu. Sam miał się tam przenieść lada dzień.

Częściej odwiedzał Teresę.

– Jak ty mogłeś to zrobić, Antek? Ja wiem wszystko. Ledwo wyszedłeś ode mnie, już poleciałeś do tej dziewczyny. Jak ty mogłeś, Antek?

Siedzieli na ławeczce, na jednym z bytomskich skwerów.

Był sierpień. Duszny, upalny sierpień 1920 roku. Antek milczał. Bo i co odpowiedzieć? Czy zrozumie, że to tylko zbieg okoliczności, że właśnie kiedy wracał od niej, spotkał w pociągu tamtą dziewczynę? I w ogóle ta cała hajducka przygoda jest bez znaczenia. Tamta w pociągu... no tak. Miała kasztanowe włosy i czarne oczy o złotych iskierkach. Mimo woli uśmiechnął się na to wspomnienie. Więc od słowa do słowa. Dziewczyna miała chętne usta i miłe, jędrne ciało. No i co? Przecież nawet nie pamięta jak miała na imię! Ktoś musiał donieść o tym Teresie. Jeśli ktoś jest skrzywdzony, to właśnie on, Antek...

– Dzień i noc łba nadstawiam, ty wiesz po co. I robisz awantury

o jakąś tam... ty mnie, Teresa, wcale nie kochasz, i tyle.

Zaśmiała się cichutko, ze smutkiem.

– Ty, Antek, jesteś jak dziecko. A mówią o tobie, żeś mocny człowiek. I twardy. O tak, twardy jesteś. Jak kamień...

– Terka, co będziemy tam mówić o tym co było. Słuchaj. Ja teraz... wyjadę. Tak trzeba, Terka. Ale nic się nie bój, będę do ciebie przyjeżdżał.

– Co miesiąc będziesz przyjeżdżał? Toś dobry. Będziesz przyjeżdżał, dopóki cię gdzie nie utłuką.

– E, zaraz kraczesz. Czego ty właściwie chcesz ode mnie, Teresa? – Połapał się, że wyszło to okrutnie, więc zaraz się poprawił:

– O co ci idzie?

– A, już o nic. Nie musisz przyjeżdżać. Po co? Idź do swojej roboty, do swoich kumpli, do dziwek. – Nie! Nie dotykaj mnie!

Zerwała się z ławki i pobiegła. Wołał za nią, ale nie odwróciła głowy ani nie zwolniła kroku. Raz jeszcze mignęła za drzewami jej jasna sukienka. Przetarł pięścią czoło. Zaklął szpetnie.

Na skwerku było prawie pusto, tylko na sąsiedniej ławce siedziało w niedbałej pozie trzech młodych ludzi. Jeden z nich nosił modny jeszcze w sierpniu 1914 roku słomkowy kapelusz, pozostali mieli ściągnięte z czoła robociarskie kaszkiety. Pogadywali o czymś leniwie, ale Antek wiedział, że bacznie go obserwują. Wiedział też, czego chcą, polują nań przecież od tak dawna. Wiedział również i to, że jest ich więcej niż trzech. Ale musiałyby ich być znacznie, znacznie więcej, żeby... uśmiechnął się i podniósł się z ławki. Schyliwszy się, niby celem zasznurowania buta, odbezpieczył kciukiem ortgiesa i odpiął zatrzask pochwy sztyletu. Potem powłókł się powoli w ich stronę, rozglądając się bacznie.

Milczeli, kiedy ich mijał. Dopiero gdy odszedł parę kroków, usłyszał: – Ta polska świnią łązi tutaj jak u siebie! – Odwrócił się i powiedział:

– O ile pamiętam, szanowni panowie nie uklonili się kiedy przechodziłem. Czy to tak mamusia uczyła? – Ryknął: – Powstać! Czapki zdjąć!!!

Dobrze wykombinował. Rzucili się na niego nieprzytomni z wściekłości. Pierwszy, kopnięty w kolano, odskoczył ze skowytem, drugi, walnięty pięścią między oczy, zachłysnął się krwią i upadł do tyłu. Trzeci ochłonął i jął podchodzić skulony, milczkiem, jak wilk. Zza drzewa wyszło jeszcze dwóch. Z trzaskiem otworzyli długie sprężyno we noże i brali Antka w kociołek.

Padł strzał. Kula strąciła Antkowi czapkę z głowy. To strzelał ten ze strzaskanym kolaniem. Uniósł się na łokciach i celował uważnie...

Ortgies szczęknął dwukrotnie. Pistolet Niemca upadł w piasek. Teraz wszystko rozegrało się w ciągu kilku sekund. Nóż wycelowany w plecy rozdarł Antkowi koszulę i skórę, za chwilę leciał w krzaki wraz ze swym właścicielem. Dwaj inni, chwyceni za łby, trącili się nimi jak kieliszkami i legli grzecznie jak do snu. Ostatni umykał z dzikim rykiem: – Polizei! Polizei!

Wszystko było przygotowane na medal, bo zza drzew ukazała się zielonkawa tyraliera policji. Ozwały się gwizdki. Skrajem skweru pędził tramwaj. Antek odbił się potężnie palcami stóp i skoczył. Przewalił się przez zatłoczony pomost wśród pisków przerażenia i skoczył na jezdnię.

Szofer ciężarówki w ostatniej chwili nadepnął hamulec, aż zapiszczą. Za chwilę poczuł na skroni luźny pistoletu i usłyszał rozkaz: – Naprzód!!!

*

Pierwszym oddziałem, jaki zorganizował Antek w podległym sobie terenie, była tzw. kompania „leśna”. Składała się z przeszło stu odważnych młodych ludzi, przeważnie leśników, a „jeszcze przeważniej” z kłusowników uzbrojonych w myśliwskie strzelby i sztucery. Ta właśnie kompania otrzymała zadanie ochrony polskiego

wieczu, który zgromadził ponad 15 tysięcy ludzi. Zwiedzili się o tym orgesze i stosstrupplerzy i poszli sobie na jakże zwykłą zabawę: rozpedzić i pałkami zmasakrować wiecowników. W parę godzin później na łózkach opolskiego szpitala znalazło się dwudziestu „wesolków”, którym cierpliwi lekarze wydłubywali z zadków śruciny.

Był to chrzest bojowy leśnej kompanii. Inne wchodziły do akcji ochrony poczyznań komisariatu plebiscytowego w miarę, jak były szkolone i uzbrajane.

Zaczęło się zmieniać na lepsze w północno-zachodnim rejonie. Polacy podnosili głowy, komisarz plebiscytowy przestał przemycać się bocznymi uliczkami z podniesionym kołnierzem, w naciśniętym na czoło kapeluszu.

Jeden z wieców, który zgromadził kilka tysięcy ludzi, odwiedziły niemieckie bojówki. Przyjechali z fantazją: ciężarowymi samochodami. Wracali również samochodami, lecz o nieco innym kształcie, i znaczonego czerwonym krzyżem. W tym czasie Francuzi, po cichu sprzyjający Polakom, powiadomili Antka, że do policji niemieckiej zgłosił się ktoś i wskazał adres jednego z magazynów broni.

Francuski wywiad radził interweniować natychmiast. Było jednak za późno. Gdy ludzie Antka przybyli na miejsce, wieś była otoczona kordonami policji, a policjanci i orgesze wynosili z dołu na kartofle i układali na lorach wiązki karabinów i skrzynki z amunicją. Pozostawało więc dojść, kto zdradził, i uczynić zadość zwykłej w tych wypadkach formalności. Śledztwo, jakie przeprowadził Antek, nie ujawniło zrazu niczego. Wszyscy z kadry byli poza wszelkimi podejrzeniami, a więc... podejrzani byli wszyscy. Sprawy nie można jednak puścić płazem: trzeba było koniecznie stworzyć precedens „nieopłacalności” zdrady. Antkowi przyszedł z pomocą zwykły w takich okolicznościach przypadek.

„Bremza” był łącznikiem między kapitanem Grzonką a kometantem północno-zachodniego rejonu. Przywoził instrukcje i rozkazy,

niekiedy pieniądze na cele organizacyjne i propagandowe. Kilka tygodni temu „Bremza” przywiózł rozkaz dostarczenia zapalników do granatów. Antek zaprowadził go do magazynu, zapalniki wydał, a dowództwo okręgu pokwitowało odbiór. Któregoś dnia „Bremza” przywiózł kilkanaście tysięcy marek. Wykładał je w kwaterze Antka na stół. Wyjmował pliki banknotów z różnych kieszeni. W pewnej chwili schował z powrotem do kieszeni zwitek banknotów, na zdziwione pytanie towarzyszy odpowiadając: – To moje.

– Twoje? – zapytał Franek Rychlik, zastępca Antka.

– E, tak tylko powiedziałem. Wcale nie moje. Wiozę je dla Wy-
cisły.

Adiutant Antka, Rychlik, pokręcił głową. – A może to jednak
twoje „Bremza”, co?

– Nie godej głupot!

– „Bremza”! Tyś był wczoraj w Prudniku! Tak czy nie?

– Co ci też...

Rychlik jechał na całego, o niczym jeszcze nie wiedząc.

– Byłeś na Karolingengasse, tak czy nie? (Na Karolingengasse
mieściła się centrala orgeszu).

„Bremza” zbladł. Rychlik już był przy nim. – Ręce do góry! Stój
spokojnie!

...od chwili pierwszego powstania był w akcji. Dobrze służył
sprawie, wszyscy to wiedzą. Sam Kulik może zaświadczyć. Do
sprawy tego cholernego magazynu nie miał na sumieniu nic. Ale on,
„Bremza” ma ciężko chorego syna, to jeszcze dziecko – dziesięć lat.
Gruźlica kości. Czy można wyleczyć? Jeden lekarz powiedział, że
owszem, można. Trzeba dziecko wysłać do Łądku. To jest bardzo
droga kuracja – 5000 marek. A on, „Bremza” teraz przecież nie pra-
cuje nigdzie, a nawet jakby pracował, to skąd dojdzie do takich pie-
niędzy? Z organizacji dostaje tyle, żeby z głodu nie zdechnąć. No
więc, jak go raz ktoś zapytał, czy nie wie o jakimś magazynie po-
wstańców i powiedział, że może dostać parę tysięcy marek, to on...

dziecko przecie, nie?

Milczeli. Antek zawołał z rozpaczą: – Żebyś ty, świnió jedna, chociaż nasze pieniądze ukradł!

„Bremza” zachnął się. On nie złodziej, on kraść nie umie.

Pokiwali głowami nad taką uczciwością, spojrzeli po sobie.

– Słuchaj, „Bremza”, ty jesteś., ty byłeś bojowiec, więc wiesz, że tu długiego gadania nie ma. Nam bardzo cię żal, „Bremza”, ale trudno.

„Bremza” kiwnął głową dając do zrozumienia, że doskonale wie, o co chodzi. Rychlik zapytał rzeczowo: – Sam wolisz, czy ja cię mam...

„Bremza” otarł pot z czoła, rzekł cicho: – Jak wy chcecie, co ja mam do gadania?

Antek podał mu swego ortgiesa załadowanego jedną kulą. – Dajemy ci minutę czasu. Ach, „Bremza”, coś ty, głupia świnió narobił!

Wyszli do sieni. Ledwie przytknęli płonące zapalki do papierosów, gdy w izbie rozległ się strzał. Płomyki zadrżały...

*

Niemcy coraz ciaśniej osaczali tajemniczego komendanta polskiej organizacji. Ten przeklęty powiat, w którym dawniej wystarczał batalion policji rozproszony na drobne wiejskie posterunki, w którym wystarczało kilkanaście stosstruppów, aby zamknąć gęby wszystkim Polakom, potrzebował teraz całych pułków policji, grenzschtzu, całych kompanii orgeszu. Orgeszowiec, który dawniej mógł bezkarnie czynić co chciał – policja, która przeprowadzała śledztwa, aresztowania, inwigilacje – stosstruppler, który mógł bezkarnie palnąć w łeb każdemu, kto mu się z twarzy nie podobał – dwa razy się teraz namyślał, zanim uczynił coś, co mogłoby się wydać niewłaściwe temu przekłętemu Polakowi. Niemcy wiedzieli o Antku tyle, że był raz wysoki, raz niski, ale raczej wysoki niż niski. Że miał

swą główną kwaterą albo w Rybniku, albo w Koźlu, albo w Gogolinie, albo w jakiej zapadłej dziurze, albo – być może – w samym piekle. Wiedzieli, że używał pseudonimów „Gefreiter”, „Różyczka”, „Hannibal” albo jeszcze dwadzieścia innych. Jeden z konfidentów Schutzpolizei utrzymywał, że „Gefreiter” jest właściwie austriackim generałem, na co mu w Prezydium Policji w Opolu powiedzieli, że jeśli będzie twierdził, iż wiadomy osobnik jest duchem cesarza Franciszka Józefa, to dostanie po mordzie. (Oczywiście konfident, a nie duch cesarza).

Mimo to robiło się wokół Antka coraz ciasniej, coraz bardziej duszno. Któregoś dnia przeczytał Antek rozlepiony na murze afisz czerwonej barwy o następującej treści:

10 000 marek nagrody przewiduje Prezydium Policji iv Regencji Opolskiej za ujawnienie, aresztowanie bądź zabicie polskiego bandyty nieustalonego nazwiska. Rysopis: wzrost wysoki, oczy czarne (lub brązowe), włosy ciemne. Uwaga: wymieniony jest bardzo silny fizycznie i chodzi zawsze uzbrojony. Stwierdzono, że pseudonimy, jakimi się ten krwawy polski pies posługuje, brzmią: „Gefreiter”, „Różyczka”, „Hannibal” albo jeszcze inaczej...

Czytając ten afisz, Antek pomyślał: – 10 000 marek! Jaka szkoda, że „Bremzy” już nie ma na świecie! Ale zaraz zrobiło mu się dziwnie przykro. Jego by nawet „Bremza” nie wydał... Cóż więc dziwnego, że do Prezydium Policji w Opolu zgłaszali się ludzie donosząc, że poszukiwany bandyta nocował dziś u nich w stodole i udał się do Berlina czy do Paryża. Był nawet jeden taki, który twierdził, że to on jest „Gefreitrem”, a ponieważ cierpi na nieuleczalny tabes, więc mogą go zaraz zastrzelić, byle tylko jego rodzinie wypłacili 10 000 marek...

Wiadomość, że ma się stawić w Katowicach u majora Bursy, przyjął Antek z zadowoleniem. Zobaczy Teresę. Stęsknił się za nią,

co tu ukrywać. Dziewczęta, które obejmował nocami na wiejskich czy leśnych biwakach, nie miały oczu Teresy ani jej włosów, ani jej smutku. Wiedział, że to jest coś więcej niż tęsknota za jej ciałem, za jego miękka a jędrną urodą. Czuł teraz to samo, co przeżywał na froncie: bezbrzeżną tęsknotę za jej uśmiechem, jej głosem, za tym powolnym ruchem głowy, kiedy przytakiwała wszystkim jego racjom.

Major miał dla niego niewiele czasu. – Dobrze sobie radzicie, Kulik, ale lepiej byłoby, gdybyście z północno-zachodniego rejonu na jakiś czas zniknęli. Ciepło wam tam, co?

– Można wytrzymać, majorze. A wiecie, ile jestem wart?

– Wiem. 10 000 marek. To od Niemców. A ode mnie: degradację, 10 lat twierdzy, mordobicie i kulę w łeb, jeżeli będziecie się dalej tak narażać. Musicie na jakiś czas...

– Melduję posłusznie, panie majorze, że ja tam chcę pozostać do końca, to jest do dnia plebiscytu. Jak ja stamtąd odejdę, wszystko się znów rozlezie.

– Rąbną was, ani będziecie wiedzieć, kiedy.

– Trudno, majorze, wojna.

Major Bursa uderzył pięścią w stół: – Tylko ty mnie, mamlasie, nie ucz, co to wojna!

*

A więc Teresa wyjechała... Antoni stał w progu schludnej kuchenki. Był zmęczony siedmiokilometrowym marszem, ale nadąsana matka Teresy nie prosiła go siadać.

W ogóle rozmawiała z nim jak z łaski. Stała odwrócona tyłem, głośno brzękając garnkami.

– Ale dokąd wyjechała?

– Co ci po tym, Antek? Dałbyś dziusze spokój i zbyte. Tobie tylko strzelanina w głowie. Mało ci, żeś mi dziecko zepsuł?

Odwróciła twarz do niego i patrzyła małymi, złymi oczami.

– Co wyście, mamulko?...

– Ja ci nie mamulka. A ty sam powiedz, czego jeszcze chcesz od niej?

– Jak to: czego?

– Chcesz ją pewnie kaj wywieźć. Jeszcze tego brakowało. Zabierzesz ją między tych chacharów. Pewno: siedzicie kaj po dziurach, to bez baby się przykrzy, co?

– Wyście zgłupieli, kobieto!

– Z tobą to i zgłupieć można.

Antek poczuł znajome pulsowanie w skroniach. Warknął.

– Dość tego!

– A dość, dość – zgodziła się jadownicie.

Antek już brał za klamkę.

– ...A może... pojechała do Koźła, do ciotki? No, powiedzcie wreszcie!

Milczała.

– Do widzenia!

– Z Ponbóczkiem!

*

Mróz był silny i trzymał już od tygodnia. Dnie były pogodne, noce jasne księżycem i wysokimi gwiazdami. Przez zawiane śniegiem trakty rzadko przedzierały się wozy i furmanki, polnymi drogami chadzał tylko ostry, porywisty wiatr.

Pewnej nocy, traktem wiodącym ze Strzelec Wielkich do Kujawy, szedł człowiek. Głowę wtulił w wysoki kołnierz skórzanej kurtki, daszek włochatej czapki mocno wcisnął na oczy. Szedł krokiem równym, długim, miarowym, znamionującym kogoś, kto wiele miał do czynienia z wojskiem. Mróz brał coraz siarczystszy, więc wędrowiec przyspieszył kroku. Gdy zbliżał się do wsi, zбочzył z traktu w pole – widocznie w zamiarze obejścia osiedla. Samotny piechur miał

jednak pecha, ledwie bowiem wyszedł na opłotki, posłyszał chrapliwe: Halt! – i jaskrawy snop światła uderzył go w oczy. Błyskawicznie przykucnął usiłując strzelić przez kieszeń, ale w tej chwili huknęło mu nad głową kilka ostrzegawczych wystrzałów i jakiś głos krzyknął triumfalnie:

– Wir haben ihn!*

* Mamy go!

Obskoczyło go kilkanaście cieni i po krótkiej szamotaninie powaliło na śnieg. Usiedli na nim, przycisnęli kolanami, ręce i nogi okręcili mocnym sznurem. Kilku silniejszych zarzuciło go sobie na ramiona jak tłumok i poniosło w noc.

...Rzucony na podłogę izby przewrócił się na wznak i rozejrzał wokoło. Izba pełna była ludzi ubranych po cywilnemu, ale widać było, że każdy z nich jest uzbrojony. Było też dwóch policjantów w mundurach. Za stołem siedział ktoś, kogo tytułowano „Herr Oberleutnant”. Antek Kulik zdążył jeszcze odczytać hasło wyhaftowane na rozwieszonym na ścianie kilimku: Guten Appetit – i pomyśleć: w sam raz się to nadaje – gdy rozcięto mu więzy i potężnym kopniakiem w plecy postawiono na nogi. Antek zwarł pięści, oceniając szanse wywalczenia sobie drogi do drzwi, ale gdy spojrzął na mężczyznę siedzącego za stołem – zbaraniał.

Tym człowiekiem był Siegfried Mikke. Przed nim, na stole, leżała szpicruta i rewolwer.

Ktoś raportował z za pleców Antka:

– Mamy go, panie Oberleutnant, to on – „Gefreiter”. Śledziliśmy go od Strzelec...

Mikke zerwał się jak oparzony:

– Co? Co wy gadacie, wy, nieszczęsny idioto?! Czy wiecie, kogoście tu przyprowadzili?

Wybiegł z za stołu i uściskał Antka.

– Krzesło dla chorążego, ale już! Wybacz, Anton, wiedziałem, że ci moi ludzie to głupie barany, ale żeby aż do tego stopnia... No!

Czego się gagicie, kretyny? Wszyscy precz stąd!!!

Antek powoli przychodził do siebie. Sytuacja, w jakiej się znalazł, choć odwrócona nagle, nie przestawała być groźna. Wystarczy, żeby ot tak, dla porządku, dla formy, Mikke kazał go zrewidować. Wystarczy, aby zapytał swoich ludzi, od jakiego momentu go śledzili...

– Nie mam do nich żalu, Siegfried, oni są w porządku. Ja na ich miejscu też bym się naciął. No, popatrz – tu wstał i stanął w pełnym świetle – na pierwszy rzut oka: „Gefreiter”! – Roześmiał się, Mikke mu zawtórował.

– Nie było mnie tu parę miesięcy, ale o „Gefreitrze” naturalnie słyszałem. To nadzwyczaj bezczelna świnka. Ale żeby nie odróżnić niemieckiego oficera od jakiegoś polskiego bandziora...

– Chłopcy mieli prawo się pomylić. Ale wiesz, co jest najkapitałniejsze? Że ja, który od trzech miesięcy nic innego nie robię, tylko szukam „Gefreitra”, że ja sam wpadłem jako „Gefreiter”.

Mikke śmiał się, aż mu łzy w oczach stanęły:

– To rzeczywiście kapi... talne... ty i „Gefreiter”!

– Chociaż – spowaźniał nagle – wiesz, Anton, gdybym cię nie widział wtedy, w Katowicach, jak prowadziłeś ten atak... to ci kawał! Siadaj, napijemy się czegoś. A ty.... co?

Ciągle w wywiadzie?

– Psst! O tym się nie mówi, stary. A napijemy się kiedy indziej. Dziś jeszcze muszę być w Kujawie. Mam tam kontakty.

Mówiąc to Antek oczywiście nie kłamał.

– No, trudno, powodzenia w łowach. Ale coś mi się tak zdaje, Anton, że trupek „Gefreitra” pójdzie na moje konto, choć ty się za żywym tak uganiaasz.

Antek wzdrygnął się.

– Trudno, Siegfried, nie będę miał żalu do ciebie. Jednej przecież sprawie służymy.

– Racja. Obojętnie, który z nas sprzątnie tego psa, byleby stało się to szybko. Ale żebyś się nie wiem jak wykręcał, musisz wychylić

ze mną szklanę gorącego „altvatu”. To ci dobrze zrobi. Twoje zdrowie. Anton!

- Twoje! Za...
- Naszą przyjaźń!
- Właśnie... to chciałem powiedzieć.

Tręcili się, włali do gardeł palący, pachnący kminkiem trunk. Zakaszali.

- Szkoda, że musisz już iść, Anton, wielka szkoda...

Antek zastanawiał się, co teraz robić? Jeśli ta cała przyjacielska rozmowa była zabawą w kotka i myszkę, to nie ma chwili do stracenia, trzeba natychmiast trzasnąć pięścią między oczy dozgonnego przyjaciela spod Verdun i dać susa w okno. Prawda, szyba, ale... jeśli jednak... Antek sprężył się w sobie.

- ...ale skoro musisz. Bądź zdrow, stary!

Mikke wezwał swych gwardzistów, kazał zwrócić broń Antkowi i powiedział do nich: – Macie szczęście, że pan chorąży nie ma do was żalu. Zasłużyliście na to, aby z was pasy drzeć. Odprowadzić pana chorążego do traktu... ale zaraz... może potrzebujesz ochrony, Anton?

- Gdybym potrzebował, tobym z nią chodził.
- Racja. Also... – wyciągnął rękę, którą Antek uściśnął serdecznie.

Przechodząc w sieni koło tych, którzy go ujęli, Antek wyrznął pięścią w brzuch stojącego najbliżej.

- Wiedersehn! Chłopcy, macie u mnie na piwo.

Powiedział to tonem tak szczególnym, że gdy odszedł, długo jeszcze kręcili głowami...

*

- Nie, panie komisarzy. Meldowałem już o tym majorowi. Ja tu zostanę do końca.

- Niechże pan jednak zrozumie, że prawie pana wytropili. Jest

pan po prostu spalony. Teraz pana pozna każde dziecko. Czy pan sądzi, że oni są tacy głupi?

– Jak dotąd...

– Jak dotąd, jak dotąd – przedrzeźniał komisarz – do czasu dzban wodę nosi. A my pana nie chcemy stracić, panie „Gefreiter”. Boję się, że w najbliższym czasie czeka pana kula w łeb.

– Jeszcze tej kuli nie odlano.

– No, no! A ten pański Mikke...

– On jest najgłupszy z tej całej bandy. I naprawdę, niech się pan komisarz nie martwi.

– Niech będzie. Ale wiedz pan jedno, panie Kulik. W razie czego, my się pana wyprzemy. Nie możemy ryzykować skandalu w Lidze Narodów...

*

...Przeczekał, aż ucichnie tupot nóg. Stał w bramie przyciśnięty do ściany, z odbezpieczonym rewolwerem w rękę, dysząc z wysiłku. Jeżeli wróca...

Godzinę temu przyjechał do Koźła. Przyjechał, mimo iż odradzali mu to wszyscy. Mówili: – Nie bądź głupi, Antek, poślij lepiej kogo. Chcesz, to ja do niej pojadę i pogadam – przekonywał Gerhard Cudzik, adiutant komendy rejonu. Nie posłuchał i oto...

Wlazł lwu w paszczę. Koźle było głównym centrum bojówek niemieckich. Tu było najwięcej policji i wojska. Ledwo wyszedł z dworca, gdy policyjny patrol zatrzymał go gromkim „halt”! Rzucił się do ucieczki pustymi, nocnymi ulicami. Strzelali za nim, tuż nad głową słyszał świst kul, a dalej, poza sobą, krzyki i przekleństwa. Nie znał dobrze miasta. To chyba tylko ten wyrobiony węch starego konspiratora nakazał mu wskoczyć do bramy, która prowadziła na podwórze, i do drugiej bramy, wychodzącej na równoległą ulicę.

Wyjrzał ostrożnie, po czym schował broń i poszedł, starając się stąpać najciszej, do drugiej bramy. Zapukał w drzwi na parterze. Po

chwili drzwi się otworzyły i wystraszony człowiek poinformował go, że Kasernenstrasse to zaraz za kościołem, parę kroków stąd. Dozorca mówił po polsku i niemiecku, nie wiedząc z kim ma do czynienia.

Zatrzasnął drzwi. Słysząc było brzęk zakładanego łańcucha i zgrzyt zasuw.

...Otworzyła mu Teresa. Stali naprzeciw siebie w mroku i ciepłe buchającym z ciemnego mieszkania. Znowu poczuł jej zapach, wyciągnął ręce, ale cofnęła się. Powiedziała: – Wejdz, tylko cicho, zbudzisz ciotkę, tędy, do kuchni...

Chciała przekreślić kontakt, ale powstrzymał ją. Usiedli na stołkach i rozmawiali szeptem.

– Po coś przyjechał? Czemu mi nie dajesz spokoju?

– Jak to, po co, Teresa? Do ciebie. Przecież ja cię...

– Aha. Przypomniałeś sobie...

– Teresa... ja byłem u twojej matki, pytałem...

– Wiem.

– Teresa, ja... ja nie poradzę żyć bez ciebie. No, Teresa... ja, widzisz, wiele myślałem o tym i już teraz wiem...

– Aż ci się znowu jaka dziwka nie trafi...

– Przysięgam, Tereso, że tylko wtedy...

W mroku bielą jej koszula i blada, niewyraźna twarz. Wiedział, że Teresa drży na całym ciele.

– No... Tereso...

Milczała. Wstał i podszedł do niej, wyciągnął ramiona. Poczuł dłońmi szorstką gładzinę płóciennej koszuli i pod nią młode, gorące ciało. Wielka tkliwość i ogromna żądza ogarnęły go jak płomień...

Oddała mu się bez słowa. Chowąła usta przed jego pocałunkami. Mówił jej zachwyconym szeptem słowa najczulsze, jakie znał, szukał ustami jej warg, ale ona wykręcała głowę. Czuł na policzkach jej łzy.

– Pościelę ci tu, w kuchni, nie będę teraz budzić ciotki.

– Teresa, ja muszę już iść, ty przecież wiesz...

– Wiem...

– To nie tak, Teresa, nie tak jak było, sama zobaczysz Będę pi-
sał co parę dni. Znowu przyjadę. To wszystko niedługo się skończy i
wtedy będziemy razem.

Wrócił jeszcze od drzwi. Cicho skrzypiała stara podłoga.

– Musisz mi powiedzieć, Teresa: kochasz mnie?

– Tak, tak, tak. Idź już, nie męcz mnie!

*

Konduktor pociągu osobowego jadącego z Kędzierzyna do Prud-
nika nie miał w tym dniu wiele roboty. W całym pociągu znajdowało
się może trzydziestu pasażerów. Konduktor przeszedł obok przedzia-
łu zajętego przez włoskich żołnierzy. Wiadomo: alianci podróżują
bezpłatnie. Następnie z dużą skwapliwością i chęcią przyczepienia
się do czegokolwiek, badał rozkazy jazdy trzech członków
Grenzschutzu. Kiwnął niedbale ręką babom wiozącym w koszykach
jaja i masło i stanął przed drzwiami przedziału, w którym siedziało
trzech mężczyzn.

– Fahrkarten bitte* – powiedział i usłyszał w odpowiedzi:

– To już zapomniałeś, pieronie, gadać po ludzku?

* Bilety proszę.

– No, no, nie ciepejcie się, kamraci. Na czole nikt nie ma napi-
sane. Jak macie bilety, to pokażcie, a nie – to nie.

– Bilety mamy. Ale ty powiedz, kamracie, jak tam dziś w Prud-
niku? Przecież tam był rano?

– Jak zawsze. Wszędzie pełno tych chacharów. Przeca myślą, że
już niedługo.

– Daj Boże. A policja na stacji jest? Dokumenty sprawdza?

– Czy sprawdza? Wiecie, jak to jest w APO.** Jak patrolem
dowodzi Polak, to sprawdza Niemców, a jak Niemiec, to sprawdzają
a nawet rewidują naszych. Na wszelki wypadek wysiądźcie lepiej w
Zimnej, kamraci.

** APO – Abstammungspolizei – mieszana policja wprowadzona po II powsta-
niu.

Konduktor przytknął palec do daszka czapki i wyszedł z przedziału. Gdy drzwi zamknęły się za nim, odezwał się jeden z trójki:

– Wiesz co, Antek? Mogą nas chycić, nim dojdziemy do Komisariatu. Może lepiej wyskoczyć w Zimnej?

Antek zastanawiał się przez chwilę. – Nie, chłopczyki. Za duża strata czasu. Jedziemy do końca. Jak będzie na stacji policja, to może będą tam i nasi, albo Francuzi lub Anglicy. Wtedy damy się wziąć. A jak nas czepią stosstruppy, to wiecie co robić.

Uśmiechnęli się. Wszyscy trzej poprawili kabury z pistoletami zawieszane pod lewą pachą. Gustlik Potempa wyciągnął zatłuszczoną talię kart. – Zrobimy rundkę?

Nie widzieli, jak w czasie króciutkiego postoju w Zimnej wsiadło do wagonu pięciu mężczyzn. Nie zwrócili też uwagi, jak dwaj z nich przeszli pociąg od końca do końca, pilnie zaglądając do wnętrza przedziałów. Słyszeli wprawdzie zgrzyt drzwi w sąsiednim przedziale, ale nikomu nie chciało się wstać i zobaczyć, kto też tam jest w sąsiedztwie, tym bardziej że trzeci z nich, Gerhard Zgrzebniok, miał „fuksa”.

Pociąg hamował ze zgrzytem. Antek, Gustlik i Gerhard zebrali się i wyszli na korytarz. Kiedy zbliżali się do wyjścia, otworzyły się nagle drzwi wagonu i do wnętrza wskoczyło kilku mężczyzn z rewolwerami w rękę. Pierwszy strzelił z przykłąku Antek, tuż nad jego głową szczęknął dwukrotnie pistolet Gustlika. Pierwszy z biegnących korytarzem wypuścił broń z ręki i przystanął z jękiem, następny zwałił się bez słowa. Wagon rozhuczał się wystrzałami.

Dostali ognia z tyłu, z sąsiedniego wagonu. Gerhard rąbał właśnie z parabellum wzdłuż korytarza, gdy poczuł silne uderzenie w plecy i smak krwi w ustach, a potem ogarnęła go ciemność. Antek i Gustlik posłyszeli za sobą: Haende hoch! Następna komendę usłyszał już tylko Antek, Gustlik bowiem leżał na ziemi, a palce jego kurczowo zgarniały kurz z podłogi. W następnej sekundzie zobaczył Antek, że

jest w korytarzu sam. Sam z trupami dwóch kamratów i trzech napastników. Podniósł głowę na wysokość okna i schował ją, ostrzeżony świstem kuli. Strzał padł z paru metrów i nie trafił. Zrozumiał: chcą go wziąć żywcem. Zapanowała nagle, dzwoniąca w uszach cisza. Przerwał ją okrzyk: – „Gefreiter”! Rzuć broń i wyłaż! Wyłaż, ty pieroński poltoniu!

A więc to koniec. Antek włożył lufę wiernego orgiesia w usta i zmacał jej otwór językiem. A więc to koniec: żywego go nie wezmą. Biegły sekundy. Napastnicy sądzili widocznie, że Antek jest ranny lub może wbrew ich intencjom zabity, bo jeden z nich wysunął ostrożnie głowę i cofnął ją zaraz – przestreloną, bluzgającą krwią...

Kaskada przekleństw i znowu cisza... Antek ponownie wziął broń w usta i nacisnął pierwszy spust. Teraz mały nieznaczny ruch – i wszystko przestanie być ważne: powstanie, walka, Teresa, przyjaciele, wrogowie, zwycięstwa i klęski. Jak łatwo mieć to wszystko za sobą, jak łatwo przestać żyć jak ścigane zwierzę. Wystarczy nieznaczny ruch palca... koniec.

Nie! To jeszcze nie koniec. Dopóki żyje, dopóki trzyma w garści spluwę, to jeszcze nie koniec. Dopóki jest jedna szansa na tysiąc. Gdzie tu jest ta szansa?

– „Gefreiter”, rzuć broń, ty świński psie, i wyłaż! Jak się poddasz, to cię tylko powiesimy, jak nie, to i tak cię dostaniemy, a wtedy będziesz zdychał sto razy!

...Wytrzymać jeszcze pół minuty, jeszcze minutę. Zwabiony strzelaniną może nadbiec patrol aliancki lub może Polacy z APO. Wytrzymać jeszcze minutę, jeszcze półtorej.

W ciągu dwóch minut zdarzyć się może wiele, zdarzyć się może – cud!

– „Gefreiter”! Wyłaż! Zamianujemy cię feldfeblem! – Długi, głośny, rechotliwy śmiech.

Słońce. Zamglone marcowe słońce świeci prosto w wybite kulami okno wagonu. Okno! Rany boskie, prawdziwe okno! Że też jest jeszcze coś takiego na świecie! Okno na świat! Skok przez okno na peron i...

może przejdzie, może się przedrze. Ach, gdyby mieć przy sobie granaty, chociaż jeden granat! – Rozbestwiłem się – myśli Antek – i już nie noszę granatów, obrywają kieszeń. Królestwo za granat! Nie ma granatu, nie ma królestwa, chyba tylko niebieskie. Nie! Sprężył się, napiął mięśnie, złapał lewą ręką za uchwyt okienny, podźwignął się... Nie strzelają... Skok!

Już jest na peronie, już się podnosi. Skaczą na niego kupą, jeden przez drugiego. Ktoś kopniakiem wytrąca mu broń. Antek krzyczy coś, wali pięścią w twarz najbliższego, tamten pada, drugi, dzielony kantem dłoni w kark, wyrzuca krew ustami, ale już jest jasno, tak jasno, że aż boli... gdzie? W oczach, w potylicy, w całej głowie« – tylko ból...

Zdzielony w łeb kastetem, leżał dwa dni nieprzytomny na kamiennej podłodze w piwnicy domu „Zum goldenen Falken”, w którym mieściła się komenda bojówek niemieckich. Gdy odzyskał przytomność, leżał nie otwierając oczu.

Słyszał jak ktoś wchodzi, jak ktoś mówi: nie zdechnie, ale na wszelki wypadek zróbcie mu opatrunek! Głos wydał się Antkowi znajomy, ale zaraz poczuł ból w głowie i znowu ogarnęła go nicłość...

Otworzył oczy. Jest ciemno, jest tak ciemno, że nie widać własnej ręki. Obmacał starannie głowa, gryząc z bólu wargi. Nie jest tak źle: czaszka cała. Poczul, że może wstać o własnych siłach, a nawet zrobić przysiad. Wypróbował: kolana drżały nieco, ale poszło. Ramiona... w porządku. Zachciało mu się nagle głośno śmiać. Teresa często mawiała do niego: „Ty jesteś jak kot, jak duży kot”. Teraz wiedział, dlaczego jest jak kot: bo go nawet siekierą trudno ubić. Położył się znowu. Musi zasnąć i nabrać sił, jeszcze więcej sił. Teraz może polegać już tylko na własnej sile.

– Auf! – otworzył oczy. – Stało nad nim dwóch, celowali z rewolwerów. – Wstawaj!

– Nie... mogę... – wysiakał. Zaczęli go kopać, więc udając najwyższy wysiłek, stanął najpierw na czworakach, a potem dźwigał się

ku górze, czepiając rękami ściany. Marsch! Szli powolutku schodami. Antek zobaczył, że wszystkie okna sieni są zabite deskami i uszczelnione szmatami. A więc ani skoczyć, ani wychylić się i zawołać pomocy. Szli korytarzem oświetlonym małą żarówką. Jakies drzwi otworzyły się i Antek pchnięty kolbą w plecy, zatoczył się aż na środek pokoju. Tu było jasno...

Pod oknem, założonym workami z piaskiem, stał z papierosem w ustach Oberleutnant Siegfried Mikke.

– A więc wszystko jest jasne – Mikke mówił tonem spokojnym, łagodnym niemal – masz prawo powiedzieć, Kulik, że jestem największym idiotą, jakiego kiedykolwiek spotkałeś. Święta racja. Ale idiotyzm mój wywodzi się stąd, że zaufałem przyjacielowi...

Antek obliznął koniuszkiem języka suche wargi.

– Mylisz się, Mikke. Zawierzyłeś złudzeniu. Zdaje mi się, żeśmy kiedyś obaj zawierzyli złudzeniu. A może do dziś ulegamy złudzeniom?

Mikke wydmuchnął dym.

– Zaczynasz filozofować, Kulik. Myślę, że przed śmiercią każdy w jakiś sposób filozofuje. Na przykład na temat przyjaźni.

– Właśnie. Ta filozofia zaczęła się tam, pod Douaumont.

– Ten ton nie pasuje do ciebie, Kulik. Nie skamłaj. Jesteś przecież bojownikiem, przynajmniej we własnym mniemaniu, bo dla mnie jesteś zwykłym, wszawym polskim bandytą, który...

– Który uratował ci życie.

Mikke pochylił głowę i wsadził ręce do kieszeni. Odezwał się po chwili:

– Zgoda. I któremu ja uratowałem życie. Wtedy, w zimie, kiedy szedłeś do Kujawy, pamiętasz? Uratowałem ci życie może nieświadomie, ale tak czy inaczej jesteśmy skwitowani. Ale ja spróbuję uratować ci życie raz jeszcze, tym razem z pełną premedytacją. Powiesz nam wszystko, co wiesz. Absolutnie wszystko. A wiesz dużo. Potem... puścimy cię wolno. I więcej jeszcze: pomożemy ci wyjechać do Niemiec, gdzie nikt nie będzie wiedział, żeś zdradził Niemcy. No co,

gefreiter? Nie chcesz być znowu chorążym?

Tysiące myśli cisnęły się Antkowi do głowy. Zatrzymał jedną, której było na imię: gra na zwłokę.

– To nie jest takie proste, Mikke. Ale powiedzmy, że się zgodzę. Jaką mam gwarancję?

– Masz moje słowo honoru, słowo honoru niemieckiego oficera, nie splamionego zdradą munduru. Wystarczy?

– Powiedzmy. To jest, chciałem powiedzieć, że naturalnie, wystarczy. I kiedy powiem wszystko, co wiem, to mnie puścisz?

Mikke roześmiał się:

– No, nie tak zaraz. Najpierw sprawdzimy twoje informacje, Kulik. To chyba proste, prawda? Nie, Kulik, nas nie nabierzesz, przynajmniej tym razem. Więc jak?

– Na tyle mnie znasz, Mikke.

– Tak. Wiedziałem, że nic z tego nie będzie. Mógłbym cię jednak zmusić do gadania. Są, widzisz, takie sposoby. Ale ja, mój drogi przyjacielu, zwykłem spłacać długi z procentem. Dlatego każę cię tylko powiesić. I jeszcze dlatego, że twoje informacje nie są nam potrzebne. Wiemy więcej, niż się spodziewasz. Stój prosto i nie ruszaj się!

Stań na baczność, kiedy do ciebie mówię, ty, ty... gefreiter! Czy nie uważasz, że na zakończenie tej naszej ostatniej rozmowy powinienem sprać cię po pysku szpicrutą?

Antek milczał. Nie wolno mu prowokować tego drania, nie wolno mu dać się zmasakrować. Aby jakoś stąd wyjść, musi zachować siły. Rzekł najpokorniej, jak umiał:

– Jak uważasz, Mikke. Przepraszam: jak pan uważa, panie Oberleutnant.

Mikke wykrzywił twarz w uśmiechu: – Przekonałeś mnie, Kulik. A teraz pójdziesz grzecznie z tymi panami na podwórko, tam dasz sobie założyć stryczek na szyję i prześlicznie zadyndasz. Wybacz, że nie będę ci towarzyszył. Nie lubię widoku wisielców.

Po czym zwrócił się do swoich:

– Zabrać to ścierwo!

Pochwycili Antka za ramiona i powlekli za sobą. Antek na sekundę zatrzymał się w progu. Powiedział:

– Mimo wszystko dziękuję ci, Mikke...

– Rrrraus!

Podwórko było małe, otoczone z trzech stron wysokimi ślepyimi ścianami. Czwartym jego bok stanowił mur wysoki na dwa metry, zabezpieczony po wierzchu słupkami szkła. Antek już wiedział gdzie jest: hotel „Pod Złotym Sokołem” stoi poza miastem. W promieniu kilometra nie ma żywego ducha, jeśli nie liczyć ludzi z tej bandy. Nie chodzą tędy żadne alianckie patrole, niemożliwe też jest, aby mogli tu dotrzeć jego ludzie, nawet gdyby wiedzieli, co się stało z ich dowódcą. To miejsce jest dobrze obstawione...

Nieco wyżej, ponad wysokość człowieka, tkwił w ścianie muru wielki żelazny hak, do którego uwiązany był zakręcony w pętlę grubym rzemieniu. Antek popatrzał w górę.

Czterej towarzyszący mu mężczyźni roześmiali się:

– Nic się nie martw, gefreiter, wytrzyma! – Lufami pokazali mu, gdzie ma stanąć. Jeden z nich oddał rewolwer koledze i zaczął odwijać rękawy koszuli. Potem zmacał Antkową szyję...

– Chwileczkę!

– Czego jeszcze?

– Eine Zigarette. Należy się przed śmiercią, nie? Tego się nie odmawia największym zbrodniarzom!

Naradzali się chwilę. Uznali jednak, że to będzie świetna zabawa, bo skinęli głowami. Jeden z nich podszedł i wsadził Antkowi w usta angielskiego *gold flacke'a*. Wyjął zapalną, potarł i podał ogień...

Obliczyła dobrze. Trzask łamanej kiści złał się w jeden dźwięk z rykiem bólu. W tej samej sekundzie człowiek, który podawał ogień, zatoczył w powietrzu łuk i uderzył ciałem w głowy swych towarzyszy. Sypnęły się zduszone przekleństwa i okrzyki grozy. Huknęły niecelne wystrzały.

Antek skoczył jak żbik. Nie dosięgnął dłońmi szczytu muru, ponowił skok... zaklaskały o mur kule, poszedł kurz, ale on już chwycił: trzymał lewą ręką za występ, ścisnął najeżony szkłem gzyms i czuł, jak struga krwi z poharatanej dłoni biegnie mu wzdłuż łokcia i sięga pachy. Zaciśnął zęby, stęknął z wysiłku... Leżał na płask, na szczycie muru.

Przewalił się na prawą stronę i zleciał w momencie, gdy kule zadzwoniły po stłuczkach. Upadek był bolesny, jakby mu coś pękło w piersiach. Podniósł się, zatoczył, wycelował skrwawioną głową gdzieś przed siebie i runął – nie wiadomo: na nogach czy na skrzydłach. Skądś warknął karabin maszynowy, gdzieś zawyła samochodowa syrena...

*

– Niech pan zrozumie, Herr Regierungsrat, że absolutnie nie możemy utrzymać w mocy waszego ogłoszenia o cenie na głowę Kulika. Polacy podnoszą już taki wrzask w Lidze Narodów, że aż uszy więdną. Jeżeli uda wam się zlikwidować go w sposób legalny lub, powiedzmy, nawet mniej legalny, to... wasza sprawa. Ale żadne tam ceny za głowę...

– Jednakże, ekscelencjo...

Generał Lucchangelì, dowódca wojsk alianckich, zniecierpliwił się:

– Chyba nie ma pan wątpliwości, panie radco rządowy, że cała moja sympatia jest po waszej stronie? Ale ja się muszę liczyć także z Francuzami. Ostatecznie, to oni wygrali wojnę, evvero? A oni są, niestety, szczególnie ostatnio nastawieni propolsko. Jeśli jednak uda wam się udowodnić Kulikowi chociaż jeden mord polityczny, powtarzam: mord polityczny, a nie zabójstwo w obronie własnej, jeśli, powtarzam: uda się go postawić przed sądem i udowodnić coś takiego, to oświadczam, że będziecie mieli jego głowę bez 10 000 marek. Dogadaliśmy się?

– Najzupełniej, ekscelencjo. Naród niemiecki nigdy nie zapomni pańskiej postawy. Postaramy się coś sfabrykować, ekscelencjo.

– Tylko żeby to miało ręce i nogi!

– Rozkaz!

Sekretarz Hoersinga, radca rządowy dr Stramm, wycofał się wśród ukłonów. Generał Lucchangeli przycisnął dzwonek na biurku i prężącemu się adiutantowi rozkazał wezwać przed swe oblicze kogoś z Polskiego Komisarjatu. Za godzinę stał przed nim siwy, szczupły człowiek.

– Ile razy mówiłem panu, że nie życzę sobie niczego, co odbijałoby się echem w Lidze Narodów?!

– Tak jest, ekscelencjo, ale nie my chyba jesteśmy powodem...

– Wy! Tylko wy! Wszystko przez was! Nic wam się nie podoba, na wszystko się krzywicie! O byle co alarmujecie Genewę! Ja sobie wypraszam!!!

– Ekscelencjo! Tego już za wiele! Proszę wybaczyć...

– Wybaczę, jeśli będziecie siedzieć cicho i jeśli nie będziecie utrudniać administracji niemieckiej jej słusznych poczynań, mających na celu utrzymanie porządku.

– Pozwolę sobie jednak...

– Pozwól pan sobie stąd odejść. Nie mam czasu!

*

Sala restauracji „Pod Czarnym Niedźwiedziem” rozbrzmiewała męskim, radosnym gwarem. Przy długim stole siedzieli cywile i wojskowi. Cywile byli Polakami, wojskowi Francuzami. Pito na cześć szczęśliwego powrotu dowódcy rejonu, Antoniego Kulika. Gęsto krążyły butelki, raz po raz wybuchały toasty, zrywały się piosenki, dobrze już dymiło się z czupryn.

– Co będę robił po plebiscycie? – Antek powtórzył pytanie francuskiego porucznika. – Sam jeszcze nie wiem, mon lieutenant. Może założę hodowlę pieczarek, może wrócę do mojego zawodu do huty,

może pozostanę w wojsku. Ale jedno zrobię na pewno: ożenię się. Panowie! Koledzy! Wypijmy za zdrowie mojej narzeczonej!

Fotografia Teresy wędrowała wzdłuż stołu. Chwalili wszyscy, szczególnie Francuzi, urodę śląskiej dziewczyny. Antek słuchał i serce mu rosło. A potem nagle chwyciła go taka tęsknota, że schował fotografię i wybiegł przed hotel. Stał tam samochód komisarza plebiscytowego. Antek usiadł koło kierowcy i rozkazał: – Leć do Koźła!

Szofer sumitował się, że bez zezwolenia pana komisarza nijak i nigdzie nie może jechać, lecz Antek przystawił mu wielką pięść pod nos, i kierowca nacisnął starter.

Teresa była w domu. Stała z zakasanyimi rękawami przy zlewie i zmywała naczynia. Porwał ją na ręce i mimo krzyków udanego przeżarcia i szamotania zniósł na dół. Pomknęli opolską szosą.

Ścisnął ją i całował w samochodzie, aż tchu złapać nie mogła. Pomyślał radośnie: – jak Kmicic i Oleńka! Co mu tam Kmicic! Albo to Kmicic urwał się kiedy sam spod stryczka? O zmierzchu odwiózł dziewczynę do domu. W czasie wycieczki nie mówili wiele. Przy rozstaniu Teresa powiedziała:

- Antek, ja mam takie przeczucie, takie złe...
- E tam! I co mi się stało? Ja ci mówię, Terka, że na mnie nie ma cholery.
- Antek! Weź mnie z sobą, ja tu już nie chcę być, ja się tak boję...
- Już ci mówiłem, że nie masz czego się bać.
- Ale ja i o siebie się boję. Antek...
- A cóż by kto dziesięć mógł zrobić? Niechby spróbował! O, popatrz na ulicę. Miesiąc temu człowiek nie mógł przejść spokojnie, a dziś?
- Weź mnie z sobą, Antek...
- Czy ty masz „ała”, Teresa? Jakże ja cię mogę wziąć, przecież znasz moją robotę. To niemożliwe, Teresa. Ale już niedługo zobaczysz!...
- Ja już widzę...

– Co widzisz? E, Teresa, z tobą tak zawsze. Daj dzióbka, wpajaną w przyszłym tygodniu!

Wyrwała się i uciekła schodami na górę. Westchnął komicznie i krzyknąwszy: – Nie szkodzi, przejdzie ci! – pobiegl do samochodu...

*

Obudził się i leżał patrząc w sufit. Była noc. Na stole cykał cichutko zegarek. Zamknął oczy, ale sen nie wracał. Jakby go coś uwierało. Jakiś drobnutki kamyczek niepokoju. Gdzieś na dole, w portierni hotelu, skrzypnęły drzwi. Usiadł na łóżku i nasłuchiwał. Nic, cisza.

Nerwy, pierona – pomyślał – chyba zdarłem się już trochę...

Mimo to wstał i podszedł do okna. Zatrzeszczała podłoga. Wyjrzał przez firanki na pustą ulicę oświetloną gazowymi lampami. Nikogo. Wrócił do łóżka. – Już nie usnę – pomyślał ze złością. Ale wnet poczuł senność. Młody organizm, zmęczony długim marszem, upomniał Się o swoje prawa... Nagle łomotanie w drzwi. Zerwał się z łóżka, chwycił spod poduszki ortgiesa, odbezpieczył...

– Otwierać, policja!!!

Cichutko podszedł do drzwi, nachylił się i zerknął przez dziurkę od klucza. Rzeczywiście, policja. I chociaż to sami Niemcy, nie ma sensu urządzać rzeźni. Zresztą mocno oberwał ostatnio w komisariacie polskim za fanfaronadę.

Odskoczył od drzwi i zawołał wesoło:

– Wejść!

Klamka poruszyła się kilkakrotnie. Ach, prawda, drzwi są przecie zamknięte. Przekręcił klucz. Zdążył jeszcze pomyśleć: „psińco mi zrobią”, gdy drzwi uchyliły się lekko i w szparze pojawiła się dłoń uzbrojona w rewolwer, a za nią kask Niemca i wystraszona twarz.

– Czy można wejść?

– Właż pan!

Policjant znalazł się w pokoju. Powiedział: – Proszę się, szanowny

panie, nie denerwować, to tylko formalność. Ja nic nie winien, mnie kazali. Ja tylko...

Wpadło ich naraz z dwudziestu. Ten, który wszedł pierwszy, nabrał feraz pewności siebie, krzyknął: – Rzucić broń, ręce do góry!

– Skąd pan ma broń?

Uśmiechnął się i powiedział: – Mam na nią pozwolenie z komisji alianckiej, jest w kieszeni, w marynarce...

– Już ci kat zgasi ten uśmieszek, gefreiter!

Ziewnął szeroko:

– Ale z was ludzie! Myślałem, że mnie jakoś zabawicie, a wy mnie nudzicie po prostu.

Kazali mu nałożyć płaszcz i uprowadzili w noc.

Siedział na krześle przy biurku. Naprzeciw niego rozpiął się łysawy, gruby człowiek w okularach. Był to sędzia śledczy.

Już szóstą minutę trwało odczytywanie Antkowych grzechów:... dnia 11 grudnia 1920 roku pozbawił życia wystrzałem z pistoletu urzędnika straży granicznej, Franza Luebke. – Czy przyznaje się pan?

– Gdybym go wtedy nie pozbawił życia wystrzałem z pistoletu, nie mógłby pan zadać mi dziś tego pytania. Działalem w obronie własnej, mam na to świadków. Wal pan dalej!

...dnia 3 stycznia 1921 roku, działając w celach rabunkowych, pozbawił życia kapitana Reichswehry Eryka Sabota, uderzając go w głowę twardym narzędziem. Czy przyznaje się pan?

– Pan sam wie, że to bzdura...

Mijały minuty. Jedna setna tej „listy zbrodni” wystarczała, aby posłać człowieka pod katowski topór. I choć ten cały akt oskarżenia był dęty od początku do końca, to jednak Niemcy mieli szanse, aby uzyskać od alianckiego trybunału wyrok śmierci na Antka. Ale Antek wierzył w swych przyjaciół – Francuzów. Dlatego wciąż uśmiechał się lekceważąco...

Wierzył, że nic mu się stać nie może, jakkolwiek siedział już w śledztwie drugi tydzień, a interwencji francuskiej jakoś nie było. No, mogą go wyciągnąć jeszcze z samej rozprawy. Tak mocno był o tym przekonany, że na gryps przysłany mu do więzienia przez swych ludzi, którzy chcieli urządzić zbrojny napad na opolskie więzienie i tym sposobem odzyskać dowódcę, odpisał: „Żadnych głupstw, pilnować roboty. Sam się wykaraskam”.

...Sam się... Naraz Antek przestał się uśmiechać i natężył uwagę. Wszystko jest do obalenia z wyjątkiem tej sprawy Sabota. O to mogą go zahaczyć, choć on przecież Sabota nigdy na oczy nie widział. Idąc śladem poszlak, mogą mu wlepić to zabójstwo. Był bowiem w pobliżu miejsca, w którym zginął Sabot, i w tym mniej więcej czasie. Mógłby się wprawdzie wykazać niewątpliwym alibi, ale w tym wypadku musiałby wskazać miejsce, w którym przebywał. A tym miejscem był magazyn powstańczej broni. Nie. Tu trzeba coś innego wykombinować. Odrzucił usługi niemieckiego obrońcy i sam obmyślił obronę...

Codziennie z Antkowej celi strażnicy wynosili pogruchotane stoły i stołki. Sądzone, że „polski pies” wścieka się na myśl o rychłej śmierci. Antkowi było na rękę, że tak myśleli. On zaś chciał udowodnić sądowi, że nie potrzebował używać twardego narzędzia, żeby zabić człowieka. Wystarczy w tym celu cios jego pięści, cios, który rozwała deski. Ćwiczył więc wytrwale. Nocą liżał opuchłe, poranione napiętki.

Nadszedł wreszcie dzień rozprawy. W sali Trybunału Apelacyjnego w Opolu, do której wprowadzono Antka, siedzieli za stołem Francuzi, Anglicy, Włosi – stanowiący sąd wojskowy. Oskarżał niemiecki prokurator. Antek stracił trochę ducha, gdy zobaczył, że przewodniczącym trybunału jest nie Francuz, lecz Anglik darzący go zimnym, pogardliwym spojrzeniem. Zrzędnęła mu też mina, gdy ujrzał, jak Włosi gawędzą przyjaźnie z oskarżycielami.

– Imię, nazwisko, narodowość?

– Polska.

Przewodniczący zachnął, się. – Nie polska, lecz śląska. Tak jest w akcie oskarżenia!

– W akcie oskarżenia jest znacznie więcej bzdur, panie przewodniczący.

Prokurator niemiecki zerwał się z miejsca: – Ich protestiere!

Anglik wytarł starannie nos i zapytał:

– Więc pan się upiera przy narodowości polskiej?

– Tak jest. Tym bardziej że jest to jedyna realna przyczyna, dla której stanąłem przed trybunałem.

Prokurator szeptał coś nerwowo w ucho przewodniczącego. Włosi mieli miny wyraźnie skonsternowane. Francuzi uśmiechali się dyskretnie.

– Proszę o spokój. Czy w sprawie aktu oskarżenia oskarżony ma jeszcze coś do powiedzenia?

– Na razie nie.

– No to...

– Jeszcze jedno, wysoki sędzie. Czy sąd pozwoli mi zeznawać w języku angielskim?

Anglik aż podskoczył. Wybałuszył oczy, potarł dłonią czuprynę ostrzyżoną na jeża.

– Pan zna angielski? Skąd?

– Jeszcze przed wojną byłem w Anglii. Pracowałem jako ślusarz w zakładach „Morpeth” w Newcastle...

Przewodniczący rozglądał się po sali. Rzecz wreszcie:

– To bardzo ładnie z pańskiej strony, panie, panie... Kulik. Ale dlaczego chce pan zeznawać po angielsku?

– Lubię ten język. To język sojuszników mojej ojczyzny.

Francuzi zaczęli chrząkać i trącać się łokciami. Prokurator zatrzepotał dłońmi, ale uspokoił się zaraz, zmierzony zimnym wzrokiem Anglika. Anglicy patrzyli na Antka już znacznie łagodniej i z wyraźnym zainteresowaniem. Antek mrugnął wesoło do prokuratora, co tamten skwitował wściekłym grymasem.

– Wysoki sędzię – rozpoczął Antek powoli, starannie dobierając słowa – jak już wspomniałem, byłem przed wojną w Anglii i wyniosłem stamtąd dobre wspomnienia. Co mi tam jednak najbardziej zaimponowało, to waga, jaką przywiązuje się w tym pięknym kraju do sportowego wychowania młodzieży. Prawie każdy Anglik zna boks i potrafi się z pomocą własnych pięści obronić przed napaścią.

Anglik potakiwał głową. Rzekł jednak: – Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Jestem bokserem, wysoki sędzię. I doprawdy, aby zabić Sabota czy kogokolwiek innego, nie potrzebowałem używać ani łomu, ani młotka, jak mi to wmawia pan prokurator. Ja potrafię zabić człowieka pięścią. Mogę to tutaj na miejscu udowodnić.

Anglik wybałuszył oczy:

– Ciekawe, na kim chce pan to udowodnić? Mam nadzieję, że nie na mnie!

– Oczywiście, wysoki sędzię. Jeżeli sąd pozwoli, to... ot, choćby na tym stole, za którym siedzi pan protokolant.

Sędziowie spojrzeli po sobie. Anglik zdecydował:

– Dobrze, bierz pan ten stół. This is very interesting, indeed!*

* To rzeczywiście bardzo ciekawe (ang.)

Antek stanął w lekkim rozkroku, nabrał powietrza w płuca, wziął zamach, chwilę ważył pięść w powietrzu, trzasnął. Poczul nagły ostry ból w nadgarstku i... blat stołu pękł jak uderzony łomem. Sędziowie powstali z miejsc.

– Sąd udaje się na naradę!

Dzwonek wezwał ich na salę. Przewodniczący odchrząknął, spojrział wesoło na Antka i zaczął czytać monotonnym głosem:

„...uznaje się niewinnym zarzuconego mu przestępstwa i postanawia uwolnić od kary. Wyrok ten, na podstawie statutu okupacyjnego, jest prawomocny i nie podlega zaskarżeniu. Polecam natychmiast uwolnić pana Antoniego Kulika, obywatela niemieckiego narodowości polskiej, a kosztami postępowania obciążyć prokuraturę niemiecką”...

Dlaczego go nie wypuszczają? Rozprawa skończyła się o dziesiątej, teraz dochodzi czternasta, a on wciąż siedzi w celi. Chwycił stółek i wyrznął nim w drzwi. Żadnego odzewu.

Przyszli po niego dopiero koło czwartej. Miny mieli jakieś wesołe, choć niby to wściekle porykiwali; – Schnell! Raus! To dało Antkowi do myślenia: coś się w tym kryje, choć nie wie jeszcze co. Trzeba być ostrożnym, diablo ostrożnym...

W połowie dziedzińca przystanęli: Zapytał: – czego stoimy? Strażnicy wzruszyli ramionami. Antek rozejrzał się dokoła, lecz niczego nie dostrzegł. Wreszcie strażnik pod bramą dał znak, ruszyli. Brama otwierała się powoli. Antek poczuł silne pchnięcie w plecy, lecz błyskawicznie zaparł się nogami i szerokim sierpem uderzył pięścią w tył. Ktoś jęknął i zaraz rozległ się warkot motoru. Trotua-rem, tuż przed samym progiem więziennej bramy, przemknęło auto. A więc to tak! A więc w ten sposób chciano go załatwić! Teraz zrozumiał, jak się to działo, że Polacy zwalniani z opolskiego więzienia nie wracali do swoich, lecz padali ofiarą „nieszczęśliwych wypadków”. Ogarnął go szal.

Rzucił się na strażników. Odskoczyli w tył i zarepetowali karabiny. Ale tę scenę zobaczył z okna więziennego biura znajomy Antka, francuski sierżant. Za chwilę francuscy piechurzy wycelowali karabiny w Niemców. Incydent był skończony.

*

– Nie ma rady, Kulik, musi pan na jakiś czas zniknąć. To nie jest żadna dobra rada, lecz rozkaz. Wszystkie stosstruppy otrzymały rozkaz zastrzelenia pana jak psa.

– Jeżeli to się stanie, to chyba komisariat podniesie taki krzyk, że...

– Tak, tak, naturalnie. Krzyk podniesiemy, ale krzykiem

nikt jeszcze nikogo nie wskrzesił poza paroma wypadkami odnotowanymi w Nowym Testamencie. Dość tej dyskusji, panie kapitanie!

– Rozkaz.

– Uda się pan do Rybnika i tam zamelduje jako... tu ma pan wszystkie dokumenty. Proszę się ich wyuczyć na pamięć. I jeszcze jedno: nikt, ale to absolutnie nikt nie może wiedzieć dokąd pan wyjeżdża.

– Moi ludzie...

– Nikt z pańskich ludzi. Ani ojciec, ani matka, ani żona...

*

„...człowiek, który ci odda ten list, powie ci, gdzie przebywam. Teraz jeszcze nie, ale za jakiś tydzień przyjeżdż. Ten, który ci odda ten list, powie ci, jak się spotkamy. To tyle. I nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Antek.”

Doczytała do końca i powtórzyła: – Wszystko będzie dobrze.

Stary chłop podniósł się z krzesła.

– To już panienka wie wszystko.

Patrzała w okno i powtórzyła: – Wszystko będzie dobrze... Czy mam odpisać?

– Lepiej nie. Coś mi się zdaje, że... no, nie żeby łazili za mną, ale lepiej nie. Ja wszystko powiem. Co powiedzieć?

– Powiedźcie, ojciec, że... wszystko będzie dobrze...

*

Siegfried Mikke wzruszył ramionami.

– To wszystko zależy od pani. Może pani stąd wyjść w ciągu kilku minut. Albo nigdy. Niech pani powie: – gdzie jest Kulik?

Wielowatowa żarówka świeci prosto w oczy. Twarz rozmówcy tonie w głębokim cieniu. Na krześle, przy drzwiach, siedzi jakiś zbir i trzyma na kolanach pejcz. Bawi się nim, udając niecierpliwość,

zwija go w palcach i skręca. To ten, który przedwczoraj wszedł do mieszkania ciotki w mundurze policjanta, ten sam, który przedwczoraj rzekł:

– Teresa Jochemczyk? Proszę się ubrać. Pójdzie pani na komisariat. Są jakieś niedokładności w pani zameldowaniu. – Ciotka trzęsącymi się rękami zawijała w papier kawałek kołacza, ale tamten powiedział: – Po co? Ta dziewczyna zaraz wróci... – A potem... wprowadzili ją do jakiejś obskurnej kamienicy i ten zawołał: – Zamkną tę dziwkę w piwnicy!

Dwa dni przeleżała w zimnym, wilgotnym lochu. Z początku płakała i krzyczała bijąc słabymi pięściami w okute, dębowe drzwi. Potem wpadła w apatię. Nie chciała jeść, więc karmili ją, podważając zęby nożem i lejąc prosto do gardła gęstą zupę. Teraz, po dwóch dniach, przyprowadzono ją tutaj, na górę i posadzono przed człowiekiem, którego twarz skrywa głęboki cień.

– Jestem pewny, że pani wie.

– Nie wiem.

– Hmm. Pani sobie wyobraza, Fräulein Jochemczyk, że my żywimy jakieś złe zamiary w stosunku do niego. Otóż tak nie jest. Chcemy tylko dowiedzieć się od niego paru nieistotnych zresztą rzeczy. Chodzi nam o to, aby wskazał naszych ludzi, którzy wysługują się Polakom, nic więcej. Jak więc pani widzi, sprawa jest raczej prywatna. Powie nam i potem będzie mógł iść dokąd chce. Nawet z panią. Daję słowo honoru niemieckiego oficera.

– Ja nie wiem gdzie jest Antoni, niech mi pan wierzy.

Widziałam go parę miesięcy temu...

– Ja panią doskonale rozumiem, Fräulein Jochemczyk. Taka kobieta, jak pani, uczyni dla ukochanego mężczyzny wszystko. Pani bardzo zależało, żeby on się nie babrał tą robotą. Ułatwimy to pani. Niech więc pani powie, gdzie on jest. Dla pani dobra. Dla jego dobra.

– Ja nie wiem...

– A gdyby się okazało, że on nie jest wart pani wielkiej miłości? Nie jest mi przyjemnie o tym mówić, ale... mamy dowody, że on panią oszukiwał.

– Ja nie wiem, gdzie on jest.

– Ślicznie. On panią zdradzał i zdradza na każdym kroku. Proszę, niech pani to przeczyta. Pozna pani chyba jego charakter pisma?

– Ja nic nie wiem...

– Wobec tego ja pani przeczytam. Proszę słuchać: „Kochana Urszulko. W tych dniach nie będę mógł być u ciebie, ale wpadnę w poniedziałek i powetujemy sobie wszystko. Zostanę na noc. Przyślij pięknie łóżeczko”..

– Ca pani na to?

– Ja nie wiem, gdzie on jest...

Głos Mikkego przeszedł w krzyk:

– Czy nie widzisz, ty głupia dziwko, że on cię puszcza kantem? Mało ci tego listu, to ci damy sto innych dowodów! Tysiąc! Możemy tu przyprowadzić wszystkie te zdziury, z którymi spał! Gadaj!

Spuściła głowę, zaplotła palce aż zaboląło.

– Nie wiem. Nic nie wiem...

– Słuchaj Willy! Zostawiam ci tę dziwkę, naucz ją rozsądku!

Mikke wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Człowiek nazwany Willym podniósł się z krzesła i podniósł w górę pejcz...

– Gdzie jest Kulik?

Dotknęła drżącymi palcami opuchniętych, krwawo porysowanych policzków.

– Nie wiem – szepnęła.

– Ty może nie wiesz, dlaczego my go szukamy. Nie chciałem o tym mówić wcześniej, bo to przykra sprawa. Widzisz, Kulik był naszą wtyczką w organizację polską, nie wiedziałaś o tym, co? Nikt nie wiedział. Nie gap się tak, daję ci słowo honoru, że to prawda. Owszem, Kulik oddał nam usługi, ale bandzior zawsze pozostanie bandziorem. Ukradł naszą kasę i zwiął. Pomóż nam go odszukać. My

się z nim załatwimy, ale jednocześnie oddamy również przysługę Polakom. No, gdzie on jest?

– Nie wiem – zaszlochała.

– Dobrze. Czy chcesz zobaczyć dowody, że on pracował dla nas?

– Nie męczcie mnie, ja przecież nic nie wiem.

– To dopiero początek, Willy!

– Więc gdzie jest Kulik?

Leżała na podłodze zwinięta w kłębek. Wątlým jej ciałem wstrząsały dreszcze. Milczała.

Mikke kopnął ją w plecy.

– Możesz mówić?

Chwila milczenia.

– Tak.

– Gdzie jest Kulik?!

Milczała. Willy podszedł, podniósł ją za włosy, zajrzał w oczy.

– Gdzie jest Kulik?

Bili ją na zmianę. Gdy jeden się zmęczył, zaczynał drugi.

W pewnej chwili zawołała rozdzierająco: – Nie bijcie, już powiem!

– Gdzie?

– Rybnik.

– Dalej!

– Kaiserstrasse osiemnaście. Ci ludzie, u których on jest, nazywają się...

Mikke wybuchnął głośnym śmiechem:

– No i powiedz, nie miałem racji, że jesteś podła, brudna dziwka?

Uniosła się, przysiadła na piętach. Rozplakała się. Jej głęboki rozrywający szloch zmieniał tonację, aż przerodził się w głośny, histeryczny śmiech.

Rozbrzęczały się telefony, warknęły silniki samochodów. Mikke

już miał połączenie z Rybnikiem, już wołał dowódców stosstruppów, gdy nagle w słuchawce zaskrzeczał głos:

– Zawiesić wszystkie rozmowy! Alarm! Przerwać wszystkie rozmowy, alarm! Mówi Schmetterling eins, mówi Schmetterling eins! Polacy...

Trzask w słuchawce i cisza. Mikke wściekał się:

– Halo, halo! Hier...

Firankami w otwartych oknach kołysał ciepły, majowy wiatr. Niósł zapach dojrzewającego siana i naraz ni stąd, ni zowąd podrzucił pogłos jakby werbli. Gdzieś na horyzoncie zapaliła się luna. Mikke spojrzął i wiedział już wszystko...

II

Rozkołysało się morze

Wybuch powstania zaskoczył Niemców. Nawet najwięksi pesymiści w sztabach niemieckich organizacji byli zdania, że powstania oczekiwać należy nie wcześniej niż w czerwcu. A tu jednej nocy, w ciągu kilku godzin, przerwana została komunikacja i łączność, aresztowano niemieckich przywódców i działaczy, cały Śląsk rozkwitł biało-czerwonymi flagami.

Antka obudziły strzały. Zerwał się z łóżka i skoczył do kuchni. Jego gospodyni, pani Erhartowa, u której mieszkał jako Waldemar Kijonka, bezrobotny inkasent gazowni, nalewała kawę do kubków. (Tu, w Rybniku, Antek nie nawiązał żadnych kontaktów z miejscową organizacją powstańczą, po prostu przycupnął).

– Co się stało?!

Erhartowa wzruszyła ramionami.

– Strzelają. Nie słyszy pan? Takie to czasy. Jezu! – wykrzyknęła – co pan ma w ręku?

Antek schował pistolet za siebie. Zawrócił na pięcie, wpadł do swego pokoju, ubrał się szybko i wybiegł na huczącą wystrzałami ulicę. Zobaczył dwóch biegnących niemieckich policjantów, ostrzegających się gęsto cywilom z biało-czerwonymi opaskami na ramieniu. Wygarnął z ortgiesa do pierwszego z brzegu szucmana,

drugi stanął i podniósł ręce do góry. Nadbiegli powstańcy. Zrewidowali Niemca i zwrócili się do Antka.

– Coś ty za jeden?

– Nie widzisz? Sułtan turecki. Prowadźcie mnie szybko do waszej komendy!

Rybnicki komendant długo kręcił głową.

– Wierzę wam, oczywiście, chłopcy mówili, jakeście położyli, Niemca. Tylko co ja z wami zrobię? Weźmiecie dowództwo kompanii?

– Zrozumcie, ja muszę natychmiast jechać do swego rejonu.

– To po pierona meldujecie się u mnie?

– Dla porządku. I zmykam. Tam beze mnie potracą głowy...

– E, zaraz potracą! Zresztą, jak chcecie. Tylko... jak się tam dostaniecie? To kawał drogi. Niemcy już ochłonęli...

– Jakoś się dostanę. Muszę się dostać.

– No dobrze. Z Bogiem.

Komendant pochylił się nad mapą.

– Idźcie lasami, o tędy, na Książenice.

Idąc ulicami, pełnymi zbrojnych powstańców, przemyśliwał Antek nad sposobem dotarcia do swoich. Dzieliły go od nich liczne i choć zdezorientowane, ale przecież groźne niemieckie oddziały. W pewnej chwili natknął się na człowieka majstrującego koło motocykla. Jego posiadacz miał skórzany kombinezon, białoczerwona opaskę na ramieniu i wielki mauzer za pasem. Dowiedział się Antek, że ma do czynienia z inżynierem Krygierem, który zgłosił się do powstania, ale na razie kazano mu czekać, nie bardzo wiedząc, jaką mu funkcję przydzielić.

– Zawieziesz mnie do Toszka? Jestem komendantem tamtego rejonu.

Krygier przyjrzał mu się uważnie i kiwnął głową.

– Siadaj.

– Ale – ostrzegął Antek – możesz, chłopie, łeb po drodze stracić.

– Nie szkodzi, mam w zapasie drugi.

Antek usadowił się na tylnym siodełku, trzymając w prawej ręce odbezpieczony pistolet. Torbę z trzema granatami zawiesił na karku swego pilota. Ruszyli. Harley pędził na łeb na szyję, ciągnąc za sobą długą smugę kurzu, i dymu.

Kiedy wpadli do pierwszej po drodze wsi, zobaczyli na rynku liczną grupę Niemców: uzbrojonych cywilów i policjantów, którzy machali radośnie rękami, sądząc, że przybywa ktoś, aby objąć nad nimi komendę. Ich własny bowiem komendant pojechał wczoraj na odprawę i dotąd nie wrócił.

Harley, rycząc na wysokich obrotach, wpadł w tłum. Rozległy się wrzaski przerażenia i jęki przejechanych. Znikali już w ulicze, gdy posypały się bezładne strzały. Antek, raczej z obowiązku niż z przekonania, że kogoś trafi, odpowiedział ze swego ortgiesa. Na szóstym kilometrze za wsią spostrzegli na szosie grupę ludzi. Słabo zamigotała w słońcu malowana na kolor ochronny lufa cekaemu wycelowana w trakt. Harley zahamował. Krygier rzekł odwracając twarz:

– No to szlus, komendancie rejonu. Wal w łeb najpierw mnie, potem sobie. Nie udało się.

– Uważaj tylko. Ja złażę, a ty jedź dalej sam, jak gdyby nigdy nic. I zaczekaj na mnie za tamtym lasem.

– Ale przecież...

– Jazda!

Harley zawarczał i rzucił się wprzód. Zwolnił przed stojącymi na szosie ludźmi, zjechał ostrożnie na bok, stanął.

Przyskoczyli doń z wrzaskiem:

– Gdzie jest ten drugi?!

Krygier otworzył szeroko oczy:

– Jaki drugi?

– Jak cię zdziele kolbą w pysk, to będziesz wiedział!

Byli jednak skonsternowani. Kwadrans temu otrzymali telefoniczną wiadomość o dwóch uciekających polskich bandytach.

– Papiery!

Oglądali, kręcąc głowami, niemiecki dowód osobisty inżyniera Stephana Kriegera, urodzonego z matki Hildegardy z domu Knoll. Dróżką obok szosy siedł jakiś człowiek niosąc trzewiki w rękę. Przyglądał się ciekawie scenie.

– Czego się gapisz? Zmiataj!

Antek wykonał rozkaz nader skwapliwie.

Kriegerowi wymierzono parę policzków, ale niezbyt mocnych, bez przekonania, ot, żeby stało się zadość formalności. Wreszcie i on otrzymał upragniony rozkaz: – Los!

W miasteczku Ujazd powtórzyła się pierwsza scena podróży ze wszystkimi szczegółami: zbrojni Niemcy na rynku, mknący wśród nich harley, bezładna strzelanina. Po kilku minutach wariackiej jazdy Antek odwrócił się do tyłu i zobaczył ścigający ich samochód. Dwukrotnie trącił łufą w plecy inżyniera, co znaczyło: pełnym gazem!

Nad głowami świsnęło im kilka kul. Antek przekreślił się w siodełku i strzelał w tył powoli, oszczędnie. Odległość między oboma pojazdami nie zwiększała się ani nie zmniejszała, mimo to ścigający mieli przewagę: było ich więcej i uzbrojeni byli w karabiny. W pewnej chwili, mimo ryku motoru i świstu wiatru w uszach, Antek posłyszał krzyk inżyniera. Zobaczył też, że jego prawa dłoń zaciśnięta na manetce gazu drżała, a wzdłuż palców ściekały smużki gęstej, ciemnej krwi.

– Wytrzymaj, Stefan – krzyknął mu w ucho, na co tamten odpowiedział skinieniem głowy. Droga stawała się wyboista, musieli więc zwolnić, by nie skraksować. Teraz auto zbliżyło się na tyle, że rozróżnić można było twarze siedzących w nim ludzi.

Zeskoczyli z motoru i dali nura do rowu. Tego kierowca samochodu nie przewidział. Nagłe zahamowanie sześciocylindrowego rozpędzonego opla nie jest rzeczą łatwą. W pisku hamulców wóz zarzucił potężnie, ciała pasażerów przechyliły się gwałtownie i wtedy... Antek rzucił. Granat odskoczył od blachy, ale tylko na centymetry.

Błysk jaśniejszy od słońca uderzył w oczy, głuchy huk potoczył się szeroko. Antek wskoczył na siodełko harleya już w biegu... Kiedy obejrzał się, nie zobaczył samochodu. W niebo szła smuga czarnego dymu.

Po kilku godzinach jazdy ujrzeli wreszcie wieże kościoła w Warmuntowicach, gdzie był punkt koncentracji rejonu na wypadek powstania. Na wieżach kościelnych trzepotały biało-czerwone flagi.

Uzbrojeni cywile z opaskami na rękawach wyskoczyli z rowu, wymierzili z karabinów. Ich dowódca pobiegł i przyłożył Antkowi pistolet do głowy.

Antek nabrał powietrza w płuca.

– Co tak wytrzeszczasz na mnie ślip? Najpierw weźcie tego i opatrzcie, jest ranny.

Ale inżyniera Krygiera nie było na przednim siedzeniu. Leżał na ziemi zemdlony.

W sztabie podgrupy wrzała gorączkowa praca. Trzeba było napływających wciąż powstańców zorganizować w kompanie, plutony, drużyny, rozdać broń i natychmiast zacząć szkolenie. Batalion Antka liczył cztery kompanie.

Dopiero pod wieczór drugiego dnia koncentracji uspokoiło się na tyle, że Antek mógł wyciągnąć się na trawie. Sen jednak nie przychodził. Co dzieje się z Teresą? Dzieli go od niej i odległość znaczna, i rozpalająca się okrutna wojna. Czy Koźle jest w naszych rękach, czy w niemieckich, czy jakaś zabłąkana kula?... Pierunie, szlag by to wszystko trafił! Postanowił, że jak tylko front się ustabilizuje, skorzysta z pierwszej okazji, aby pojechać do Koźla, choćby nawet tam byli Niemcy, choćby nawet przyszło przedzierać się w przebraniu.

...A jeśli... co będzie, jeśli się okaże, że Teresa... już nie moja? Ech, rozklejam się. To na starość...

Konny goniec z dowództwa grupy wręczył Antkowi rozkaz – formalną nominację na dowódcę II batalionu 7 pułku piechoty. Zastępcą jego został dawny szef sztabu rejonu, Francik Rychlik. Koło

południa ukazał się nad wsią niemiecki samolot. Zatoczył kilka kręgów i umknął ostrzelany przez polskie cekaemy. Pod wieczór Niemcy próbowali atakować, lecz jakoś miękko, niezdarnie. Natarcie załamało się i uniesieni walką powstańcy chcieli ścigać wroga. Zabronił tego dowódca, obawiając się zasadzki.

*

– Kłamiesz!

Młody człowiek, chwycony za gardło żelazną pięścią Antka, wybałuszył oczy w strachu i bólu. Szarpnął się do tyłu.

– Nie kłamię, komendancie. Kazał mi to powtórzyć komendant Warzecha, jak mamulkę Kocham!

– Więc powtórz jeszcze raz!

– Komendant Warzecha powiedział: „Powiedz Kulikowi, że Teresa jest w Jaroszowie. Trzymają ją na posterunku policji”. To ja się pytam jaka Teresa, a pan Warzecha mówi, że to nie moja rzecz i że Kulik będzie wiedział. I on mówił, że sam by skoczył na Jarosów, ale że Kulikowi będzie bliżej. I jeszcze mówił pan Warzecha, że tam jest jakiś Mikke, czy ktoś. To ja powtórzyłem. Ja nic nie winien...

Antek stał z zaciśniętymi zębami, dysząc ciężko. Po jego czole i skroniach ściekał grubymi kroplami zimny pot.

– Pluton rowerzystów, alarm!

Zwiad batalionu stanął na zbiórce w ciągu minuty. Były to największe zabijaki w całym oddziale, żołnierze z frontów rosyjskiego, francuskiego, z Turcji a nawet z Syrii.

Antek wiedział, że z tymi ludźmi może iść do piekła i samego Lucyfera związać własnym ogonem. Wyglądali groźnie: obładowani bronią i amunicją, nosili na głowach niemieckie hełmy z ponabijanymi żelaznymi orłami polskimi. Zza pasów i z cholew butów sterczały im granaty.

Antek szybko wskoczył na siodelko roweru. Przycisnęli pedały.

Do Jaroszowa wpadli jak wichur. Na placu przed posterunkiem biwakował oddział policji. Rowerzyści wpadli między nich rąbiąc z karabinów i rzucając granaty. Za chwilę na placu zostały tylko trupy i ranni. Pierwszy do drzwi posterunku doskoczył Antek i w ostatniej chwili udało mu się przypaść do ziemi. Okna budynku bluznęły ogniem. Rowerzyści rozsypali się w tyralierę i odpowiedzieli strzałami. Wzorowo, jak na dawnych cesarskich manewrach, wykonywali szturm, posuwając się skokami i ani na chwilę nie przerywając palby. Powstańcze kule odłupywały ze ścian płyty tynku, rwały na strzępy framugi okien.

Antek, przyciśnięty do narożnika, raz po raz słał ze swego ortgiesa pociski z okna na parterze. Po kilku minutach strzelaniny z otworu na stryszku wychynęła biała flaga.

Ogień powstańczy umilkł. Drzwi otworzyły się, w progu stanęła Teresa.

Antek postąpił krok, ale zaraz postyszał głos Mikkego:

– Stój, Kulik, ani kroku dalej!

Teraz dopiero Antek zobaczył, że szyję Teresy oplata od tyłu męskie ramię w rękawie munduru. Dojrzał też lufę pistoletu wycelowaną spoza głowy dziewczyny.

Któryś z powstańców brał ostrożnie karabin na oko, ale Antek ofuknął go. Lufa opadła.

Za Teresą i Mikkiem stało jeszcze trzech niemieckich policjantów. Jeden z nich krwawił mocno.

– Słuchaj, Kulik! Ty nas stąd wypuścisz. Nas i tę twoją dzierlatkę. Jeśli nas wypuścisz, to ona wróci do ciebie jeszcze dziś wieczorem. Jeśli każesz strzelać, ona zginie pierwsza. Wybieraj!

Antek przełknął ślinę.

– Puść ją teraz, Mikke. Potem możesz odejść!

– Nie ma głupich, mein Junge. No! Zdecydowałeś się?

Antek spojrział w twarz Teresy. Była szara. Oczy jej były szeroko otwarte, czaiło się w nich straszliwe błaganie.

– Tereska! Co oni ci...

– Milczeć! Teraz powiedz, Kulik, coś zdecydował. Mnie jest wszystko jedno, ja nie mam nic do stracenia!

Antek z trudem rozerwał zaciśnięte zęby.

– Idź. Idź i niech cię nagły szlag trafi!

Teresa poczęła się wyrывać, ale ramię Mikkego ani drgnęło. Antek ryknął: – Nie szarp jej, łajdaku! – I podniósł lufę rewolweru.

Teresa wychrypiała:

– Strzelaj, Antek! Na wszystko cię zaklinam, strzelaj, nie wierz mu! Och, strzelaj, Antek, ja... nie... chcę... żyć, ja ciebie wyda...

Zduszony krzyk urwał się. Mikke, wciąż nie zwalniając uścisku, postąpił naprzód kryjąc się za plecami Teresy. Policjanci chyłkiem szli za nim. Karabiny w ich rękach drżały.

Antek stał jak skamieniały. Powstańcy spoglądali po sobie z bezsilną rozpaczą. Grupa Niemców cofała się tyłem, zastawiając się dziewczyną jak tarczą. Ręce Teresy na próżno usiłowały oderwać od szyi ramię Mikkego. Ten zawołał:

– Uwważaj, Kulik! Najmniejsza próba pościgu i po niej!

Po kilku chwilach Teresa i Niemcy zniknęli za rogiem ulicy. Zwabieni ciszą, zaczęli z bram wychodzić ludzie i przemykać się pod ścianami.

Powstańcy brali, rowery, dowódca stał w dalszym ciągu wpijając wzrok w miejsce, w którym zniknęła Teresa. Ktoś podszedł do niego i zapytał: – Jedziemy, komendancie? – Cofnął się zaraz. Z twarzy dowódcy biła taka rozpacz i zgroza, że żołnierz zdrzął.

Do Warmuntowic wjeżdżali witani radosnymi okrzykami. Kompanie brały właśnie spóźniony obiad. Szczęk menażek i kubków mieszał się z głośnym i smakowitym siorbaniem.

Antek, wyprostowany i sztywny, wstąpił na schodki wiodące do budynku dowództwa. Wartownik przed drzwiami sprezentował broń.

...Jednak czekał. Czekał mimo wszystko. Zrywał się na każdy turkot furmanki, na każde skrzygnięcie schodów. O północy usnął z głową na stole pokrytym mapami.

Obudził go dźwięk trąbki samochodowej. Ubierając się, wyrzwał przez okno i zobaczył dwóch oficerów włoskich gramolących się z auta.

Po chwili Rychlik meldował przybycie misji generała Lucchangelii, dowódcy alianckich sił okupacyjnych na tym terenie.

Włosi nie czuli się zbyt pewnie, choć nadrabiali miną. Zasalutowali niedbale i starszy z nich zapytał z niedowierzaniem:

- To pan jest dowódcą, tej... przepraszam: tego oddziału?
- Tak. Czego pan chce?

Włoski major wręczył Antkowi odręczne pismo generała zredagowane po niemiecku.

„Do dowódcy polskich powstańców. Rozkazują Panu natychmiast złożyć wszelką broń i wycofać swój oddział 10 km na wschód. Tam oczekiwać dalszych rozkazów. W wypadku niezastosowania się do moich zarządzeń, zostanie rozstrzelanych 40 polskich zakładników. Podpisano: generał hrabia Lucchangelii, dowódca sił alianckich”.

Antek spojrział na Włochów, którzy przestępowali z nogi na nogę. Major wybąkał:

- Pan rozumie, jest stan wojenny, generał musi się chwytać zdecydowanych środków. Mamy nadzieję, że będzie pan rozsądny i...
- Milczeć!

Antek mówił głosem spokojnym, opanowanym:

- Tych dwóch szczerów wyprowadzić na dwór i wlepić każdemu na goły tyłek piętnaście wyciorów. Potem dostaną moją odpowiedź.

Wśród dobiegających z ulicy wrzasków bitych Włochów, dyktował Antek list do generała Lucchangelii:

„W ogóle nie przyjmuję do wiadomości pańskiego idiotycznego pisma. Jedyłą instancją, upoważnioną do rozkazywania mi, są władze wojskowe Rzeczypospolitej Polskiej lub w ich imieniu Polski Komisariat Plebiscytowy. Ostrzegam, że w wypadku wykonania pańskiej barbarzyńskiej groźby, cała odpowiedzialność spadnie na pana i pańskich żołnierzy. Podpisano: Antoni Kulik, kapitan, dowódca podgrupy”.

Wprowadzono Włochów. Weszli na uginających się nogach, patrząc w ziemię. Antek bez słowa wręczył im list, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

W godzinę później zgłosiła się jakaś kobieta, donosząc z płaczem, że Włosi prowadzą szosą kilkudziesięciu cywilów na rozstrzelanie. Zameldowano o tym dowódcy, a ten poderwał na nogi pierwszą kompanię, rozwinął ją w tyralierę i stanąwszy na jej czele poprowadził biegiem w kierunku szosy. Gdy wybiegli na pagórek, zobaczyli, że szosą szło rzeczywiście kilkudziesięciu mężczyzn z związanymi rękami. Eskortowało ich z pół setki Włochów z bagnietami na karabinach. Mimo znacznej odległości słychać było zawodzenie i krzyki prowadzonych na śmierć.

Antek wydobyl pistolet z pochwy i rozkazał:

– Rozładuj broń! Bagnet na broń! Żeby mi z tych makaroniarzy żywa noga nie uszła. Naprzód!

Gdy pierwsza kompania z gromkim „hurra” skoczyła do przodu, Antek rozwinął resztę batalionu i ruszył natarciem na miasteczko, gdzie mieściła się komenda aliancka. Zdawał sobie sprawę, że waży się na krok niesłychany, zuchwały, na krok, którego skutki mogą być nieobliczalne nie tylko dla niego samego. Ale nie mógł już powstrzymać ani batalionu, ani siebie.

W kilka minut potem uwolnieni zakładnicy całowali ręce swych wybawców, którzy rozkaz dowódcy wypełnili dosłownie: z niedo-
słych katów nikt nie pozostał przy życiu.

Tymczasem czołówka Antkowego ataku wkraczała do miasteczka. Dwie włoskie kompanie, po krótkim chaotycznym oporze, rzuciły broń i podniosły ręce do góry. Dowódca francuskiej baterii z miejsca oświadczył swą przychylną neutralność. Powstańcy szli ulicami wśród okrzyków „vive la Pologne”! Szwadron angielskich kawalerzystów zamknął się i zabarykadował w koszarach, udając, że nie ma pojęcia o tym, co się dzieje.

Gdy Antek wkraczał do ratusza, w drzwiach powitał go generał Lucchangel salując niezdecydowanie i uśmiechając się głupawo. Antek stanął przed nim w rozkroku, ręce wsadził do kieszeni.

– Albo pan natychmiast w obecności oficerów francuskich i angielskich podpisze mi oświadczenie, że za to, co się stało, wyłącznie pan ponosi odpowiedzialność, albo każę pana rozstrzelać!

Generał kiwał potakująco głową, nie odrywając dłoni od daszka. Antek wyminął go bez słowa i udał się na górę. Tam, w pokoju burmistrza oczekiwali go dowódcy: angielski i francuski. Francuz wyciągnął rękę i powiedział:

– Gratuluję. O konsekwencje pańskiego czynu niech pan będzie spokojny. Postąpił pan jak prawdziwy żołnierz.

Anglik gapił się na Antka jak na egzotyczne zwierzę.

Antek poklepał go po ramieniu i rzekł po angielsku, z uśmiechem:

– Nic się pan nie martw. Wprawdzie Polacy odrzynają jeńcom nosy i uszy, ale panu wsadzimy tylko arbuza do tyłka.

Anglik zemdłał.

*

Trwał bój. Brawurowe z początku natarcie polskich pułków utknęło i szło dalej mozolnie, długo i krwawo. Powstańcza artyleria raz po raz wznawiała „huraganowy ogień” z dwóch dział, przenosiła go, gdy piechota zrywała się do szturm, i znowu skracała, kiedy przeredzone tyraliery Ślązaków zalegały w bujnej, pachnącej kwieciami trawie. Niemcy byli znakomicie okopani i mieli przewagę w

ludziach i broni. Bili się też zawzięcie, rozumiejąc, że sukces polskiego natarcia oznaczać będzie połączenie się sił Opolszczyzny z pułkami atakującymi od Gliwic.

Upał był nieznośny. Po twarzach walczących spływał pot, zasychało w ustach i gardle, parzyła broń rozpalona słońcem i ogniem.

Batalion Antka był w odwodzie. Żołnierze sarkali głośno. Paradoksalnie brzmiały po cichu wypowiedane pobożne życzenia, aby tamtym, którzy są w akcji, nie udało się złamać niemieckiego oporu. Wtedy może oni pójdą wreszcie do bitwy. Antek stoi zżymał się i wściekał, ale nie pokazywał tego po sobie.

Gorący wiatr roznosił zapach łąk i prochu. Jak dziecięcy w lesie kuły karabiny maszynowe, jak huk siekier brzmiały artyleryjskie wybuchy.

Na spienionym koniu wpadł na polanę goniec z dowództwa grupy. Ochrypłym głosem wołał:

– Dowódca batalionu! Gdzie jest dowódca batalionu?! – Odnalazłszy Antka, wetknął mu w rękę kartkę papieru, spiął konia ostrogami, aż ten przysiadł na zadzie, i pomknął z powrotem.

– Alarm!

Treść kartki była następująca: „II batalion uderzy natychmiast po osi Poręba-Księżny Las z zadaniem zdobycia i oczyszczenia z nieprzyjaciela tartaku Poręba. Podpisano: Majcherski – dowódca grupy”.

Żołnierze drugiego batalionu szybko dopinali oporządzenie, upychając po kieszeniach nie mieszczące się w ładownicach łódki z nabojami. Cekaemiści z maszynkami na ramieniu biegli szybko, by zająć przygotowane uprzednio stanowiska, z których będą mogli wesprzeć natarcie.

Po krótkiej odprawie z dowódcami kompanii, Antek zebrał wokół siebie rowerzystów.

– Ryzyko, chłopcy, jest pierońskie. Jak nas złapią ogniem, to mogiła. Ale są szanse. Nie żałować nóg ani pedałów. To oczywiście

we własnym interesie. Gdy doskoczycie do skarpy, rzucać rowery i skakać na tartak z granatami. Wtedy ruszy reszta batalionu. I jeszcze jedno: kto nie czuje się na siłach, niech wystąpi. Pójdzie do walki z batalionem. Kto teraz wystąpi, do tego nie będę miał żalu.

Czekam jedną minutę.

– Tego się spodziewałem. Poprowadzę was osobiście. Zastępca! Gdy będziemy na skarpie, ruszysz pierwszą i trzecią kompanią. Druga i czwarta w odwodzie. Zwiadowcy za mną! Cekaemy ognia!

Zaterkotały maszyny. Pluton cyklistów podszedł, prowadząc rowery aż pod sam szczyt wzgórza. Tam każdy siadł na siodełku, karabin przewiesił przez piersi, prawą nogą mocno zaparł się w ziemię, by wziąć silne odbicie. Antek obejrzał ich raz jeszcze, po czym zawołał: – Jazda!

Skoczyli. Bezludną kupą przewalili się przez szczyt wzgórza, rozciągnęli na moment w węża, znowu skupili i mknęli, mknęli na złamanie karku cisnąc pedały, aż rwało w udach i łydkach. Z tartaku bluznął ogień. Kule zadzwoniły o szprychy, dwóch z końca wyko-pyrtnęło się z miejsca, trzeci wypuścił z rąk kierownicę i jechał jeszcze chwilę kiwając na boki ściętą w pół czaszką.

Strumienie kul wrywały z szosy bryzgi kamieni i żwiru, wznosiły krótkie szybkie kolumnienki kurzu. Jakiś ranny zjechał na bok i rzuciwszy rower przykleknął, ktoś wrzasnął: „Maryjko święta!” Ale już pierwsi doskakiwali do skarpy, już rzucali rowery na ziemię, już szarpali zawleczone granatów.

Z tyłu podniósł się potężny krzyk. To Francik Rychlik, były niemiecki feldfebel znad Sommy, wiódł batalion do boju. Coś się pokręciło staremu pruskiemu podoficerowi, bo zamiast krzyknąć komendę „bagnet na broń”, ryknął „Bajonett auf!” Ale poprawił się wołając: – Pracę germanów!

Rowerzyści rzucili granaty i pod ich osłoną pobiegli na tartak.

Ogień ustał raptownie. Niemcy porzucili ciężką broń i wrywali do tyłu.

– Ognia im w zady! – rozkazał Antek. Strzelcy zmieszali się ze zwiadowcami. Biegli teraz zgodnie, waląc z karabinów od bioder. Uciekający Niemcy raz po raz fikali kozły – teraz oni biegli otwartą przestrzenią, rażeni przez kule, zaścielając trupami dziedziniec tartaku. Jakaś grupka Niemców nie zdążyła się wycofać i kłębiła się teraz wśród krzyków i błagań o litość, wyrzynana powstańczymi bagnietami. Tartak Poręba był zdobyty.

Powstańcy chodzili po pobojowisku zbierając broń. Najdłużej przepatrywał pole ich dowódca. On nie szukał broni, on szukał jednego, jedyne go człowieka. Człowieka, co do którego przysiągł sobie, że go dostanie żywego czy umarłego...

Po zwycięskiej bitwie, w wyniku której przełamana została niemiecka obrona i połączyły się siły powstańcze, poszedł Antek na punkt zborny jeńców. Oficerowie sztabu grupy wypytywali ich o różne rzeczy. Antek pytał o jedno: – czy ktoś widział lub słyszał, czy ktoś coś wie o Zygfrydzie i Teresie.

Słał gońców do Koźła, lecz wracali z jedną i tą samą wiadomością: nie ma, nie wróciła, ciotka nic nie wie. To samo odpowiedział Bytom, dołączając rozpaczliwe pogrożki, stary wpędził jej dziecko w nieszczęście. Ludzie z oddziału informacyjnego sztabu powstania obiecywali, że uczynią wszystko, co w ich mocy.

Wiadomość wreszcie nadeszła. Otóż jakiś wystraszony orgeszowiec, wzięty do niewoli przed tygodniem, zeznał, iż widział kiedyś w Opolu kobietę, której wygląd zgadzał się z opisem Antka. Jechała samochodem w towarzystwie oberleutnanta Reichswehry. Śmiała się, rozmawiała wesoło.

Ubrana była bardzo elegancko. Orgeszowiec rozgadał się na dobre, ale kiedy spojrzał w oczy swego rozmówcy, urwał nagle. Zaczął gorąco zapewniać, że to omyłka, że tamta była raczej szatynką czy zgoła brunetką. Bełkotał:

– Pan sam wie, Herr Offizier, że dużo jest blondynek i dużo oberleutnantów. Ja nic nie wiem, ja jestem uczciwym człowiekiem, a do orgeszu wzięli mnie szantażem. A było to tak...

Antek zawrócił na pięcie i odszedł.

To, co usłyszała, nie mogło być prawdą, to nie mogła być Teresa. Każda inna, lecz nie Teresa. Przecież wtedy, gdy Mikke się krył za jej plecami, ona wołała: – strzelaj! Nie chciała żyć z dala od niego. To nie mogła być Teresa, bo jeśli ta, którą widział ten zaśliniony orgeszowiec, była Teresą, to nie ma już po co żyć na świecie.

Jedno jest pewne, Mikke jest na Śląsku. Byli już jeńcy, którzy nic nie mówili, nic nie wiedzieli o Teresie, ale którzy z Mikkiem służyli w jednym pułku. Był to 122 pułk Reichswehry, sformowany z kadry batalionu policyjnego.

Byli jeńcy i z tego pułku, ale nikt z reguły o niczym nie wiedział. Z wyjątkiem tego orgeszowca.

– Stój, kto idzie?

...Nawet jeśli przypuścić, że tamta para, którą widział w Opolu, to była Teresa i Mikke. Nawet jeśli przyjąć to oczywiste nieprawdopodobieństwo, to...

– Stój, bo strzelałam!

Przystanął. W zapadającym mroku rysowała się sylwetka wartownika z nastawionym karabinem.

– Czego się drzesz, pieronie, jakby ci skwarki z zadka robili?

– Ach, to wy, komendancie. Niewiele brakowało, żebyście wam kulę w brzuch wraził...

W długiego węża wyciągnęły się Antkowe kompanie maszerujące na Deszczowice. Pieśń przewalała się nad nimi jak grzmot. Dziarsko były w nawierzchnię szosy ciężkie, żołnierskie buciory. Zupełnie inaczej wyglądał dziś batalion niż w pierwszych dniach powstania. Żołnierze nieśli na ramionach nowiutką, zdobyczną broń, wszyscy

mieli pasy i ładownice pełne naboí. Niektóre plutony nosiły z fantazją niemieckie mundury z biało-czerwonymi opaskami na rękawach,.

Gdy batalion przechodził przez wieś, z chałup wysypywali się ludzie i witali maszerujące wojsko płaczem radości. Jeszcze dwa dni temu byli tutaj Niemcy. Świadczyły o tym sterczące kominy popalonych chat i świeże, nie porośnięte jeszcze trawą mogiły pomęczonych i rozstrzelanych. Kobiety wносиły mleko w dzbankach i stągiewkach.

Powstańcy chleptali je, oblewając sobie koszule. Padały żartobliwe uwagi: – Tak, to można wojować!

Z szosy kompanie wyszły na bity trakt i tu powstańcza pieśń dostała skrzydeł.

Huknęło z tysiąca piersi:

*A jak nie powrócę, listy będę pisał,
listy będę pisał
ty będziesz czytała, ty będziesz płakała,
ja nie będę słyszał...*

Na czele batalionu jechał konno dowódca. Ponury jak noc.

*

Na Odrę! Wszystkie rozkazy dowództw grup i podgrup powstańczych zawierały to hasło. Wróg rozgromiony pod Kędzierzynom cofał się na zachód, jak ranny wilk, który jeszcze kąsa, jeszcze się odgryza. Na jego karku pędziły zwycięskie powstańcze tyraliery wyzwajające miasta i wsie, prąc ku Odrze.

Trzeba teraz wroga przyprzeć do rzeki, zdusić i wyrzucić za rzekę. A potem – przejść Odrę i iść, na stary Wrocław.

Niemcy postanowili bronić Odry za wszelką cenę. Dzień i noc pędziły z głębi Niemiec pociągi z wojskiem i armatami, dzień i noc sypał wróg szańce i okopy, budował zasieki z drutu kolczastego,

ustawiał działa, karabiny maszynowe i moździerz.

Gęstniał, krzepł, konsolidował się niemiecki opór. Stawał się zacięty, nieustępliwy. Nadział się nań idący w awangardzie polskiej ofensywy waleczny pułk piąty i zasłał pole trupami, zerwał się znowu i znowu zwinął w morderczym ogniu. Trzeci raz poderwał dowódca resztki pułku.

W rozpaczliwym zrywie wziął karabin do ręki i poprowadził swoich ze śpiewem „Hej, kto Polak na bagnety!” Szli piątacy jak na defiladzie, nie kryjąc się, nie chowając, padali tylko trafieni. Szli i padali, a w oczach było im błękitnie, bo odbijała się w nich sina Odra...

Batalion Antka uderzył o świcie. Skoczyły najpierw kompanie pierwsza i czwarta, dwie pozostałe powiodł w odwodzie waleczny i jak zawsze zasapany Rychlik. Biegli grzęznąc w gogolińskich bagnach, przedzierając się przez zarośla, biegli mijając płonącą w prawo od nich wieś. Zatrzymała się, zaległa na chwilę wybita do głowy trzecia kompania, doszlusowała zaraz do niej zdziesiątkowana czwarta.

Do rzeźącego z morderczego wysiłku Antka doczołgał się goniec z dowództwa przynosząc lakoniczny rozkaz: „Wstrzymać tę rzeź”.

– Skokami, pojedynczo, do tyłu – rozdarł się Antek, usiłując przekrzyczeć huk bitwy.

Ktoś z prawej flanki, chłop wielki jak góra, odkrzyknął: g ! Podniósł się na całą wysokość i pobiegł ku widocznej już rzece. Padł zadzierając wysoko nogi. Ale już gramoliły się z bagna dziesiątki, setki, jak świetlisty deszcz zamigotały we wschodzącym słońcu bagnety. Hurraaaaa!

Oczy poraziło światło, pękły bębenki w uszach. I wtedy taki młody chłopak – mało kto go znał, bo przypętał się skądś spod Szopienic, podniósł się i zaciągnął wysokim, chłopięcym falsetem: „Jeszcze Polska nie zginęła”! Kompanie runęły w przód. „Póki my żyjeeeemy...., niosło się po chaszczach i nadbrzeżnych łągach.

Niemcom włosy zjeżyły się pod hełmami. Już myśleli, że wybili,

wymordowali w pień ten obłąkany batalion, gdy oto nagle jak diabły spod ziemi jęli na nich wyskakiwać czarni od błota i czerwoni od krwi powstańcy. Mdlejące palce obrońców raz po raz szarpały spusty karabinów, kciuki cisnęły w przerażeniu cyngle cekaemów, ale tamci już doszli.

Strzelając przed siebie z ortgiesa, zawołał Antek. – Rzniiiij!

I zaczęła się straszliwa rzeź.

W tym boju, prowadzonym ostatkiem tchu, granaty były po hełmach, lufy karabinów wpierały się w brzuchy, bagnety kłuły krótko w twarze i piersi. Przepierali się tak dłuższy czas wśród postękiwania, deptąc po rosnących zwałach trupów, aż Niemcy nie wytrzymali impetu polskiego szturmu. Bici kolbami, kluci bagnietami, roznoszeni na strzepy przez granaty, zaczęli się cofać...

Niektórzy rzucali broń i padali na kolana z okrzykiem „erbar-men”*, inni przewracali się udając zabitych, inni jeszcze z obłąkanym wrzaskiem podawali tył, ale nikogo nie szczędziły mściwe bagnety.

* Litości!

Wreszcie z oparów krwi i dymu zaczęły wylaniać się błotniste brzegi rzeki. Niemcy rzucali się w nią całymi gromadami i znikali pod powierzchnią wody kipiącej od kul. Powstańcy dochodzili do brzegu zataczając się jak pijani. Pierwszy doszedł goniec Antka, Zeflik mu było na imię, kowal z Kędzierzyna. Ukłął na brzegu i przybliżył j twarz ku wodzie chcąc się napić, gdyż w gardle miał sucho, a w piersiach boleśnie. Wtedy kula z drugiego brzegu trafiła go w serce, więc już nie pił, tylko prosto w wodę wyrzucił krew ustami...

Za nimi płonął Gogolin, paliły się Sławięcice, dymiły Krapkowice. A oni siadali w błocie utrudzeni straszliwie i szczęśliwi, że doszli...

Biegał wśród nich dowódca i piorąc kolbą pistoletu przymuszał,

żeby się kryli, bo ogień znów idzie, ale w odpowiedzi słyszał tylko zachrypięte, zachwycone: Odra, Odra...

Wkrótce komisja aliancka uznała Odrę za linię demarkacyjną między siłami polskimi i niemieckimi. Tylko artyleria huczała po obu stronach wody, śląc sobie wzajemne groźby...

Nastaly dni bezwzględnej spokoju. Skrwawiony batalion Antka uzupełniał straty w ludziach i sprzęcie. Znów Antek chodził do jeńческих obozów i pytał, czy kto słyszał o jednym wysmukłym niemieckim oberleutnancie i szczupłej polskiej pannie. Ale pytał z takim błyskiem w oczach, że jeśli nawet ktoś coś wiedział – bał się powiedzieć.

W batalionie Antka było wielu żołnierzy, których rodzinne wsie leżały na lewym brzegu Odry. Ci prosili dowódcę, aby im pozwolił wypuścić się za rzekę w przebraniu i odwiedzić bliskich. Antek pozwalał, choć dowództwo powstania zabroniło tego surowo. Nie zawsze uznawał rozkazy. Toteż często on sam lub oficerowie batalionu prowadzili za Odrę patrole. Po każdej takiej wyprawie telefonistki w sztabach niemieckich, polskich i alianckich dostawały bzika. Rozkazy, skargi, zakazy, żądania wyjaśnień, upomnienia i ostrzeżenia biegały na wszystkie strony. Ale noc w noc wychodziły za rzekę patrole II batalionu.

Pewnego razu wracał patrol sześciuosobowy, którym dowodzili Antek i Rychlik.. Noc była ciemna, cicha, dawał się tylko słyszeć szum wiatru i bulgot odrzanych fal.

W pewnej chwili zatrzymał ich ostry głos:

– Halt! Wer da?

Antek już złożył się do strzału, lecz Rychlik ścisnął go za łokieć i zawołał po niemiecku:

– A cóż to za bydlę wydziera się tutaj, jakby był na placu koszarowym!

Nastala chwila ciszy, po której odezwał się młody głos: y– Leutnant Ziegler z drugiej kompanii karabinów maszynowych.

Antek chciał coś wtrącić, ale Rychlik kopnął go w kostkę i odkrzyknął:

– Gdzieś pan się schował w tej przeklętej dziurze?. Już od godziny szukam pana jak głupi! Natychmiast marsz za mną, tylko ciho, żebyśmy się nie nadziali na tych polskich Tatarów!

Porucznik nakazał swoim: – Alle auf! Marsch! – W ciemności widać było, jak Niemcy podnoszą się z ziemi i zarzucają na ramiona podstawy maszynek.

– Tędy – pouczał Rychlik Niemca, podczas gdy Antek z resztą powstańców pobiegł do przodu, aby przygotować stacjonującą w pobliżu pierwszą kompanię na przyjęcie niespodziewanych gości.

Pluton porucznika Zieglera, prowadzony przez Rychlika, przeszedł już brodem rzekę, kiedy rozległo się:

– Halt! Wer da?

– Leutnant Ziegler z drugiej kompanii karabinów maszynowych!

– To bardzo ładnie. A teraz, leutnancie, odepnij ładnie pas z pistoletem i każ rzucić broń swoim ludziom, bo inaczej zrobimy z was gulasz!

Rozbłysnął reflektor samochodu i leutnant Ziegler zobaczył dziesiątki luf wycelowanych w siebie i swój pluton. Chciał coś powiedzieć, otworzył nawet usta, ale jakoś zrezygnował z pogawędki. Powolnym ruchem podniósł ręce do góry.

Wprowadzony do kwatery dowództwa batalionu rozpląkał się jak dziecko. Mówił, łkając: – Dałem się wziąć jak skończony dureń, jak ostatni idiota!

Powstańcy rechotali. Antkowi żal się zrobiło tego dzieciaka. Poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Niech się pan tak nie przejmuje. Najdzielniejszemu żołnierzowi może się przytrafić taka pechowa historia. Francuzi mówią: à la guerre comme à la guerre... Miał pan wyjątkowego pecha.

– Danke, Herr Hauptmann!

– Niech pan siada. Z jakiego pan jest pułku?

Podczas gdy adiutant batalionu notował zeznania jeńca, Antek chodził po pokoju, łamiąc niecierpliwie palce. Przystanął:

– Skończyłeś, adiutancie? To zostaw mnie z nim na chwilę. Pannie poruczniku – zwrócił się do jeńca, gdy za adiutantem zamknęły się drzwi – może pan zapali?

– Dziękuję, nie palę.

– Ach, racja... pan ma chyba z dwadzieścia lat, co?

– Dziewiętnaście, panie kapitanie.

– Niech mi pan powie, czy zna pan oberleutnanta Siegfrieda Mikkego? Wysoki, szczupły szatyn ze szramą na policzku?

Jeniec popatrzył nieufnie, wzruszył ramionami.

– Nie wiem, w jakim celu pan pyta?

– Widzę, że zachowuje się pan jak żołnierz. Widzi pan, z oberleutnantem Mikkem byłem razem pod Verdun, to mój dobry kolega. Nawet przyjaciel, taki, wie pan, do grobowej deski. Byłoby mi niezmiernie przykro, gdyby się okazało, że zginął lub że przydarzyło mu się coś złego.

– Pan był pod Verdun? Pan jest niemieckim żołnierzem i walczy pan przeciwko...

– Pytam, czy zna pan Mikkego.

– Znam. To bardzo dobry oficer.

– Zgadza się. A co się z nim dzieje?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że powodzi mu się chyba dobrze.

– Dzięki Bogu... – Antek otarł pot z czoła i ciągnął powoli dalej:

– A... ta jego kochanka... taka blondynka, niebieskie oczy... Może ją pan widział?

– O ile wiem, Oberleutnant Mikke ma wiele kochanek.

– A więc nic się nie zmienił, stary Siegfried! Ale mnie chodzi o taką, jak mówiłem, szczupłą blondynkę, taką filigranową, wie pan...

– Zdaje mi się, że wiem, o kogo panu chodzi. Widziałem ją

parokrotnie. Ona już... – wyrwało się z ust jeńca.

Umilkł, zwiesił głowę.

– Co?

– Nic. Chciałem powiedzieć, że ona już nie jest w Opolu. To znaczy... Na Boga! Niech pan schowa ten pistolet! Niech pan nie strzela!

– Nie zastrzelę cię, chłopaczku, jeśli powiesz mi wszystko co wiesz. Verstanden?

– Powiem...

Antek słuchał, i w miarę jak Ziegler opowiadał, bladł coraz bardziej.

– A więc tak: Mikke przytąszczył skądś dziewczynę. To była narzeczona czy kochanka jakiegoś polskiego bandyty, to jest, chciałem powiedzieć – powstańca. Tak, to była bardzo ładna dziewczyna, to się widziało od razu, mimo że była bardzo...

– Co bardzo?!

– No... taka zmęczona, wychudła, zbiedzona, powiedziałbym. Chcę powiedzieć, że to mi się bardzo nie podobało...

– Dalej!

– A zatem: Mikke zaprowadził ją na swoją kwaterę i ona tam chciała się otruć. Ledwo ją odratowali. Pogryzła szkło, dobrze zresztą nie wiem. Ja przy tym nie byłem, tylko koledzy w kasynie opowiadali. Ktoś nawet słyszał, jak ona błagała Mikkego z płaczem, żeby uczynił jej łaskę i zabił ją. Jeżeli to ma jakieś znaczenie, to Mikke miał parę razy posiniaczoną i podrapaną twarz. Więc on ją związał. Muszę zaznaczyć, że u wielu kolegów budziło to oburzenie... Później...

– Co później?

– Później uspokoiła się. Raz ją Mikke przyprowadził do kasyna. Ona się wtedy upiła i chciała wyskoczyć oknem. Mikke jej mówił, żeby się nie wygłupiała, bo rozumie chyba, że dla niej nie ma powrotu. Co pan chce zrobić?

– Nic, niech się pan nie boi. Niech pan mówi dalej.

– Ona jeździła z Mikkem na spacer. Potem znów mówili, że wyrwała mu pistolet i chciała go zabić, więc on ją zbił. To wiem tylko ze słyszenia. Aż którejś nocy... Czy mogą się napić wody? Dziękuję. Tak, to rzeczywiście okropne...

– Co jest, do jasnej cholery, okropne?! Mów, bo ci łeb roztrząskam!

– Było to, zdaje się, w drugiej połowie maja... Nie wiem dokładnie, jaki to miało przebieg, bo ja przecież tam nie byłem. Ale rano przyszedł do kasyna Mikke i... no, ktoś go zapytał, jak mu się dziś spało z tą Polką. A Mikke odrzekł, że zastrzelił ją jak sukę, bo chciała go ponownie zabić. Potem mówił, że nie chciała go zabić, tylko uciekać, że to bardzo niebezpieczny ptaszek. Podobno była szpiegiem. Tak mówił Mikke. Nikt się specjalnie nie dopytywał, choć było nam jej żal. Ale Mikkego wszyscy się trochę bali...

– Taak. A co się stało z ciałem?

– Nie wiem. Ja jej nie widziałem po śmierci. Nie wiem, gdzie ją pochowano. Ja właściwie nic nie wiem, przysięgam. Niech pan tak na mnie nie patrzy! Czy... czy każe mnie pan rozstrzelać?

Antek nie odpowiedział. Zatoczył się i wsparł ramieniem o framugę drzwi. Wsunął kciuk w usta i zagryzł tak mocno, że trysnęła krew...

*

...Było to w drugiej połowie maja. Na skwerach śpiewały słowiki. Noc była jasna, księżycowa. Pachniały bzy i jaśminy. Znużony miłością, Mikke usnął wsparłszy głowę na ramieniu Teresy. Delikatnie wsunęła rękę pod poduszkę, ale tam nie było broni. Zrozumiała, że jej nie znajdzie, że Mikke dobrze schował przed nią wszystko, czym można zabić lub choćby skaleczyć. Spojrzała przez otwarte okno w lśniące niebo podparte rozchwianymi koronami drzew. – Boję się – pomyślała – dlaczego ja się właściwie boję? Nie mam przecież już nic, nie mam nikogo. Jestem zwykłą szmatą, niemiecką ścierką. I

gdybym tylko ciebie, Antek, mogła jeszcze zobaczyć, tak, żebyś ty mnie nie widział, bo jak na mnie spojrzysz... – Wzdrygnęła się. Mikke zamruczał coś przez sen.

Dlaczego serce chce pęknąć? Dlaczego umiera człowiek, który nie chce śmierci, i dlaczego żyje ten, kto żyć nie chce?

Zerwała się z łóżka, zdarła kołdrę z kochanka. Parsknęła mu śmiechem w wybałuszone, nieprzytomne od snu oczy i wskoczyła na parapet, a stamtąd do ogrodu. Nagi Mikke już był przy oknie z pistoletem w ręku. Powiedział spokojnie: – Nie będę latał za tobą. W ogóle znudziłaś mi się, ty i twoje fanaberie. Liczę do pięciu. Jeżeli po pięciu sekundach nie wrócisz...

Odwróciła się na pięcie i wolnym tanecznym krokiem szła przez ogród.

– Dwa! Trzy!

Patrzała w księżyc uśmiechnięta, szczęśliwa. Dłonie wsparła na biodrach...

– Cztery! Pięć! Wracasz, ty dziwko, czy nie?

Zachciało jej się śpiewać. Otworzyła usta... i księżyc stał się nagle cały czerwony, i purpurą się rozlał po niebie.

Upadła na trawę, z otwartych do śpiewu ust wyszedł zachwycony, szczęśliwy szept...

*

Dotąd bano się go, to prawda, ale więcej kochano. Za brawurę i za szorstką serdeczność, jaką miał dla żołnierzy, za to, że był jednym z nich, chłopcem z familoka, że nie był taki jak ci wymuskani paniczkowie w sztabach. Żołnierz drugiego batalionu wiedział, że łatwo od komendanta oberwać albo przykre słowo, albo nawet po pysku, gdy wymagała tego potrzeba. I jeśli kto nawet oberwał, nie obrażał się – przyjmował to tak, jakby dostał od kumpla czy starszego brata – wszystko działo się w rodzinie. I oto stało się, że komendant, tak bardzo swój, że układano o nim (nie zawsze cenzuralne)

pieśniczki, stał się jakiś daleki, obcy, dziwny. Ktoś powiedział, że komendant jest... nie z tego świata. Była w tym jakaś dziwna ponura prawda. Na pozór nic się nie zmieniło. O żołnierzy dbał nadal jak rodzony ojciec, w bój jak zawsze szedł pierwszy, tylko... powstańcy szeptali sobie, że komendant szuka śmierci, bo go jakies wielkie nieszczęście spotkało. Usiłował ten i ów jak dawniej serdecznie, rubasznie wypytywać Antka, co go truje i gnębi, ale w odpowiedzi otrzymywał takie spojrzenie, że kulił się w sobie i zmykał gdzie pieprz rośnie.

To nie był już dawny Antek. Nie podchodził do ludzi, nie dawał żartobliwej sójki w bok, że aż świeczki w oczach stawały, nie mówił już: – Dejcie, chłopeczki, cuga! Nie żartował jak pod Gogolinem: – Kto jest głodny? – Wystąpiło wtedy kilku, a komendant im tak: – To udawajcie, że nie czujecie! – Miewał też chwile szału czy zamroczenia. Gdy prowadzono jeńców, stawał przy szosie i patrzył jak głodny wilk. Często wyrывał pistolet z kabury i przykładając jeńcom do głów wrzeszczał: – Kto wie, gdzie jest Mikke?! – Gdy strwożeni cofali się przed nim, zapewniał ich gorąco: – Nic się nie martwicie, ja go znajdę!

Pił dużo. Gdy język mu się już dobrze plątał, mruczał do siebie: – Ja go znajdę, ja znam adres... – Kiedyś strofowali go przyjaciele i przełożeni, że się niepotrzebnie naraża w ogniu, odpowiedział z rozdzierającym uśmiechem: – Nie bójcie się o mnie, ja nie zginę, póki jego nie znajdę...

Dostał awans na majora, a dowództwo powstańcze zatwierdziło jego krzyż *Virtuti Militari*. Na przyjęcie wydane z tej okazji przez dowódcę grupy nawet się nie umył i nie ogolił. Drewnianym głosem podziękował za zaszczyt, lyknął spirytusu prosto z butelki i wyszedł roztrącając wszystkich. Później widziano go, jak łąził nad Odrą, ostrzeliwany przez niemieckie placówki. – Wypalił się chłop – powiedział wtedy komendant Majcherski.

Na odcinek drugiego batalionu, mimo zarządzanego przez alian-tów zawieszenia broni, raz po raz waliły artyleryjskie pociski. Do-wództwo zabroniło odpowiadać ogniem, więc Antek zgrzytał tylko zębami. Ale kiedy pewnego ranka granat utłukł mu dwóch ludzi i trzech poranił, nie wytrzymał. Rypnął z mózdzierzy, poprawił z pod-ległej sobie baterii haubic. Nastął spokój.

Okolo południa na odrzański most wjechał samochód wojskowy z angielską flagą. Po kilku minutach na podwórzu domu, gdzie mieści-ła się kwatera Antka, gramolił się z wozu czerwony na twarzy bry-tyjski generał w towarzystwie adiutanta. Po dziedzińcu kręcili się powstańcy i nikomu, nie przyszło do głowy, żeby stanąć na baczność przed generałem. Ten dopadł pierwszego z brzegu wojaka i wrzasnął na niego:

– Warum begruessen sie mich nicht?*

* Dlaczego nie salutujecie?

Powstaniec wytrzeszczał oczy i odparł z głupia frant:

– Dzień dobry panu. Czy spał pan dobrze dzisiejszej nocy?

Generał aż przysiadł ze złości. Zaczął się głośno domagać, aby mu powiedziano, gdzie jest dowódca. Powstańcy pokazywali kciu-kami na drzwi domu. Za chwilę generał stał w pokoju przy stole i walił weń trzcinką.

– Wydałem kategoryczny zakaz otwierania ognia. Tymczasem pan ten zakaz złamał. Pan „Ostrzelał zachodni brzeg. Pan tam naza-bijał ludzi!

– Owszem, starałem się.

– To bezczelność! Ja pana... ja panu... ja z panem...

– Niech pan spocznie, panie generale. Polecam ten oto fotel, jest bardzo wygodny. Albo może posadzić pana na tej kanapie?

– Już ja pana posadzę!

– Najpierw przestanie pan wymachiwać mi trzcinką przed no-sem, dobrze? Następnie usiądzie pan i to natychmiast. A wreszcie zamknie pan swój bezczelny dziób.

Antek mówił spokojnie, dobitnym głosem, starannie akcentując wyrazy. Poskutkowało. Generał usiadł i umilkł.

Spoglądał dokoła nic nie rozumiejąc, pytał wzrokiem adiutanta, co ten o tym wszystkim myśli.

– Panie generale – odezwał się Antek po krótkiej chwili milczenia – możemy przecież porozmawiać spokojnie i przyjaźnie.

Podszedł do szafy i wydobył z niej butelkę czerwonego płynu i szklanki.

– Proponuję, abyśmy wypili za pomyślność Brytyjskiego Imperium!

Generał zgłupiał zupełnie. Bąkał coś, że nie po to tu przyjechał, ale ostatecznie może wychylić szklaneczkę wina, co jednak wcale nie znaczy, aby nie wyciągnął konsekwencji z niesłuchanego postępu Antka. Znów zaczął się zapalać, ale szklanki były już nalane. Antek wychylił swoją bez zmruczenia, generał wypił, zakrzusił się, oczy wyszły mu z orbit, wreszcie, gdy złapał dech, wrzasnął:

– Co to jest?!

– Okowita. Taka nie czyszczona wódka.

– A dlaczego to jest czerwone?

– Bo trochę skażone. Ale my, jak pan widzi, pijemy i nic nam nie szkodzi. No, może trochę po tym źle widać. A teraz zdrowie króla, panie generale! Jeśli pan odmówi... będę to uważał za obrazę Jego Królewskiej Mości, z wszystkimi konsekwencjami!

Generał potoczył wściekłym wzrokiem.

– Pan mi za to zapłaci!

– Nawet zaraz. Warta!

Do pokoju wpadło czterech powstańców z bagnetami na karabinach.

– Ja idę się przejść. Pan generał i jego adiutant zostaną tutaj do mojego powrotu. Będą stać grzecznie pod ścianą w postawie na baczność. Gdyby się który ruszył, wyciągnąć mu bebechy i wyrzucić za okno. – To ostatnie zdanie przetłumaczył Antek na angielski.

Powstańcy stanęli przy gościach. Antek zsalutował drwiąco i wyszedł. Wrócił po pół godziny i zwolnił jeńców, którzy bez słowa ruszyli do swego samochodu.

Sprawa oparła się o dowództwo powstania, którego cywilny komisarz zażądał dla Antka sądu polowego i kuli w łeb. I nie wiadomo czym by się skończył ten wybryk komendanta Kulika, gdyby w pewnej chwili nie przypomniało sobie, że jest to człowiek, którego zasługi polegają nie tylko na ośmieszaniu alianckich generałów. Lecz i w tym wypadku mogło się skończyć nie najlepiej, gdyby Antkowi nie przyszli w sukurs sami Niemcy, którzy złamali ogłoszone zawieszenie broni i zaatakowali na całej długości frontu.

Kilkudniowy rozejm rozleniwił powstańców. Panowało powszechne przekonanie, że walki się właściwie skończyły, że teraz o granicach Śląska rozstrzygać będą nie karabiny, lecz dyplomatyczne targi. Toteż stacjonujący w Izbicku II batalion zażywał czasów, nie troszcząc się zbytnio o ubezpieczenie postoju. Powstańcy kwatrowali po chałupach. We dnie szwendali się po wsi, nadzy do pasa, opalali się, gawędzili, kurzyli papierosy, czekając aż kuchnia polowa przywiezie obiad. Niektórzy, stęsknieni gospodarskiej roboty, pomagali chłopom w polu bądź w obejściu. Nocami zabawiali jędrne i chętne do pieaszcot dziewczyny. Dowódca jeździł to na odprawy do sztabów, to na przesłuchania w związku z gościnnością okazaną angielskiemu generałowi. Oficerowie batalionu niby to doglądali oddziału, ale po większej części dzielili rozrywki żołnierzy.

Niemcy zaatakowali w samo południe, właśnie wtedy, kiedy rozmamłani, rozleniwieni upałem powstańcy fasowali obiad. Huknęły strzały, wybuchły granaty. Powstała nieopisana panika.

Jedni biegli do chałup po broń i rysz tunek, inni padali na ziemię i czołgali się, by ująć ulewie kul, inni jeszcze biegali w kółko i wywijali kozły w gęstniejącym coraz bardziej ogniu. Całe szczęście, że Niemcy nie spodziewając się aż takiego bałaganu, uderzyli od czoła

zamiast otoczyć wieś. Większość batalionu zdołała drapnąć, choć przeważnie bez broni. Niemcy podpalili Izbicko i wyciągali z płonących chałup bezbronnych powstańców. Rozstrzeliwali ich z miejsca. Przyznać trzeba, że Antkowi ludzie umierali mężnie, nikt nie prosił o litość. Tylko głośno płakał, gdy go wiedli pod mur, młodzietki piętnastoletni chłopak, pełniący służbę kuchcika. Zasłoniła go sobą jakaś kobieta:

– Co robicie? Przecież to jeszcze dziecko!

Rozstrzelano ich oboje.

Kończyła się już dzika, okrutna rzeź, gdy od wschodu zahuczały strzały i zaraz potem rozległ się tętent koni. To szwadron powstańczej kawalerii szedł ze spóźnioną odsieczą. Niemcy zostawili niedostrzelonych i rzucili się do ucieczki. Mieliby szanse ująć cało, gdyby stawili opór we wsi, wśród chałup i płotów – przeszkód nie do przebycia dla koni. Ale oni bezładną gromadą puścili się szosą w stronę mostu na Odrze. W kilka sekund już siedzieli im na karkach ułani. Szable dzwoniły po hełmach, zgrzytały po czaszkach. Kwik koni mieszał się ze świstem ostrzy, nieludzkie ryki o litość – z wściekłym wyciem kawalerzy stów.

Antek wracał właśnie konno z Gogolina, gdy usłyszał strzelaninę i wrzawę bitewną. Ścisnął konia ostrogami, smagnął szpicrutą. Niebawem natknął się na pierwszych uciekinierów. Biegli grupkami, półnadzy, niektórzy tylko mieli karabiny. Biegli z przerażeniem w oczach, nieprzytomni.

Ujął w prawą rękę ortgiesa, w lewą szpicrutę i stanął na szosie rozkraczywszy nogi.

– Dokąd?

Ujrzawszy dowódcę zwalniali kroku, spuszczaali oczy.

Gromadzili się wokół niego. Mierzył ich wściekłym spojrzeniem i pytał:

– Gdzie Rychlik? Gdzie dowódcy kompanii? Gdzie wasz żołnierski honor, wy, mamlasy zatracone, chachary pierońskie? W tyralierę! Za mną! Biegiem marsz!

– Nie mamy broni – bąknął ktoś i schował się za plecy kolegów.

Antek szarpnął się, jak koń uderzony z chrapy.

– A gdzieś ją podział?! Za mną, po broń!

Ruszyli z powrotem. Gdy byli o dwieście metrów od opłotków wsi, minął ich w pędzie szarżujący szwadron.

Antek aż się rozplakał.

– Jeszcze tego brakowało. Jeszcze brakowało tylko tego, żeby was wyręczyli w robocie te ułańskie ratlery!

Przeciwnatarcie niemieckie okazało się ofensywą zakrojoną na wielką skalę. W jej wyniku musieli powstańcy skracać front i cofać się. Kres niemieckiemu atakowi miała położyć dopiero kolejna ofensywa polska na Górę Św. Anny.

Na razie jednak trwał odwrót. Wojska powstańcze cofały się wśród walk, krok za krokiem. Jednostki, które znalazły się w okrążeniu, otwierały sobie drogę bagnetem.

Walcząc bez przerwy cofał się batalion Antka na Utratę – Kamień Śląski.

Krótkimi nocami wczesnego lata, pełnymi huku i ognia, śniła mu się Teresa. Przychodziła w niebieskiej sukience, w tej samej, jaką nosiła wówczas w Bytomiu, gdy spotkali się pierwszy raz po wojnie. Gdy, utrudzony bitwą walił się na ziemię i zamykał oczy, wiedział, że zaraz się zjawi... Budził się zły zimnym potem. Siadał na ziemi i długo przecierał oczy...

Drugi batalion dwa razy odpierał z bagnetem w rękę ataki niemieckie, zanim udało mu się wejść do Kochanowic i nawiązać łączność z zajmującym Kamień trzecim batalionem. Ludzie, znużeni marszem i bojem, walili się gdzie kto stał. Zaraz jednak stanęły wartki i wyszedł patrol telefoniczny ciągnąc kabel. Antek rozmawiał z dowódcą trzeciaków.

Ten mówił:

– Zostawiam kompanię w pogotowiu. W razie jak cię napadną, maszeruję na kierunek strzałów. Trzymaj się, Antek!

– Dobra. I ty się trzymaj!

Upadł na podłogę zasłaną snopkiem słomy. Nasłuchiwał chwilę. Tak, gdzieś się biją! Wybiegł na dwór. Niebo nad Kamieniem rozbłyskiwało. Wrócił do izby i zakręcił korbką aparatu. Cisza. Kręcił znów, tak długo, że zaboląła go ręka. To samo. Zarządził alarm. Za chwilę Rychlik meldował pogotowie marszowe. Cicho pobrzękiwała broń, chrzęścił rynsztunek.

– Maszerujemy na Kamień! Ruszać! A ty, Francik, zaczekaj, jeszcze raz spróbuję zadzwonić!

Podbiegł do aparatu. Cztery, pięć, sześć obrotów korbką.

Cisza w aparacie. Strzelanina w Kamieniu ucichła, z rzadka tylko pykał pojedynczy strzał. Albo nasi odparli Niemców, albo Niemcy wyparli naszych. Wreszcie w słuchawce szum, jakieś szepty, głosy...

Antek nakazał swoim, by byli cicho.

– Halo, halo! Pieronie ognisty, ozór ci skołczał, czy co?!

– Hallo! Wer ist am Apparat?!*

* Kto przy aparacie?

Antek opuścił słuchawkę i powiedział zduszonym szeptem:

– Germany!

Znowu podniósł słuchawkę...

– Wer spricht dort?

Nie było co ukrywać: – Tu mówi dowódca batalionu, Kulik!

Cisza. I potem szept: – Mamy tego wściekłego psa. – Ktoś komuś oddał słuchawkę, bo naraz zabrzmiał w niej nowy głos:

– Jak się masz, Kulik?

– Kto mówi?

– Nie poznajesz? Twój serdeczny przyjaciel, Siegfried Mikke!

Antek poczuł jak skowyt podbiega mu do gardła, jak ogarnia go straszliwy niepokój i groza pomieszana za zwierzęcą, drapiezną

radością. Odetchnął chrapliwie.

– Zaniemówiłeś, Kulik?

– Nie, nie... tylko – Widzisz, tak się – ucieszyłem. Mikke, ależ tak, to ty, kochany, stary druhu! Jakżeby cię nie poznał. Ja cię nawet w piekle poznam!

Mikke roześmiał się swobodnie:

– To wspaniale, żeśmy się wreszcie zetknęli, co? Mam tu coś dla ciebie, Anton. Taką śliczną kulkę w parabellum! Już mi nie ujdiesz. Jesteś osaczony jak lis, już cię mam!

– Siegfried – Antek przemawiał łagodnie, niemal pieszczotliwie – za dwie godziny zastrzelę cię jak jagnię. Powiedz mi tylko: dużo jest tam tych twoich wojaków?

– Sporo. Mogę ci powiedzieć: pięć kompanii i cekaemy. Ale ty mi powiedz tytułem rewanżu: którą zamierzasz iść?

– Prosto do głównego traktu na Strzelce, przez Kamień naturalnie.

– Brawo! Auf Wiedersehen!

– Do widzenia!

Trzasnęła odłożona słuchawka. Antek odwrócił się do oficerów, rozpromieniony: – Dobra jest, chłopcy!

Nie rozumieli go. Z czego się cieszy dowódca? Z tego że są otoczeni? Że trzeba się przebijać?

– Wyjdziemy, chłopcy, z tej matni: Jak się da, to brać żywcem wszystkich oficerów. Ja poprowadzę uderzenie. Za mną!

Poszli w gasnącą noc. Nad Kamieniem pojawiła się smużka świtu.

Pierwszy ogień był straszny. Trysnął z chałup położonych na skraju wsi i rzucił na ziemię idącą w przodzie pierwszą kompanię. Antkowe cekaemy nie mogły strzelać, ich obsługi gorączkowo szukały stanowisk, padając gęsto w morderczym ogniu. Aby dojść do wroga, trzeba było przebiec czterysta metrów grząskiej łączki, osłoniętej kilkoma tylko krzaczkami. Dłużej zalegać też nie było można.

Niemiecki ogień wyluskiwał leżących raz po raz.

Antek namyślał się szybko: wroga trzeba dopaść jednym skokiem, nie dzielić natarcia na odcinki, bo z batalionu żywa noga nie wyjdzie.

Podniósł w górę pistolet: – Sztuuuurm!!! – I skoczył.

Poderwał się, prysnęli za nim, przebiegli może pięć, sześć kroków i zalegli znowu, chowając głowy w trawę i błoto. Dobiegały stamtąd jęki licznych rannych i chrapliwy oddech konających. Ostrzeliwali się gęsto, na oślep, nie celując, jakby się chcieli zastawić przed kulami – ścianą kul. Antek wykręcił się ku tyralierze:

– Szturm!

Odpowiedziało mu niezdecydowane „hurra”. Ten i ów podniósł się z głową wtuloną w ramiona, zatoczył, padł.

– Szturm!

Trochę lepiej. Erkaemiści poszli szyjąc od biodra krótkimi seriami. Przegonili ich strzelcy wznosząc w górę zapalone granaty. Gdy te padły na ziemię i wytrysnęły fontanną ognia i dymu, niedobitki pierwszej kompanii podciągnęły jeszcze o kilkanaście metrów. Niemieckie cekaemy znów rżnęły nimi o ziemię. Upadłszy, słyszeli chrapliwe słowa niemieckiej komendy: – Lebhaft schiessen!

Antek wstał, wyprostował się. Wyglądał jak szaleniec. – Sztuuuurm! – Rozhuczało się za nim. To nadciągała od lasu trzecia kompania.

– Szturm!

Znowu pobiegli, znowu rażeni ogniem legli rozkrzyżowani, bądź chyłkiem, pojedynczo odskakiwali do tyłu. Ale już dyszała im za plecami trzecia kompania z postępującym Rychlikiem na czele.

Znowu zryw. Powstańcze cekaemy, które teraz dopiero się odezwały, pozwoliły im znowu skoczyć – i natarcie zaległo...

Więc... albo przejdą do wroga już tylko jednym rozpaczliwym

szturmem, albo zostaną na tej łące na zawsze, n; wieki wieków.

Ryknął:

– Kto się cofnie, temu kula w łeb. Szturm! I! Szturm!!

Pędziły sekundy. Bieg. Straszny, szybki, wysilony bieg, szeroki zamach ramion, koziółkujące w powietrzu granaty, głuchy stuk ciał walących się na ziemię, seria wybuchów – i oto spragnione bagnety wrzynają się w żywe ciała, opięte w mundury feldgrau.

Zawrzała krótka, straszna, obłąkana bitwa wręcz. Antek, któremu przed oczami tańczyły krwawe koła, zapomniał na chwilę o Mikkem. Prał z ortgiesa, walił jego kolbą, zgał zaciśniętym w lewej dłoni sztyltem.

Pękały i padały płoty pod naporem walczących ciał, wylatywały zdmuchnięte wybuchami granatów futryny okien i drzwi, sypały się szyby, płonęły dachy, jęczeli ranni i umierający, trzaskały słowa polskich i niemieckich rozkazów. Długą chwilę mordowano się bez rozstrzygnięcia, gdy potężne „hurra” oznajmiło, że weszły w bój dwie ostatnie kompanie polskiego batalionu. Szala zaczęła się przechylać na stronę powstańców – przewyższali wroga zaciętością.

W parę minut później umykały resztki Niemców, gęsto padając w ścigającym ich ogniu. Na szosie zaczęto ustawiać jeńców...

Było ich kilkudziesięciu, w tym jeden oficer, kilku podoficerów i jedna kobieta, pewnie kancelistka lub przyjaciółka dowódcy. Oficer wzięty do niewoli nie był Mikkem. Nie dowiedziano się nigdy, kim był właściwie, bo w pewnej chwili osunął się na ziemię i tak już został.

Powstańcy obszukiwali jeńców starannie i razami kolb zapędzali do szeregu, wzdłuż którego biegał Antek, wyrzaskując:

– Wo ist euer Kommandant?!*

* Gdzie wasz dowódca?

Jeńcy stali z podniesionymi w górę rękami i milczeli patrząc z pokornym strachem na oszalałego dowódcę powstańców. Ten wybiegł

w pole, do trupów i rannych, ale zawołano go zaraz.

Dwaj powstańcy prowadzili pod lufami wysokiego, szczupłego oficera z gołą głową, na której widniało parę krwawych guzów. Wiedli go, wymyślając brzydko. Antkowi raportowali urywanymi głosami:

– Uciekoł w krzoki. Jak my go już chytli, chciał pieron strzelić się w łeb, to my nie dali. Bydzie to tyn, komendancie?

Antek kiwnął głową i oblizał zaschnięte wargi. Zaciśnął mocniej palce na kolbie pistoletu i szedł ku Mikkemu wzdłuż szeregu jeńców odbierających w przerażeniu tę straszną defiladę. Szedł wolno, krok za krokiem, oddychając głęboko przez nos.

Mikke patrzył weń jak urzeczony. Stał z opuszczonymi ramionami, z wpółotwartymi ustami koloru ołowiu. Jego oczy robiły się większe i większe. Wreszcie zaczął się cofać, tak jakoś noga w nogę ze zbliżającym się Antkiem.

Zwycięzcy i zwyciężeni zastygli w bezruchu.

Mikke potknął się o kamień i omal nie przewrócił. Stał. Przełknął głośno ślinę i zawołał:

– Stój! Stój, nie zbliżaj się!

Antek nadchodził posępny i milczący.

Mikkemu stanęło przed oczami całe jego życie. Zobaczył małego chłopca hasającego na drewnianym koniku, z drewnianą szabelką w dłoni. Potem ujrzał siebie w hanowerskim gimnazjum, z którego na apel wychowawcy wraz z całą klasą zgłosił się do wojska, gdy wybuchła wojna. Potem szkoła oficerska, front, zawieszenie broni, potem jeszcze jedna wojna i oto... stoi teraz na zakurzonej strzeleckiej szosie i czuje, jak chłód śmierci ogarnia mu policzki.

Stali naprzeciw siebie o krok i patrzyli sobie w oczy.

Teraz Mikke musi coś powiedzieć. Koniecznie musi powiedzieć

temu o kamiennej twarzy, że to jest nonsens, że on, Siegfried Mikke, nie może umrzeć. Kiedy on, Siegfried Mikke, umrze, to nastąpi koniec świata, runie kosmos. Trzeba więc wyjaśnić, że nie wolno dopuścić do kosmicznej katastrofy... Upadł na kolana i wyciągnął ręce. Wybełkotał:

– Wstrzymaj się, Kulik, na rany boskie, wstrzymaj się, Na jej pamięć zaklinam, wstrzymaj się sekundę!

Antek stał nad nim i powoli, przecząco potrząsał głową. Zniżył lufę, nacisnął spust. Mikke urwał w połowie słowa. Kosmos rozprysnął się na drobne kawałki.

Antek strzelał, póki nie wypróżnił magazynka. Potem schował pistolet do kabury i powiedział opanowanym głosem:

– Niech jeńcy pozbierają rannych i załadują na furmanki. Dalszy kierunek marszu ten sam. W szpicie idzie kompania czwarta. Ruszać!

*

Tej nocy Teresa nie przyszła, choć wołał ją gorącym szeptem, przewracając się na posłaniu. Mówił w ciemność: – a więc już i ciebie nie mam... nie mam Mikkego... ciebie... nikogo... jestem sam...

Obudził się, gdy wierny Rychlik podawał mu kubek gorzały, jaką Antek od pewnego czasu zawsze po przebudzeniu wypijał. Ale tym razem wziął kubek i cisnął nim przez okno.

*

Padł w ostatniej, zwycięskiej bitwie pod Świętą Anną. Wyforywał się naprzód w pościgu, skoczył za zmykającymi Niemcami w krzaki i nagle poczuł, jakby ktoś gorącym piaskiem posypał mu po brzuchu. Idące w niebo kolumny dymu zatańczyły mu przed oczami, drzewa na skraju lasu pokłoniły się nisko, kiedy tak ładnie przykleknął..

Próbował wstać, ale paroksyzm bólu przydusił go do ziemi. Podniósł więc tylko głowę i spojrzął w wysokie błękitne niebo, rozśpiewane

szumem pocisków. Nie mógł znieść oślepiającej niebieskości, więc z najwyższym trudem przewalił się na brzuch i wyciągnął przed siebie ręce. Pomyślał: leżę jak pies...

...Jak pies leżę na tej ziemi i jak pies... nie dam. Nikomu. Jak zły pies... Palce rozdarły darń, zęby chwyciły wonne łodygi trawy. Szepnął raz jeszcze: – Nie dam...

Abwehra stracila trop

I

Abwehra jest na tropie

Człowiek siedzący za biurkiem uśmiechnął się dobrodusznie i wskazał Karolowi krzesło. Podsunął papierosy. Długą chwilę, wciąż z tym przyjaznym uśmiechem na twarzy, przyglądał się młodzieńcowi.

– Niechże pan zapali – powiedział wreszcie.

Karol drżącą dłonią sięgnął do pudełka. Potem bezskutecznie mordował się z wielką stalową zapalniczką. Przez sekundę pomyślał, że gdyby tym ciężkim, twardym przedmiotem zdzielił w głowę swe uśmiechnięte vis à vis, a potem... Nie. Nic potem. Jest tylko jedna szansa na milion, że udałoby mu się opuścić gmach gestapo. Wielki, szary gmach gestapo w Katowicach. Cywil za biurkiem zlitował się wreszcie.

– Pan pozwoli.

Jednym pstryknięciem zapalił. Podał ogień. Karol zaciągnął się i zakrztusił.

– Pan nie przyzwyczajony, prawda? Rozumiem, harcerz.

– Ja...

– I to rozumiem. Iluż wartościowych niemieckich chłopaków było w polskim harcerstwie! Spełnili tam na ogół swoje zadanie. No... nie wszyscy. Z pewnymi wyjątkami. O tych wyjątkach chciałbym z panem pomówić.

Karol czuł, jak strużka zimnego potu wędruje wzdłuż skroni, potem wzdłuż policzka, dociera do szyi...

– Pańscy rodzice, o ile mi wiadomo, podpisali volkslistę, prawda?

– Tak jest.

– Ślicznie. A pan co o tym myśli?

– Ja...

– Oczywiście. Pan aprobuje. Ale to chyba nie przyszłe panu łatwo?

– Dlaczego?

Człowiek za biurkiem przestał się uśmiechać.

– Co pan robił w dniu trzeciego września? Od rana do nocy. Mówić! Szybko!

Karol nie wiedział, skąd w ręce człowieka za biurkiem pojawił się pejcz.

– Trzeciego września..

Myślał, że to bardziej boli. Przemknęło mu przez myśl, że człowiek za biurkiem specjalnie bije słabo, że go z jakichś względów oszczędza. Wtem poczuł potężne uderzenie w skroń...

...Siedzi znów na krześle przed biurkiem. Na biurku zakrwawiony pejcz. W ustach słono, w głowie szum.

Musi mówić. Natychmiast zaczął mówić, zanim człowiek za biurkiem nie postawi sam pytania, za którym zaraz pójdzie kolejny cios.

– Trzeciego września..

Na biurku zadzwonił telefon. Gestapowiec gestem nakazał mu milczenie i podniósł słuchawkę.

– ...Trzeciego września. Karol pamięta każdą godzinę, każdą minutę tego przekłętego dnia. Ulice miasta pełne wrzasku trąb, ulice miasta łupane tryumfalnym „paradeschrittem”. I własne dłonie zaciśnięte na spuście cekaemu. I białą jak kreda, surową twarz starego Szymiczka, i jego chrapliwy krzyk: ognia! I zmrużone zielone oczy Egon... gdzie jest teraz Egon? Jeżeli Egon...

Stuk słuchawki o widełki.

– Also?!*

* A więc?!

– Trzeciego września byłem u ciotki w Tarnowskich Górach. U ciotki byłem w Tarnowskich Górach trzeciego września. W Tarnowskich Górach byłem...

– Dalej!

– ...u ciotki. Hildegarda Waloch. Tarnowskie Góry ulica Kolejowa 6 (Jezus! Przecież Egon mówił, żeby natychmiast poszukać alibi. Miał więc Karol jechać do ciotki i wybłagać potwierdzenie wizyty. Zwlekał, nie wierzył, że dojdzie do tego, co dzieje się dziś. Przecież to tak dawno temu, ponad rok. Czego oni jeszcze chcą?). Pojechałem, to jest... poszedłem drugiego po południu, wróciłem czwartego rano, już po wszystkim.

– Po czym? Po jakim wszystkim?

– No... po zajęciu miasta... to jest... chciałem rzec... po wyzwoleniu.

Podniósł głowę i zobaczył, że gestapowiec znowu uśmiecha się przyjaźnie i wyrozumiale.

– No, widzi pan. I nad czym było się zastanawiać? A teraz pan ładnie napisze, co pan powiedział. Szerzej i dokładniej niż pain powiedział. A przede Wszystkim kogo pan w tym czasie widział i z kim rozmawiał. Jazda! Do roboty!

Gestapowiec wyszedł z pokoju i zatrzasnął drzwi.

„Trzeciego września...”

...Smagnięta ogniem kolumna piechoty rozbiegła się, na bruku zostały trzy albo cztery nieruchome ciała w mundurach feldgrau. Wtedy Szymiczek podniósł się z klęczek, by rzucić granat, i trafiony w pierś sam z odbezpieczonym granatem poleciał w dół. Za chwilę w kute drzwi Domu Powstańca łomotały kolby. Strzelano zewsząd. W oknie domu naprzeciwko Karol dojrzał czarny otwór lufy na tle wykrzywionej twarzy. Egon strzelił w to miejsce i twarz znikła. A potem... Bieg. Straszny, wysilony, morderczy bieg pod ogniem. Jakies podwórza, jakaś piwnica czy suterena.

Ktoś zwinął w węzeł ich harcerskie mundurki, ktoś grzebał w szafie dobywając cywilne łachy...

„Trzeciego września...”

– No? Napisał pan?

– Tak.

– Wezwiemy pana jeszcze. A teraz – rraus!

*

Egon omal nie płakał z wściekłości. – Ile razy mówiłem ci, ty idioto, żebyś załatwił z ciotką? Teraz? Co teraz? Teraz pojedziesz do ciotki, tak? Akurat w porę! Czy nie rozumiesz, że oni już nas mają?

– Bo ty...

– Co ja? Ja zaraz sobie wyrobiłem alibi, jestem kryty. To znaczy byłem kryty. Teraz już nie jestem. Jak ci dadzą znów w kość na gestapo, to wyśpiewasz o sobie i o mnie!

– Nic nie wyśpiewam. Bił mnie pejczem, a ja nic.

– Bohater! A mnie, myślisz, miodem w gestapo smarowali? Tylko że moje zeznania mogą sprawdzić, jak im się żywnie podoba...

– Ale co teraz robić?

– Właśnie: Co teraz robić? – przedrzeźniał Egon. – Powiesić się, to nam tylko zostało. Czy nie rozumiesz, ty ofermo, że przez ciebie nasze rodziny pójdą do kacetu?!

Egon podszedł do kontaktu i zgasił światło. Potem zbliżył się do okna i ukryty za firanką długo patrzył na ulicę. Nagle odwrócił się. Karol widział jego nieruchomą, zwalistą sylwetkę rysującą się czarno na tle okna, za którym srebrzyła się grudniowa, śnieżna noc.

– Karol! Nie ma co. Musimy pryskać!

– Dokąd?

– Dokąd się da. Ale najlepiej do Rzeszy.

– Dawna granica jest ciągle obstawiona. Może lepiej do GG?

– Tam jest dopiero obstawa! Walimy do Rzeszy. Jeszcze dziś.

Karol był przerażony. – Jak to dziś? Tak zaraz?

– A na co będziesz czekać? Aż cię wezmą? Zrozum – dodał łagodniej – nie mamy ani chwili do stracenia. Czy wiesz, co nas czeka? Nas i nasze rodziny?

– No... dobrze. Ja tylko skoczę do domu...

– Oczywiście! A po drodze wstąp na gestapo i pożegnaj się grzecznie.. Zawsze byłeś dobrze wychowanym chłopcem. Nigdzie już stąd nie pójdziesz! – krzyknął. – Tu zostaniesz, a skoro świt...

– No, już dobrze, dobrze. Nie rycz. A co my będziemy tam robić, no tam, w tej Rzeszy?

Egon wybuchnął śmiechem.

– Nie zgadniesz! Żebyś pękł, to nie zgadniesz. Słuchaj uważnie co ci powiem. Właściwie to ciągle myślałem o tym, że kiedyś może nam się ziemia zapalić pod nogami. No i stało się.

Zapalił światło, otworzył szufladę biurka. Wydobył dwa niewielkie pakiety owinięte w ceratę.

– Co to jest?

– Wyjmuj wszystko, co masz w kieszeniach. Zaniosę do kuchni matce, niech to spali. Idioto! Scyzoryk zostaw, ja mówię o dokumentach, no, nareszcie. A tu masz... Nazywasz się Heinz Materna, lat 18, z zawodu pomocnik ślusarski... pieronie, ładny pomocnik ślusarski z rączkami jak panienka! No, trudno. Wykuj wszystko na pamięć, tak, żebyś obudzony nawet w środku nocy umiał śpiewać na trzy głosy.

– Skąd ty to masz, Egon?! z jakiejś organizacji?

– Od twojej ciotki z Tarnowskich Gór! Nie pytaj głupio. Aha, mam ci jeszcze powiedzieć, co będziemy robić w Rzeszy? Wstępujemy, bracie, do Wehrmachtu. Ochotniczo, dobrowolnie, entuzjastycznie – Egon skandował krztusząc się ze śmiechu – patriotycznie! Czy nie rozumiesz, że najciemniej jest pod latarnią? Komu się będzie chciało szukać nas w wojsku? Nas, ochotników idących polec fuer Fuehrer und Vaterland!?*

* Za wodza i ojczyznę.

- Ja nie wiem, czy to jest najlepsze wyjście. .
- Ale jedyne, mój mały. Postanowiłem sobie, że nie dam się rozwalić pod ścianą ani zamknąć do kacetu. Ja muszę się z tej bryndzy wyciągnąć, a przy okazji i ciebie. Chodź do kuchni, matka da nam coś jeść, a rano w drogę!

*

Pociąg zatrzymał się. Lokomotywa odeszła. Na peron małej stacyjki wyszło zaledwie parę osób. Dwaj młodzi ludzie, którzy wyszli z wagonu, skierowali się do wyjścia.

Głędząc o jakiejś Hildzie, która byłaby nie najgorszą dziewczyną, gdyby nie piegi, minęli stojącego przy drzwiach strażnika kolejowego. Ten leniwie gapił się za nimi, aż zniknęli w gęstej mgłę płynącej na miasto od pobliskich glinianek.

Rzadcy o tej porze przechodnie omiatali obojętnymi spojrzzeniami dwóch chłopaków w wyszarzających kurtkach i spodniach poplamionych oliwą. Egon i Karol poczuli się pewniej.

Po kwadransie znaleźli się przed drzwiami małego ceglanego domku u stóp hałd, którymi biegła dawna, a wciąż jeszcze strzeżona granica. Po dłuższym pukaniu drzwi uchyliły się.

- To ja, Egon, wpuszczaj, Herbert!

Gdy znaleźli się w mrocznej i chłodnej sieni, ktoś ledwo widoczny powiedział:

- Myślę, że dziś w nocy będziecie mogli przejść...

Tupiąc butami weszli do kuchni, w której u sufitu mętniała złotym blaskiem mała żarówka. Stara kobieta uniosła głowę znad ręcznej robótki.

- Znowu?

- Znowu, mamulko – odpowiedział Herbert – tak trza.

– Jak trza to trza – westchnęła ciężko, podniosła się z krzesła, podeszła do kuchni, dmuchnęła w tlejące węgle.

...Noc była czarna i wietrzna. Odwilż starła miejscami śnieg, zamieniając go w grząskie, lepkie, ciężkie błoto. Na widnokręgu płonęły

łuny hut przetykane bladą poświatą słabo oświetlonych miast. Z nocy dobiegało dudnienie pociągów i gwizd dalekich lokomotyw. Sklejony błotem żwir lepił się ciężko do butów stąpających ostrożnie dwóch mężczyzn.

Przystanęli rozglądając się wokoło.

– To chyba tam – szepnął wyższy.

– Już granica?

– Tak mówił Herbert. Za tą brzoźką...

– Za którą? Tu brzoź do cholery i trochę...

– Nie ma co. Naprzód. Jak wejdziemy na tę hałdę, to odpoczniemy trochę, a potem biegiem. Tak mówił Herbert. Tylko nie zgub się gdzie, Karol...

Poszli dalej. Ciężko dysząc wspięli się na szczyt hałdy i przypadli do ziemi. Nasłuchiwali. Teraz można się było nie spieszyć. Odpoczną solidnie.

Nagle Karol ścisnął rękę Eguna. Nie było wątpliwości, ktoś nadchodził. Powoli, leniwie chlapało błoto. Przywarli do ziemi i wtem ostry, jasny błysk zaciął ich w oczy jak brzytwa.

Posłyszeli:

– Auf? Haende hoch!*

* Powstać! Ręce do góry!

Karol poczuł, że mocna dłoń Eguna chwyta go za kark i rzuca w przód, w ciemność. Jednocześnie: halt** i ostry, cienki gwizd tuż nad głową. Trzymany za rękę Karol nie biegnie, lecz leci w powietrzu. Uderza o coś biodrem. Przewraca się. Gwizd. Czerwony błysk. Nie wie, jak się to dzieje, że biegną dalej. Gwizd, huk. Grot światła podcina nogi.

* Stój!

Krzyki, ale już jakby dalsze. Obezwładniający ból w piersiach, seledynowe koła przed oczami, tchu!

– Pociś, pieronie! – słyszy wścickły szepet Eguna. Ciągle trzymany za rękę biegnie dalej, ale jest nieprzytomny. Upaść. O Boże, żeby trafili, żeby można było przewrócić się i leżeć!... Strumyk to

czy rzeczka? Wszystko jedno, woda zimna jak lód. Zarośla. Nagie, odarte z liści. Zamierający hałas pogoni. Jeszcze parę kroków. Już. Padają na ziemię i rżęzą jak w agonii.

Po paru minutach Egon podnosi głowę. Patrzy w noc, potem mówi:

– Te domy to chyba Zabrze. Gdzie chcesz lecieć? Tak się przecież nie możemy w mieście pokazać.

Karol nie widzi, ale wie i czuje, że jest cały oblepiony czarnym, gęstym błotem...

*

Właściciel oberży „Zu drei Rosen”, zwanej „Das älteste Schlachthaus in Waidenburg” (Najstarsza mordownia w Wałbrzychu), zażywny Herr Fehcke, nie był najgorszym człowiekiem i nie miał za złe swym gościom, jeśli siedzieli godzinami nad jednym kuflem piwa. Dziś taki wypije kufel, a jutro beczkę i do tego zje jeszcze obiad. Wprawdzie w trzecim roku wojny podanie kartkowego obiadu nie było znów takim wielkim interesem, ale epoka do-brych interesów skończyła się, na razie przynajmniej.

Herr Fehcke popatrzył z niesmakiem w ką, który zajmowali dwaj młodzi ludzie ubrani jak ze składu ze starzyzną. Na kilometr śmierz-działo od nich dezercją. Nawet gdyby ubrani byli w sposób nie budzący zastrzeżeń, to widok młodych ludzi po cywilnemu był w tym czasie w Niemczech niecodzienny.

Herr Fehcke ostentacyjnie odkręcił kran z wodą i przystąpił do mycia naczyń. Zbliżała się godzina dziesiąta. Tylko patrzeć, jak wle-zą tu te buldogi z żandarmerii polowej. Jeśli tych dwóch przyłapią, to będzie dopiero bal! Herr Fehcke poczuł, że cierpnie na nim skóra. To cholerna Feldgendarmarie* uwzięła się po prostu na pana Fehcke. Że to niby żołnierzy rozpija, a to znów, że u niego zawsze pełno. No i że akurat raz złapali tu dezterera. No to co? Co Fehcke temu winien? Fehcke – żołnierz z ubiegłej wojny, weteran spod Verdun! A nad

szynekwasem to co wisi? Stare gacie czy dyplom Żelaznego Krzyża?

* Żandarmeria polowa.

– Mówię im – wspomina z goryczą pan Fehlte – ja jestem Partegenosse* Siegfried Fehlte, podoficer 230 Landwehrregiment,** ja miałbym ukrywać dezertów, ja?!

* Członek partii hitlerowskiej.

** Pułk pospolitego ruszenia.

Znów obdarzył nieprzychylnym spojrzeniem tamtych dwóch. Siedzą nachyleni ku sobie i coś szepcą. Pewnie knują jakieś łajdacstwo. Guzik mnie to obchodzi – pomyślał z satysfakcją, wspominając tępe pyski żandarmów.

Gdyby jednak pan Fehlte posłyszał choć urywek prowadzonej szepciem rozmowy, zmieniłby chyba zdanie. Najprawdopodobniej z miejsca chwyciłby słuchawkę telefonu i wykręcił numer 23-23. Według książki telefonicznej miasta Wałbrzycha był to numer gestapo...

– Jeśli nie przestaniesz się wreszcie mazać, Karol, to działam na własną rękę, a ty rób co chcesz!

– Nie wiem, co lepsze. Wpadamy z jednej kołomyjki w drugą. Zamiast siedzieć na tyłku w domu, to cię pognało. Rzesza, dobrze. Wehrmacht, dobrze. I co? Dezercja. Kula w łeb. Przecież nas złapią, jak dwa ą dwa cztery. Co za diabeł cię opętał, Egon? Ja już nie wchodzę, skąd znowu po raz drugi te cywilne łachy i te parszywe dokumenty, masz chody, twoja rzecz, ale...

Twarz Karola, młoda, ładna twarz wykrzywiła się grymasem takiej rozpaczki, że Egon przymknął oczy.

– No więc? – warknął.

– No więc ja już nie mogę. To jest ponad siły normalnego człowieka. Ty jesteś wariat, tobie dobrze. Zastanów się, Egon, co my właściwie wyprawiamy?...

Egon zamyślił się. Karol ma trochę racji. W tym wszystkim nie ma żadnego sensu, jest natomiast jakiś obłąkany pęd do katastrofy. Jak gdyby zwykła ludzka katastrofa w postaci paru kulek w łeb nie

wystarczała. Trzeba ją jeszcze spotęgować o tę beznadziejną, szarpiącą nerwy, opętaną anabasis. Po to przyszli do Wehrmachtu, żeby teraz zwiać i znów zostać na lodzie, i znów, i znów...

– Słuchaj, Karol. Ile razy ci już tłumaczyłem, że nie mamy innego wyjścia. Pamiętajsz, co ci powiedziano w Abwehrze?

...O tak, Karol pamiętał. Strzelec Heinz Materna do oficera informacyjnego! Obojętny, normalnie wykrzyczany rozkaz podoficera służbowego. Tak jakby mówił: strzelec Materna do czyszczenia wychodków! Po czterech miesiącach służby w 78 pułku piechoty, po czterech miesiącach, które, zdawało się, położyły wreszcie gęstą zasłonę na tamte sprawy rozpoczynające się od słów: „W dniu trzecim września...” Egon zdążył mu jeszcze rzucić twarde, ostrzegawcze spojrzenie. I w tym momencie podoficer rzekł: – Wy też, strzelec Kaestner. Ale nie razem, po kolei, człowieku, tu nie rzeźnia miejska...

Kapitan kontrwywiadu przystąpił do rzeczy od razu.

– Heinz Materna? Zamieszkały w Hamburgu? Członek HJ? Słuchajcie, Materna, czy wy nigdy nie byliście na Górnym Śląsku? Co? Nigdy? Nie macie tam żadnej rodziny? Nie? No widzicie, Materna. Ci panowie z gestapo czepiają się was. Chodzi im o to zdjęcie. Uderzające podobieństwo, co?

Karol spojrział na swoją fotografię szkolną podstawioną mu pod nos i odpowiedział:

– Rzeczywiście, panie kapitanie. Jak bym siebie zobaczył.

Kapitan wpił się w jego twarz ostrym, wrogim spojrzeniem.

– Możecie odmaszerować, Materna! Materna, wróć! Słuchajcie, Materna, nie macie się czego bać, to wszystko się sprawdzi. Ale powiem wam po przyjacielsku. Jeżeli tu by o was chodziło, to radziłbym wam nie strugać wariata. To się nie opłaci.

– Nie wiem o czym pan kapitan mówi.

– W porządku. Abtreten!*

* Odmaszerować!

Rozmowa z Egonem była nieco inna. – Nic mi nie mówi nazwisko Rozmus, panie kapitanie. Rozmus... to chyba jakiś Węgier, nieprawdaż? Z Materną? Ach tak, poznałem się z nim jeszcze w Służbie Pracy. On zdaje się z Hamburga, fajny chłopak, trochę miękki, ale front mu dobrze zrobi.

– Czy to jest zdjęcie Materny?

Egon przybliżył fotografię Karola do oczu. Oddał ją po chwili takim ruchem, jakby oddawał użyczoną mu uprzejmie zapalniczkę.

– Jest pewne podobieństwo, ale to nie Materna. Ja z nim, panie kapitanie, jestem w jednym plutonie.

– Jakbyście coś u Materny podejrzanego zauważyli, Kaestner...

– Oczywiście, panie kapitanie. To mój obowiązek.

– Dziękuję wam, Kaestner. Możecie odejść! Aha! Weźcie go na oko. Nie mówcie mu nic, tylko miejcie oczy otwarte. Odmaszerować, heil Hitler!

– Panie kapitanie... melduję, że złożyłem prośbę o przeniesienie na front. Ja się chcę bić, panie kapitanie!

– Pięknie. Zdaje się... że i Materna złożył takie podanie...

– Owszem, mówił mi o tym, Herr Hauptmann!

– Wy zdaje się nie bardzo go lubicie, Kaestner?

– Jeśli okaże się, że jest wrogiem ojczyzny, to pierwszy wepchnę mu bagnet w zębra.

– Brawo! Tylko bez bagnetu. Od tego my jesteśmy, strzelec Kaestner. Idźcie już!

Tego wieczora Egon dostał przepustkę. Tej nocy wrócił późno do koszar. Położywszy się na łóżku stojącym obok łóżka Karola, powiedział szeptem:

– Karol!

– Już wiem, co chcesz powiedzieć. Pryskamy i niech to wszystko szlag trafi!

- Słuchaj uważnie. Nazywasz się Peter Roth. Urodzony...
 - Wszystko jedno. Skąd ty bierzesz te dokumenty i ubrania? Od szkopów?
 - Nic cię to nie obchodzi. Tyle tylko ci powiem, że to jest mój ostatni kontakt. Jesteśmy zdani już tylko na siebie samych. To tyle, stary. Chyba że wojna się zaraz skończy.
 - My wcześniej, o pięć minut wcześniej, Egon...
 - Jeśli się nie przestaniesz mazać, Karol...
 - Już dobrze, dobrze. Cokolwiek zrobimy, nie będzie miało żadnego sensu. Niech ci już będzie. I co dalej?
 - To, co ci mówiłem. Robimy tak...
- Właściciel gospody „Zu drei Rosen”, Herr Fehtke, zdecydował się wreszcie. Ryknął: – Ej, wy tam! Jeżeli sądzicie, że mam ochotę siedzieć przez was w ciupie, to się mylicie. Wynocha, ale już!

*

Noc była jasna. Niezliczone gwiazdy srebrzyły gładką toń morza. Od południa, od niedalekich już afrykańskich brzegów gorący, łagodny wiatr niósł zapach pustyni. Niełatwo odpowiedzieć na pytanie, czym pachnie pustynia.

Mnie się wydaje, że pustynia pachnie rozpaczą, smutkiem osamotniania, bezmiarem. Ale dwaj młodzi ludzie stojący na pokładzie transportowca „Bremen” daliby się w kawałki pociąć za to, że zapach pustyni – to zapach wolności...

Było cicho. Gdzieś daleko, bokiem, na wysokości Pantellerii szły samoloty eskorty. Wokoło uwijały się niewidoczne, strażujące włoskie łodzie podwodne, patrzące na wszystkie strony podłużnymi oczami peryskopów. Drugi rzut Afrika Korps płynął ku afrykańskim brzegom. Pływały pułki czołgów i dywizjony artylerii, bataliony piechoty i kolumny samochodów. Pływały w ciszy i ciemności (na podobój drugiego co do wielkości kontynentu świata). Pływały, by po tygodniach zwycięskich i już zwycięsko zaczętych walk połączyć się

w Azerbejdżanie z dywizjami, które o świcie dnia 22 czerwca 1941 roku przekroczyły Bug.

W konwoju obowiązywało pogotowie alarmowe. Tu, w tym przekłętym przez Niemców i Włochów sektorze P-III, w każdej chwili groził atak angielskich łodzi podwodnych, każdą tak bardzo dłużącą się chwilę mógł przeciąć skośny gwizd nurkujących hurricanów.

Żołnierze drugiego rzutu Afrika Korps stali na pokładach transportowców ubrani w kamizelki ratunkowe. Dopiero gdy konwój minie groźny perymetr P-III, dopiero gdy znajdzie się pod ochroną dział z fortów Bardii – będzie można odwołać alarm.

W tych warunkach dziwnie wygląda alarm i jego odwołanie. To jest tak: jeśli grozi napad łodzi podwodnych, to wszyscy muszą być na pokładach i na odwołanie schodzą pod pokłady. Jeśli grozi atak lotniczy – na odwrót. Wojsko powinno chronić się pod pokładem, a po alarmie wyjść na pokład. Ale gdy grozi i jedno i drugie? Niedługo będzie można odwołać alarm. Już niedługo, już za jakąś godzinę. A na razie...

Na razie jest cicho i spokojnie...

Dwaj żołnierze stojący przy relingu patrzą w noc z nadzieją i otuchą. Spod głębokich okapów tropikalnych hełmów błyskają białka oczu. Oddaleni od zbitej masy żołnierskiej rozmawiają szeptem. Nie jest to właściwie rozmowa, lecz rzadka wymiana pojedynczych słów. Rozmawiają ze sobą po raz pierwszy od trzech dni. Przydzieleni do różnych kompanii, wtłoczeni pod pokład, nie mogli się nawet zobaczyć. Gdyby ktoś znający język polski podsłuchał tę skąpą rozmowę, zdumiałby się nad bogactwem losu, jaki przypadł tym dwom w udziale.

Zostawiliśmy ich w wałbrzyskiej knajpie „Zu drei Rosen” w chwili, gdy z ust Egona padły słowa:

– Robimy tak...

Oczywiście łatwo jest mówić. Znacznie, znacznie trudniej przejechać z fałszywymi dokumentami całe Niemcy, od Wałbrzycha do Akwizgranu, czterokrotnie wyłgać się łapaczom z zandarmerii i dowództw stacyjnych, wejść jak lwu w paszczę do Komendy Uzuppełnień Afrika Korps i najbezzwłoczniej w świecie podać się za ludzi, których nie ma na świecie i nigdy nie było i... mając za plecami listy gończe poszukujące dezertersów, oświadczyć, że niczego tak nie pragną, jak wkroczyć z marszałkiem Rommlem do Egiptu.

We wzorowo administrowanej III Rzeszy panował jednak tu i ówdzie tęgi bałagan. Bo czym wytłumaczyć, że w trzy tygodnie potem Egon i Karol wchodzili na trap okrętu „Bremen”?

– To jest taniec na wulkanie, Egon. Przed gestapo dajemy nura do Wehrmachtu, a stamtąd przed Abwehrą do Afrika Korps. A stąd...

– Ciszej! Wiesz, że w Afryce walczą nasi. Przy pierwszej okazji...

– Dostajemy w łeb. Niech mnie szlag trafi, jeżeli znów Abwehra się do nas nie przyczepi.

– To wtedy dajemy nura choćby do SS.

– Uhm. A pewnego pięknego ranka budzimy się jako adiutanci Himmlera i wtedy dopiero będziemy bezpieczni. Jak nas po wojnie w kraju pod ścianę za to nie postawią, to będzie cud boski. Egon... słuchaj, Egon, ja już mam tego naprawdę dość. My z tego nie wyjdziemy. Ja chyba pójdę do tej całej Abwehry i powiem. Ja już nie mogę...

Egon nie odpowiedział. Spojrzał tylko i choć w ciemności Karol nie mógł dostrzec jego oczu, skulił się w sobie i wyjąkał:

– Wiesz, że ja tego nie zrobię przecież, ale... ja już jestem u kresu sił.

– Nie martw się. Na razie...

Na razie jest cicho i spokojnie. Człowiek siedzący za sterem myśliwskiego samolotu typu hurricane podciągnął maszynę ku górze.

Czas wracać do bazy – nic się nie dzieje. Niebo i morze puste.

Przeciwnie działają konwoju omiatające bez przerwy niebo zamarły teraz w bezruchu. Chwilę jeszcze tkwiły nieruchome, choć czujne, potem lufy ich opadły w dół jak głowa znużonego czuwaniem człowieka.

Człowiek siedzący za sterem myśliwskiego samolotu raz jeszcze, ot tak, bez przekonania, lecz z obowiązku spojrzął na morze. Spojrzął i z miejsca porzucił myśl o łóżku i filiżance gorącej herbaty. Włączył nadajnik i zaczął wypowiadać słowa w innym języku niż ten, w jakim wydawano komendy i rozmawiano na płynących po „pustym” morzu okrętach. Gdyby dowódca konwoju posłyszał choć jedno z tych słów, zadrżałaby mu ręka, w której trzymał gasnącą na wietrze zapalniczkę. Zapalił ją w chwili, gdy posłyszał słowa z kapitańskiego mostku: – Alarm odwołany! Sektor P-III za nami!

– Słyszysz, Egon? Już po wszystkim. Będzie można wyciągnąć się trochę na barłogu.

– Już po wszystkim. No, widzisz. No, Karol, nie bądź babą. Ja ci mówię, że kto jak kto, ale my przeżyjemy.

Człowiek za sterem myśliwskiego samolotu raz jeszcze rzucił do mikrofonu kilka cyfr. Na osiemnastu nadlatujących hurricanach zapłonęły celowniki. Samoloty podciągnęły w górę, potem przewaliły się na skrzydła. Runęły bomby.

Szybko pustoszały pokłady okrętów. Rozjazgotały się nerwowo niecelnie wymierzone pelotki. Pierwszy dostał flagowy statek konwoju M/S „Augsburg”. Strzelił potężnym fajerwerkiem i dalej płonął już spokojnie, równo, jak pochodnia. Grupki ludzi skakały z pokładu do morza i ginęły w ogniu angielskich działek. „Augsburg,” już tonął, ale ostrzeliwał się zajadle, do ostatka. Działa jego umilkły dopiero, gdy nabrały wody do luf.

Hurricany szalały. Oto płonie już „Luebeck” wiozący czołgi i działa, oto tonie rozdarty bombą na pół eskortowiec „Kreutzritter”, z

rozdartej powietrzną torpedą burty 18 000-tonowego tankowca „Tivoli” leje się płonąca ropa, oto pali się morze! Egon przypomniał sobie takie warszawskie porzekadło: Wariat, Wisła się pali! Pomyślał zaraz, że wcale nie trzeba być wariatem, by ujrzeć wodę w płomieniach.

Hurricany zawróciwszy przypikowały z lewa. Egon i Karol nie zdążyli dobiec do luku. Celna seria z pikującego samolotu zabębniła im pod nogami. Przypadli za kioskiem działa obok grubego feldfebla, który trząsł się ze strachu, lecz rykiem dodawał sobie odwagi: – Bardzo dobrze! Za chwilę przylecą nasi z Pantellerii i dopiero zrobią porządek!

„Bremen” walił ze wszystkich dział i działek. Prał na oślep jak człowiek, który nic nie widząc, młóci wokoło pięściami, by nie dać do siebie podejść. Czasami zdarza się, że trafi. I choć nie wiadomo, kto trafił – „Bremen” czy jego sąsiad „Halle”, dość, że nagle rozbłysnął na niebie ogień i płonący hurricane zwałił się w dół ku morzu...

Samoloty zebrały obfite żniwo. Trzy statki konwoju poszły na dno, inne były mocno poharatane bombami i pociskami. Nie dobity konwój dojrzał o świcie brzegi afrykańskie. Egon trącił Karola w bok.

- Dobrze jest, bracie.
- Znowu ci dobrze?
- „Augsburg” zatonął. Na „Augsburgu” płynęła cała kancelaria dywizji, a w kancelarii były nasze papiery. Teraz Abwehra tak łatwo nas nie złapie. Może nas pocałować...

Obiektywnie rzecz biorąc, Egon miał dużo racji. Ale gruntownie mylił się co do jednego. Dane o naszych przyjaciółach figurowały już nie tylko w aktach zatopionej kancelarii. Nie, stanowczo Abwehra nie była taka głupia, za jaką uważał ją Egon.

II

Żołnierze SE

Pułkownik Buchholz przetarł okulary irchową szmatką.

Założył je na nos i jego oczy czerwone od niewyspania, poranione ostrym, drobnutkiem, gorącym piaskiem, który wciska się wszędzie, przybrały wygląd normalny.

– Niech pan siada, panie poruczniku – powiedział. – Słucham pana.

Porucznik Seelig był szefem sztabu pułkownika Buchholza, dowódcy Oddziału Specjalnego Afrika Korps. Oddział ten nazywał się „Sondereinsatz”, w skrócie SE. Zawiązał się jeszcze w Niemczech, jeszcze przed wyruszeniem do Afryki. Powstał jako jednostka kadrowa: dowódca, sztab, służby. Dopiero tu, w Libii, miał – mówiąc stylem Szekspira – ubrać się w mięso. W żywych ludzi i nie byle jakich... Chodziło o żołnierzy – ochotników, bez reszty oddanych sprawie tysiącletniej Rzeszy, chodziło o ludzi młodych, ambitnych, silnych, wysportowanych, ofiarnych, gotowych na wszystko. Musieli oni najpierw przejść wiele prób i gruntowne przeszkolenie, musieli siwą postawą udowodnić, że zdolni są diabła chwycić za nogi i zrobić zeń gulasz. Oddział SE składać się miał z czterech samodzielnych plutonów, wszechstronnie wyposażonych i uzbrojonych. SE miał być użyty do dalekiego rozpoznania, do działań dywersyjnych

na tyłach wroga, do wykonania ryzykownych wypadów. Aby stworzyć taki oddział, trzeba mieć odpowiednich ludzi.

Pułkownik Buchholz poprawił się na krześle.

- Proszę, niech pan referuje, poruczniku.
- A więc dziś zgłosiło się dwóch. Są to...

*

Wyładowywali się w... piekle. Anglicy raz przydybawszy konwój nie opuścili go już. Chaza – maleńki port rybacki – stanowił w tych dniach jedno morze ognia i dymu.

Bomby biły w nabrzeża i sztuczne, utworzone z wraków falochrony, bomby zapalały pokłady, eksplodowały w lukach, ścigały wyładowane już działa i samochody i roznosiły je na strzępy. Od północnego wschodu, od Malty, nadlatywały coraz to nowe fale samolotów. Dziesiątkowane ogniem artylerii, strącane brawurowymi atakami messerschmittów, docierały przecież nad cel i wykańczały do reszty.

93 pułk artylerii, w którym służyli Egon i Karol, stanął wreszcie na apelu w sile jednej niekompletnej baterii. Pułk został rozwiązany. Stu czternastu żołnierzy rozdzielono między walczące już oddziały. Na apelu obecny był porucznik Seelig. Wygłosił krótkie informacyjne przemówienie. Potrzeba ochotników do Oddziału Specjalnego, potrzeba ludzi, którzy... tu wymienił wszystkie wymagane zalety. Gdy skończył, stojący w pierwszym szeregu Karol poczuł poniżej krzyża mocne kopnięcie kolanem. Wyleciał z szeregu jak z procy. Zarył stopami przed porucznikiem i posłyszał w prawo od siebie stuknięcie obcasami: Egon.

W dwie godziny później mknęli ciężarówką przez pustynię. Pod szczelnie zasznurowaną plandeką byli sami. Porucznik siedział w przodzie koło kierowcy. Porywisty wiatr wydymał brezent, warkot motoru był głośny i równy. Egon mówił półgłosem, przez zęby, w których chrzęścił piasek:

– Zrozumie wreszcie. Teraz mamy szanse raz dwa znaleźć się w pierwszej linii.

– Dziękuję bardzo.

– Uważaj, mamlasie. Pójdziemy do akcji i przy pierwszej sposobności dajemy nogę do naszych, rozumiesz?

– Łatwo gadać.

– Nie tylko gadać. Pomyśl, ileśmy przeszli, ile nam się już udało.

– Do czasu.

– I teraz uda...

– ...dostać wreszcie tę kulę. Ja już sam nie wiem, jak się nazywam, kim jestem, co tu robię i po co to wszystko.

To jest obłąd. Ja sobie chyba palnę w łeb.

– Jeżeli chodzi o to, jak się nazywasz, mogę ci przypomnieć. Nazywasz się Peter Roth. A ja dla odmiany Gerhard Kaestner. Mamy to zresztą ślicznie wypisane w naszych książeczkach żołdu. W łeb sobie palniesz? Wybornie.

Tylko zanim to zrobisz, słuchaj co ci powiem. Słuchaj i zapamiętaj...

*

– ...Gerhard Kaestner i Peter Roth, panie pułkownika. Obaj z Magdeburga. Członkowie HJ. Lat 19 i 18. Do wojska wstąpili jako ochotnicy. Dość rozgarnięci. Legitymacji HJ nie mają, ale kto je w wojsku nosi? W razie czego można dać znać do Magdeburga i...

– Tere fere. Akurat nie mamy nic innego do roboty, tylko pisać listy miłosne do tych szczeniaków w kraju. Dawaj ich pan tu, zobaczymy.

Za chwilę Egon i Karol prężyli się na baczność przed pułkownikiem Buchholzem.

– Oddział, do którego wstąpiliście, jest kwiatem armii niemieckiej. Nazywa się Sondereinsatz „Heuschrecke”. Jak sama nazwa wskazuje, zadania jego są ogromnej wagi. Zadania te spełniać mogą tylko ludzie odważni, ambitni, no, słowem – nadzwyczajni. Jeżeli nie

czujecie się na siłach, możecie się jeszcze wycofać i w tym wypadku będziecie w porządku. No więc?

– Proszę o pozostawienie w oddziale!

– Proszę o pozostawienie w oddziale – powtórzył Karol jak echo.

– Schoen.* No a teraz: dlaczego wstąpiliście do SE?

* Pięknie.

– Chcemy zabijać Anglików, panie pułkowniku! – huknął Egon – w ogóle każdego, kto się nawinie pod rękę!

– Brawo. A teraz: abtreten!

Gdy Egon i Karol wyszli, pułkownik zagłębił się w papierach. Przeglądał właśnie etaty uzbrojenia SE, gdy wszedł podoficer kancelaryjny.

– Co jest?

– Poczta, panie pułkowniku. Nic ważnego. Tylko tu z Abwehry...

– Połóżcie, feldfeblu, i wynoście się!

W miarę jak pułkownik Buchholz czytał list z nadrukiem „geheim”, twarz jego przybierała wyraz niesmaku i zniechęcenia. Rzucił papier na biurko. Żeby takimi głupstwami zawracać mu głowę niemal w przeddzień rozpoczęcia szkolenia SE! Co sobie w ogóle myślą ci panowie dekownicy z Abwehry? Że on nie ma nic innego do roboty, tylko łamać sobie głowę, czy strzelec Peter Roth, aha, to ten, co tu był przed chwilą – nie jest przypadkiem identyczny z niejakim Heinzem Materną vel Peterem Huebnerem, a w wypadku stwierdzenia tożsamości lub jakichkolwiek podejrzeń... Psiakrew! Pułkownik przycisnął guzik dzwonka i po chwili stał przed nim porucznik Seelig.

– Czytaj pan. Co pan na to?

– Poważnie to nie wygląda, ale może by i warto się tym zająć...

– Kto się będzie zajmował, może ja? Może pan? Mamy co innego do roboty...

Porucznik Seelig zamyślił się.

– Ten drugi, panie pułkowniku, jakże mu? Aha, Kaestner, wygląda dość przyzwoicie. Nie odniosłem wrażenia, żeby się przyjaźnił z tym całym Materną, Rothem, czy jak mu tam. Myślę, że ich znajomość jest raczej przypadkowa, Kaestner potwierdza zresztą, że poznali się w Neapolu przy załadowaniu. Więc ten Kaestner mógłby...

– Tak, to jest myśl. Ja jestem jednak przekonany, że sprawa jest w ogóle głupia i nie warta zachodu, a ci panowie z Abwehry rozpisują głupie listy, żeby było widać, że coś robią. Więc ten Kaestner jak coś zauważy, to niech da znać. Co oczywiście nie znaczy, żeby przylatywał z byle czym i zawracał mi głowę!

Egon wysłuchał propozycji porucznika Seeliga z entuzjazmem.

– Już ja go, panie poruczniku, wezmę na oko. Mnie też się wydał trochę nie bardzo...

– No, no, nie sugerujcie się. Być może, że to porządny chłopak i wcale nie ten, o którego pyta Abwehra. W każdym razie polegam na was, Kaestner. Postarajcie się z nim zaprzyjaźnić i zdobyć jego zaufanie. Abtreten!

Egon i Karol dostali jeden dwuosobowy namiot. Wrzucili doń rysztynek i wyszli przed namiot zapoznać się z nowymi kolegami.

Stu ochotników do SE stanowiło jakby mikrokosmos Rzeszy. Byli tu młodzi ludzie z Pomorza i Nadrenii, z Prus i Saksonii. Egon i Karol uścisnęli setkę silnych, opalonych dłoni i wraz z całą gromadą udali się do kantyny na piwo.

– Skąd? Magdeburg? Znam, ładne miasto! Gdzieś ty mieszkał w Magdeburgu?

– Kasernenstrasse – odparł Egon.

– A ty? – zapytano Karola.

– Ludendorffstrasse.

– Aha, to zaraz za mostem. Ludendorffstrasse... jest tam jeszcze knajpa Schobera?

– Jest – zaryzykował Karol. – Cholerna spelunka.

– To nic się nie zmieniło!

Szumiał młody gwar podlany piwem. Śmiechy i śpiewy. Ktoś przeciska się ku naszym bohaterom. – Magdeburg? Byłem tam raz z matką. Ale pochodzę ze Śląska, z Gliwic...

Gwar przemienia się w krzyk. Ślązak śmieje się:

– Żeby nie wiedział, że jesteście z Magdeburga, to bym dał sobie głowę uciąć, żeście też Ślązacy, ha ha ha!

Mensch!*. Zwraca się do Karola – ty przecież mówisz jak najprawdziwszy Wasserpolacke, ha ha ha!

* Człowieku.

– Moja babka pochodzi ze Śląska, zdaje się spod Opola.

– Jeśli tak, to sprawa jasna!

Egon kopie Karola pod stołem. Znaczy to: jeśliś taki uprzejmy, to staraj się trzymać dziób, gadaj jak najmniej.

Ale Karol podpił już sobie nieco.

– Moja babka – ryczy – uczyła mnie takiej piosenki, posłuchajcie!

– Chłopcy! – Woła Egon. – Zaśpiewajmy lepiej „Lili Marlen”.

Ktoś chwytą kufel i wali nim w stół. Zrywa się melodia:

Vor der Kaserne, vor dem grossen Tor...

*

Kto lęka się chamsinu na Saharze, ten nigdy nie przeżył go w Pustyni Libijskiej, Powiedzieć o chamsinie, że jest po prostu burzą piaskową, to mało. Chamsin to piaskowy orkan, huragan, tajfun – to piekielny napór mas gorącego jak ogień powietrza niosącego miliony ton drobniotkiego piasku, przed którym nie ma ratunku. Nie chroni przed nim wata wpychaną do nozdrzy i uszu, nie pomagają maski, plandeki ani koce. Piasek wciska się wszędzie, jest wszędzie, zatyka oddech, rani oczy, drapie w gardle, zanieczyszcza broń.

Przez oszalałą pustynię brnie grupa ludzi. Trzymają się wzajem za pasy, nogi stawiają z trudem, chylą się nisko, aby jak najmniejszą

powierzchnię ciał wystawić pod ciosy wiatru i piasku. Idą obładowani bronią i amunicją.

Ta grupa ludzi to pierwszy pluton Oddziału Specjalnego.

Tak jak idą teraz, pójdą poprzez front, przez linie wroga, by zaatakować jego tyły i sztaby. Chamsin jest sprzymierzeńcem żołnierza SE, chamsin osłoni go przed wzrokiem nieprzyjaciela, chamsin zapcha piachem lufy jego karabinów, by nie mógł strzelać, chamsin obezwładni wroga, uczyni go ślepy. Żołnierze SE niosą broń rozładowaną. W chamsinie jedyną i dobrą bronią jest nóż i granat, pięści i zęby.

Idą wyciągniętym, długim, chybotliwym węzłem, idą stokami wydm, usypiskami żwiru, głębokimi waadi. Pierwszy pluton SE przechodzi wyszkolenie. Pierwszy pluton SE już niebawem pójdzie do akcji. Do tej akcji sztab Afriki Korps przywiązuje ogromne znaczenie. Można zaryzykować twierdzenie, że to, co uczyni Afriki Korps po akcji plutonu SE, będzie funkcją tej akcji. Ale o tym nie wie jeszcze ani dowódca plutonu – podporucznik Otto Gebauer, ani jego żołnierze. O akcji wie tylko pułkownik Buchholz. Studiuje ją właśnie. Bezpośrednio po tej akcji korpus uderzy prosto na wschód. Celem natarcia jest Aleksandria, a w dalszym etapie – Kair. Pułkownik Buchholz zaszyfrowuje zadanie jako operację KAIRO. Bo ostatecznym celem jest Kair i wyjście nad Kanał Sueski...

*

Pluton wrócił do obozu „na ostatnich nogach”. Zanim nieludzko utrudzeni żołnierze zjedzą kolację i udadzą się na spoczynek, muszą gruntownie wyczyścić broń i oporządzenie. Choć chamsin już minął, wiatr nie ustaje. Egon i Karol zasnuwują się w namiocie, rozbiegają pistolety maszynowe, wydobywają pakuły i wazelinę. Czują się bezpiecznie. Odległość między namiotami wynosi około dziesięciu metrów. Cały pluton siedzi w namiotach zajęty czyszczeniem broni. Można rozmawiać swobodnie...

– No więc czego znów chcieli od ciebie?

– Jak zwykle. Czy coś zauważyłem, czyś się z czegoś nie zwierzał. No i...

– Co?

– Czy przypadkiem przez sen nie gadasz obcym językiem. Na przykład po polsku...

– O faroną!

– Nie ma rady, Karol, musimy się pospieszyć. Zaczyna być gorąco. Musiałem im na odczepnego coś nagadać na ciebie. Że niby jeszcze nic konkretnego, ale mam cię na oku i zdaje mi się, że zaczynam się do ciebie dobrać. Ale oni cwani. Na początku sami bagatelizowali, mówili, że to pewnie nic, a teraz...

– Co teraz! Mów!

Egon zamilkł i uderzył się w czoło. – Idiota ze mnie, Karol. Tu musi być ktoś inny, kto ma ciebie na oku. Ciebie i mnie, nas obu. Tak, bracie, inaczej być nie może. Słuchaj, jak się nazywa ten, co się tak klei do ciebie? No, ten bydlak z Gliwic?

– Kossewsky?

– Właśnie, On chyba coś zwąchał...

– Nic nie mógł zwąchać. Raz mnie pytał, czy umiem po polsku, wyśmiałem go.

– Ale pytał o to?

– No tak. Ale przecież niczego się nie dowiedział i... – Egon położył palec na ustach i nasłuchiwał przez chwilę.

Pogroził pięścią otwierającemu usta przyjacielowi. Przysunął ucho do płachty namiotu...

*

Dnie mijały na szkoleniowej harówce. Świt zastawał pluton już w pustyni, powrót odbywał się nocą wśród poszczekiwania szakali. Którejś nocy po powrocie z ćwiczeń wezwano Egona do dowództwa. Wrócił po pół godzinie.

Był blady i ręce mu się trzęsły.

- Zdaje się, Karol, że jest źle. Musimy się naprawdę pośpieszyć z drapnięciem na tamtą stronę.
- Jeszcze dwa tygodnie szkolenia.
- Szlag by to trafił!
- A co się znów stało?
- To samo. Życ mi już nie dają. Nie przypuszczam, żeby Kossewsky coś na nas doniósł, ale on nas podejrzewa. Wystarczy, żeby zobaczył jedno nasze potknięcie i jesteśmy gotowi. Ta świnka nie będzie miała skrupułów... Karol, skocz do magazynu po pakuły, skończyły się nam.

Karol szarpnął płachtę i wyszedł na dwór. Zobaczył stojącego o parę kroków Kossewsky'ego. Ten zrazu udawał, że nie widzi Karola. Gapił się w wielki pomarańczowy księżyc wschodzący nad Gambutem. Odwrócił się nagle.

– Ach to ty! Patrz, jaki ładny księżyc! Zupełnie taki jak u nas, na Śląsku. Wschodzi nad łąkami tak samo wielki i czerwony. Ale ty tego nie możesz wiedzieć, bo i skąd, prawda, Peter? No, powiedz sam, skąd mógłbyś wiedzieć jak wygląda księżyc nad Śląskiem?

- Odwał się ze swoim Śląskiem!
- To ładny kraj, bracie, tylko trochę za dużo sadzy, dymu i tych przeklętych poltoniów. Tu inne powietrze. Zaczekaj jeszcze, pogadamy. Służy ci to powietrze? Powiedz!
- Służy – odburknął Karol.
- Mnie też – ucieszył się Kossewsky i nagle zagadał po polsku – nawet nie masz pojęcia jak mi służy, chłopie!

Karol zacisnął szczęki i przymknął oczy. – Nie rozumiem, co gadasz – powiedział nieswoim głosem.

- Czyżby?
- Słuchaj, Kossewsky, odchrzań się, dobrze? Nie mam czasu na głupstwa...
- Zaczekaj jeszcze!...

Wyrosła przed nimi wysoka postać Egona:

– Idziesz wreszcie po pakuły czy nie? Do rana będziemy się pieprzyć z tą bronią?!

Kossewsky spojrział szybko na niego, ale o ułamek sekundy za późno. Nie zobaczył błysku w oczach Egon. Gdyby go był dojrzał, bez wahania wyrwałby z kabury pistolet.

Roześmiał się swobodnie, kiwnął ręką i odszedł. Egon i Karol patrzyli za nim. Wiedzieli już na pewno, że ten człowiek musi umrzeć. I to jak najszybciej. Każda minuta jego życia skracała o minutę życie ich dwóch...

*

Podporucznik Gebauer stanął przed frontem plutonu. Mówił jasnym, donośnym głosem:

– Ponieważ macie już opanowaną grenadierkę, będziemy dziś ćwiczyć rzuty ze skróconym zapalnikiem. Podbiegacie pojedynczo na linię rzutu, następuje odbezpieczenie i natychmiastowy rzut, potem padnij i odczołganie do tyłu. Jasne? A teraz po granaty! Co to za bałagan, do diabła?! Kolejno, drużynami, jak zawsze. Każdy z was wie, gdzie jego miejsce przecież! W takim porządku, w jakim bierzecie żarcie czy stajecie do apelu, w takim samym pobiera się amunicję, rozumiecie?! Biegiem marsz!

Żołnierze SE sprawnie pobrali granaty i ponownie stanęli w szeregu.

– Pierwsza drużyna! Pojedynczo – skok!

Pierwszy pobiegł Alrich. Rzucił z linii jak piłką, przepisowo zrobił „padnij”. Za nim Beer – bezbłędnie, dalej Buhl świetnie...

Podporucznik Gebauer patrzył i rosło mu serce. Teraz biegnie Kossewsky, mały, krępy, dzielny Kossewsky, zawzięty „pieron”. Dobiegł do linii, odkręcił trzonek granatu, szarpnął przepisowo za koralik i w tej samej chwili podporucznik Gebauer zobaczył ostry, krótki błysk. Gdy szybko rozszedł się dym, ujrzano na piasku krwawy kadłub podrygujący w agonii. Granat zniósł Kossewsky'emu głowę i oberwał obie ręce.

Podoficer broni, feldfobel Jeschke, stał wyprężony przed pułkownikiem Buchholzem. Po czole ściekał mu pot, był błydy. Tłumaczył:

– Pojęcia nie mam, jak się to stało, panie pułkowniku. Sam wczoraj wieczorem ostrzyłem granaty, tak jak kazał pan porucznik. Nie, panie pułkowniku, nie oddalałem się ani na krok. Tak jest, sam odcinałem lonty do zapalników, przepisowo na skrócone: jeden centymetr!

– Granat, którym rzucał Kossewsky, w ogóle musiał nie mieć lontu. Iglica trzasnęła od razu w zapalnik, cudów nie ma, feldfoblu!

– Tak jest, panie pułkowniku, ale...

– Co?!

– Zaostrzywszy granaty, sam je poukładałem w skrzyniach.

– Na pewno?

– Tak jest, panie pułkowniku!

– Czy nikt oprócz was nie miał do nich dostępu? Absolutnie nikt? Słowo niemieckiego podoficera?

– Słowo, panie pułkowniku – wyszczezał Jeschke i gdy pułkownik odwrócił na chwilę wzrok, otarł ukradkiem pot z czoła. Nie mógł przecież powiedzieć, że uległ pokusie i poszedł do kantyny pozwalając się wyręczyć Kaestnerowi, który tak jakoś pętał się i płakał, że mu chyba przyjdzie zdechnąć z nudów. Nie mógł tego powiedzieć, albowiem szefowi nie wolno było odejść od granatów ani na krok.

– No cóż – powiedział pułkownik Buchholz, gdy Jeschke oddalił się – to się przecież zdarza.

Porucznik Seelig nic nie odrzekł, tylko pokręcił głową.

...Karol odsunął menażkę z zupą i z niechęcią spojrział na Egona zmiatającego z, dekła drugą porcję schabu. Siedzieli przed namiotem na hełmach, obdarowani jak co dzień obiadem, o jakim z wyjątkiem SS, lotnictwa i kriegsmarine nie mógł marzyć żaden żołnierz Führera. Na deser mieli dostać czerwone wino, pomarańcze i czekoladę.

Karol wylał zawartość menażki na piasek. Podniósł wzrok na Egona:

– Egon, pomyśl co by było, gdyby ten granat wziął nie Kossewsky, ale na przykład ty lub ja?

– Gdyby, gdyby! W niemieckim wojsku, w takim porządku, w jakim się bierze żarcie, bierze się wszystko inne. W Wehrmachcie nie ma cudów, mój miły Karliczku! No, opanuj się wreszcie, chłopie. Zdaje się, że w szpitalu w Barce masz jakąś dzierlatkę, co? No to spływaj, mój Romeo, rozerwij się i nie myśl o przykrych rzeczach. A jak by ci było jednak markotno, to pomyśl sobie, że jest wojna, pyrsk!

III

Siostra Anna musi pójść za Kossewskym

Siostra Anna ze szpitala polowego nr 3 nie miała oczywiście pojęcia o tym, co to jest *Sondereinsatz* ani co to takiego operacja KAIRO, od której tyle miało zależeć. Nie wiedziała również, jaki ma przydział i w jakiej broni służy ten szczupły przystojny szatyn imieniem Peter. Raz twierdzi, że służy w łączności, innym razem podaje się za pancerniaka, choć nosi przy pasie sztylet jak spadochroniarz. Ale to, kim jest Peter, najmniej siostrę Annę obchodzi. Ją obchodzi sam Peter, obchodzi ją więcej niżby tego pragnęła. Trzydziestoletnia kobieta uświadomiła sobie, że mimo całej masy przygód, romansików, miłostek – czy jak kto chce to nazwać – nigdy naprawdę jak dotąd nie kochała. Czyżby zakochała się w tym smarkaczu? No, powiedzmy łagodniej: zadurzyła się. Tak, zadurzyła się na pewno. To takie miłe uczucie...

Peter, Peterle, Pet, Peti, coś jak z francuskiego *petit* – mały. *Mon petit* – mój mały. Siostra Anna była przez rok we Francji i choć wiedziała, jakie kary grożą za „*Rassenschande*”*, pozwoliła się parę razy uwieść młodym, przystojnym Francuzom. Peter, *mon petit*...

* Zhańbienie rasy.

Mówi po niemiecku z komiczną poprawnością, a jego słownik

czułości ma duże luki. Czasami jest nawet bogaty, ale tym bogactwem starym, dostojnym, klasycznym, wyczytanym z kart „Cierpień młodego Werthera”. Mały, głupiutki Peterchen... Siostra Anna przypuszcza, że w domu Karola niemiecki nie był jednak językiem na co dzień, chociaż Peter tak gorąco o tym zapewnia. Och, mon petit, żebyś ty wiedział, ile przez ciebie muszę znieść! Major dr Steigert nabija się wobec całego personelu, że siostra Anna zakłada przedszkole. – Siostrzo Anno, pani wciąż jeszcze okłada się na noc niemowlętami?

Niech się nabija stary wątrobiarz. A Peter jest taki czarujący w swych nieśmiałych pieścizotach... Kiedyż wreszcie przyjdzie ten smarkacz?! Pustynią jadą czołgi i samochody. Z otwartych włazów i spod plandek wysuwają się opalone dłonie i posyłają całusy ślicznej siostrze stojącej na skrzyżowaniu pod palmą. Tylu ich – mocnych, młodych, niewyżytych chłopaków. Dlaczegoż więc tylko Peter, tylko on jeden? Och, przyjdź już, mon petit...

Oto jest. Zgrabnie zeskakuje z ciężarówki, biegnie ku niej, otwiera ramiona: – Ależ, mon petit, nie tutaj, popatrz, ilu ludzi gapi się na nas! Chodź, no chodź już, mam wolny wieczór...

Pokoik siostry Anny w baraku sanitariuszek jest maleńki. Mieści się w nim tylko wąskie polowe łóżko, umywalka, stoliczek zastawiony kobiecymi drobiazgami. Peter nogą zatraskuje drzwi. – Peter, nie bądź taki niecierpliwy! Och, Peter...

*

– Abwehra, panie pułkowniku, dopytuje się o wyniki inwigilacji tego...

– Wiem! Niech im pan odpowie, że oddział kończy szkolenie i w ciągu najbliższych godzin wchodzi do akcji o znaczeniu strategicznym. Niech im pan odpowie, Seelig, że po akcji cały mój oddział będzie do dyspozycji tych panów łącznie ze mną. Ale niech im pan także powie, że nie mam obecnie czasu ani ochoty zajmować się głupstwami. To wszystko!

– Wprawdzie, panie pułkowniku, Kaestner niczego konkretnego jeszcze nie doniósł, ale przypuszcza się, że Roth...

– Jeśli ten cały pański zaufany Kaestner niczego nie doniósł, to znaczy, że nic tam nie ma...

– Ale i ten Kaestner, panie pułkowniku...

– Czy da mi pan wreszcie spokój, czy nie?! Ja sobie wypraszam, panie poruczniku Seelig!

*

– Nie mam nic przeciwko temu, że sobie flirtujesz, Karol. Ale ja widzę, że jest z tobą niedobrze. Przecież ty się najwyraźniej kochasz w tej dziwce!

– Ale gdzie tam!

– Karol – głos Egon brzmiał zimno i ostro – mnie nie oszukasz. Tyś się dzisiaj rano dopytywał, co trzeba zrobić, aby pójść do szkoły podoficerskiej SE. Chcesz zostać tutaj, przy niej. Ale to ci się nie uda. Jesteśmy razem i będziemy razem. I razem przejdziemy do naszych. To jest przecież cały sens tej naszej „rajzy”. Karol, ja ci się nie dam ześwinić.

Karol milczał. Leżał na wznak na rozpalonym piasku nadmorskim. Oczy miał zamknięte. Egon wsparty na łokciach patrzył w jego chudą, pobrużdżoną twarz. Był to ostatni z trzech dni urlopu, jaki dostali żołnierze porucznika Gebauera przed operacją KAIRO. Jutro o tej porze...

– Co masz mi do powiedzenia, Karol?

– Nic.

– No to ja ci powiem. I albo mnie posłuchasz, albo, Karol... Nie chcę ci grozić, ale ty mnie znasz. Ja chcę po wojnie móc spojrzeć w oczy twojemu ojcu. Ty się dziś po południu wybierasz do niej, правда?

– No to co?

– No to nie pojedziesz. Ja pojedę. Pojadę, żeby skończyć ten bajzel.

Karol zerwał się na nogi.

– Co?!

– Powtarzam. Pójdę skończyć ten bajzel. Powiem jej, że masz ją gdzieś, że ci się znudziła, że masz w Rzeszy narzeczoną. Nie wiem zresztą co jej jeszcze powiem, ale wiem, że to będzie koniec, ty Romeo zafajdany!

Karol rzucił się na Egona. Zawrzała krótka walka. Była to walka mistrzowska, jaką wieść może dwóch młodych i silnych, znakomicie w boju wręcz wyszkolonych ludzi.

Egon górował jednak siłą i zręcznością. Wycelowane w swe oczy palce Karola odbił kantem dłoni i walnął łokciem w krtań przyjaciela. Karol zwinął się z bólu. Wychrypiał: – Ty świnió! – Skoczył na wprost usiłując trafić głową w żołądek Egona i w tej samej chwili uderzony od spodu w szczękę runął na piasek. Wstawał powoli przyciskając dłoń do rozbitych warg.

Egon odwrócił głowę. Powiedział:

– Nie chciałem cię tak urządzić, stary. Ale widzisz, obaj nie możemy mieć racji. A ja ją mam na pewno, przysięgam ci! Więc ja dziś pójdę do niej...

– Rób, co chcesz. I... niech cię pieron strzeli!

*

Do szpitala polowego nr 3 wiodły dwie drogi. Jedna szosą, dłuższą, druga między wydrami, krótsza znacznie, lecz bardziej uciążliwa. Egon zdecydował się na szosę. Zatrzymał ciężarówkę.

– Dokąd się wybierasz, chłopcze? – spytał siedzący przy kierownicy feldfelbel. – Do szpitala? Wyglądasz jak byk. No, ładuj się! Tyko uważaj, w tych skrzyniach są zapalniki. Jak się będziesz za bardzo wiercił, to ani tobie, ani mnie żaden na świecie szpital nie pomoże!

Jadąc przystawali co chwila. Musieli przepuszczać kolumny czołgów, cysterny z paliwem, samochody pancerne i działa. Jedyna szosa łącząca Aqahir z Sidi el Ezef była tak zatłoczona, że niemożliwością

było przeskoczyć ją w poprzek, choćby najszybszym biegiem. Żandarmi polowi bez ceremonii spychali z niej włoskie wozy wiozące rannych i kierowali je w pustynię. Wychylając się z szoferki, feldfelbel krzyknął do Egon:

– Szykuje się ładny bal! Naszymi kartami urlopowymi możemy się najwyżej podetrzeć!

W pobliżu szpitala Egon musiał zeskoczyć w biegu. Żaden z pojazdów nie mógł się zatrzymać ani na chwilę. Do kulającego się w piachu Egona podbiegł żandarm. – Przepustka! Obejrząwszy książeczkę żołdu z okładką przekreśloną żółtym pasem, mruknął:

– Aha, Sondereinsatz, wal, chłopie, dalej. W tym szpitalu są fajne dziewczynki i w dodatku gwarantowane. Wesolej zabawy!

Siostra Anna asystowała właśnie przy operacji, więc Egon musiał czekać. Na otoczony wielkimi namiotami obszerny dziedziniec co chwila zajeżdżały sanitarki, z których wynoszono rannych. Nieznosny smród krwi i ropy zwał się po prostu z nóg, jęki i wycia rannych, chrapania konających były dosadnym komentarzem do komunikaty OKW, który głosił, że „w rejonie AL Haim udało się odeprzeć silne natarcia nieprzyjaciela z nieznacznymi własnymi stratami”.

Ktoś huknął na Egon, dlaczego stoi jak słup, kiedy mógłby trochę pomóc?

Zacisnąwszy zęby chwycił Egon za drążki noszy.

*

Karol wezwany do dowódcy, usiłował wyprężyć się na baczność.

– Jak wy wyglądacie, Roth? Go to ma znaczyć? Kto was tak urządził?

Podporucznik Gebauer, któremu szef doniósł o pobitym żołnierzu, krzyczał, ale w głosie jego brzmiał śmiech.

– Potknąłem się, panie poruczniku, i upadłem na kolbę „szmajsera” i...

– Prosto na pysk, co? No, no, mnie już nie będziecie bujać! Na pewno poszło o jakąś babę. Wargi macie jak murzyn, Roth. Uważajcie tylko: jutro idziemy do akcji. A wiecie, co grozi żołnierzowi, który daje się okaleczyć przed bitwą? No, już dobrze. A jaka ta dziewczyna, fajna? Jak się zachowuje w łóżku? Pewnie ma wyższą szkołę jazdy, inaczej nie dalibyście sobie o nią rozbić mordy!

Karol poszarzał na twarzy. W jego wzroku było coś takiego, że porucznik Gebauer zmieszał się najwyraźniej.

Powiedział:

– Schon gut. Abtreten!*

* Już dobrze. Odmaszerować.

*

Zapadał szybki pustynny zmierzch. Rannych znoszono bez przerwy. Z umarłymi procedura była krótsza. Układano ich na ziemi, odrywano połowy blaszek rozpoznawczych, nakrywano brezentem. Gruby podoficer notował ich nazwiska w grubej księdze.

Egon pochylił się nad kolejną parą noszy. Leżał na nich człowiek o żółtej twarzy i sinych ustach. Oczy miał w półprzymknięte i czoło zroszone potem. Ale nie to zwróciło uwagę Egona. W ciągu tej godziny oswoił się z wyglądem rannych. Człowiek leżący na noszach miał na sobie koszulę i szorty jaśniejszej barwy i innego kroju niż niemiecki. Pod naramiennikami czerwieniły się owalne skrawki jedwabiu z wyhaftowanym napisem „Poland”. Gdy Egon je ujrzał, omal nie upuścił noszy, ale idący w przodzie sanitariusz przywołał go do porządku:

– Nie chcesz tu chyba tańczyć fokstrota z tym angielskim ścierwem?!

Za chwilę zaś krzyczał:

– Gdzie ci się tak spieszy, idioto? On i tak zaraz zdechnie, a zresztą najpierw opatrywać będą naszych!

Przed wejściem do namiotu-poczekalni ktoś zabrał nosze od Egona.

Ktoś w białym kitlu pochylił się nad nimi i rzekł:

– Koniec z nim.

Zrzucone z noszy ciało uderzyło o piasek. Jakiś żołnierz chwycił je za nogi i powłókł za namiot. Egon patrzył, jak głowa pokryta ciemnoblond włosami podskakuje na żwirze. – Czołem, kolego – wyszeptał zbielełymi wargami. Zaraz popędzono go do dalszej roboty.

Gdy skończyli, była już noc. W świetle reflektorów padającym z ciężarówki z zapuszczonym motorem zobaczył Egon, że mundur jego pokryty jest rdzawymi plamami. Na pytanie, gdzie mógłby się umyć, odpowiedział mu gromki śmiech. – Człowieku. Tyś chyba głupi albo z SS, gdzie mają wody pod dostatkiem! Tu jeden litr wody wypada na sto litrów krwi!

Siostra Anna, gdy dowiedziała się, że czeka na nią jakiś młody żołnierz, zaczerwieniła się tak wyraźnie, że dr Steiger zrezygnował z normalnego w takim wypadku przytyku. Powiedział tylko:

– Niech siostra idzie, dam sobie radę z Elzą. No, niech już siostra idzie, do stu diabłów!

*

Kiedy podbiegła bliżej, zwolniła kroku. To nie był Peter. To był... ach, tak, już wie. To jest ten jego przyjaciel Egon, czy jak mu tam... Raz, gdy szli w Aqafir pod rękę, minął ich ten właśnie żołnierz salutując szarmancko. I wtedy Peter powiedział, że to jest właśnie Egon. A Peter? Czyżby... Nie! To niemożliwe! Peter nie mógł zginąć, przecież wie, że nie wolno mu zginąć, skoro ona go kocha! Peter żyje i najwidoczniej wypadła mu służba, a może warta, skoro przesyła przyjaciela. Postąpiła parę kroków i powiedziała drżącym głosem: – Dobry wieczór, panie...

– Kaestner. Dobry wieczór, siostrze. – Głos Egona był zimny, odpychający.

– Pan...

– Mam mało czasu, więc będę mówił krótko. Jak się pani zapewne domyśla, przysłała mnie Peter. Tu jest to pani zdjęcie, które mu pani dała. Niech pani nie płacze, to się na nic nie zda!

– Ale dlaczego on sam nie przyszedł?

– Nie chciało mu się. Ma pani po prostu dość, rozumie pani? Po prostu dość. Chyba nie pierwszy i nie ostatni raz ktoś ma pani dość. A poza tym... Peter ma w kraju dziewczynę, wie pani? Ładną i młodą dziewczynę. Mogę pani nawet opisać jak ona wygląda. Otóż...

– Dość tego!!

W pełnych łez oczach siostry Anny zapaliły się iskry.

Podeszła bliżej i Egon cofnął się odruchowo. Siostra Anna cedziła słowa:

– Pan kłamie. Wy obaj kłamiecie. Ja się nie dam nabrać. Ani panu, ani jemu, nikomu. I niech mu pan powie, że mam dość tych jego kłamstw. Tych jego bają o wzorowym niemieckim domu, gdzie się wszyscy kochają; Pan sam się z tego śmieje, prawda, panie...

– Kaestner.

– Doprawdy? A nie inaczej? Mniejsza z tym.

– Głupstwa pani plecie, siostro!

– Tak? To niech pan wie, że pański koleżka powiedział mi o sobie i o panu to i owo. Głupi pęta! Czy wy wiecie, że jedno moje słowo...

Egon nie słuchał dalej. Był jak sparalizowany. Co ten cymbał jej nagadał? O czym puścił farbę? Mordę mu znowu zbić? Co pomoże zbić mordę, gdy chodzi o gardło?

– Siostro Anno – powiedział łagodniej – nie wiem o czym pani mówi. Rozumiem, że jest pani przykro i ja pani współczuję. Nie dałbym zresztą głowy za to, że to, co mi Peter kazał przekazać, to już takie pewne i ostateczne. Coś smarkaczowi strzeliło do łba, pani go zna zresztą. Siostro Anno...

– Niech się pan nie wysila. Nie myślcie sobie, że będziecie, wy chłystki, grać ze mną w ciuciubabkę. Niech pan powie szczerze: kto

mu zawrócił w głowie? Pewnie jakaś siksa z łączności, co?

– Przysięgam pani...

– Peter dość się naprzysięgał. Przysięgał także i na to, że jestem jedyną kobietą, której powiedział prawdę o sobie. O ile mi wiadomo, Abwehra nie darzy szanownych panów przesadnym zaufaniem, prawda? Ale... – tu siostra Anna uśmiechnęła się – ja mam znajomości także w Abwehrze. Nawet dość bliskie znajomości. I wystarczy parę słów... co pan tak zbladł, Herr Kaestner? Chciałam powiedzieć, że wystarczy kilka słów z mojej strony, aby Abwehra dała wam spokój. To właśnie chciałam powiedzieć...

– To jakieś wielkie nieporozumienie...

– Być może. A temu szczeniakowi niech pan powie, że to ja nie chcę go więcej widzieć. Niech mi się nie pokazuje na oczy, niech się gzi z dziwkami z łączności czy z kim chce. Życzę powodzenia!

Odwróciła się. Egon myślał przez chwilę, czy natychmiast nie wpakować jej kuli w plecy, ale teraz i tutaj byłoby to szaleństwem. Gdy odchodziła, zawołał:

– Sostro Anno!

Nie odwracała się.

– Sostro Anno! On będzie za dwie godziny w kantynie w garnizonie! W kantynie w Aqafir, czy pani słyszy? Będzie na pewno!

*

Podporucznik Gebauer wyprężył się:

– Tak jest, panie pułkowniku! Od północy pogotowie marszowe. Wymarsz jutro o godzinie S. Godzina S podana będzie szyfrem o godzinie S-2. Rozumiem.

– Nie chcę powtarzać, ile zależeć będzie od waszej roboty. Ważną akcją wspierać będzie jeden Ju-89. Rzuci bomby na te cele, których nie uda wam się wstępnym szturmem opanować. Cel pokażecie mu raketami. Pomarańczowa rakietą. Proszę to sobie zapamiętać, jak również wszystkie inne szczegóły. Żadnych notatek robić panu nie wolno.

- Tak jest, panie pułkowniku!
- Będę przy wymarszu osobiście. A teraz uwaga: po wypełnieniu zadania wycofujecie się na...

*

Karol otworzył oczy i usiadł na materacu.

- No?
- Ubieraj się, ale już! Ileż razy mam ci powtarzać?

Gdy Karol mrużąc przekleństwa wciągał spodnie, Egon zapytał:

- Coś ty jej nagadał, ty szczochu?
- Jak to co? Nic takiego, co by ciebie obchodziło.
- Ja pytam, coś ty jej nagadał o nas?

Karol opuścił rękę, w której trzymał koszulę.

– Widzisz... nic takiego. Zdaje się, że jej powiedziałem, że byliśmy w polskim gimnazjum. Żeby nie myślała, że ma z byle kim do czynienia.

- I co więcej?
- I tego... no, że Abwehra...
- Co Abwehra?
- Nic, jak Boga kocham! Mówiłem tylko, że nas o coś tam podejrzewają, ale myśmy nic a nic nie winni. A w harcerstwie nie my jedni byliśmy, prawda?

Egon zwarł szczęki.

- Oczywiście – powiedział przez zęby.
 - I co jeszcze?
 - To wszystko. Sam nie wiem, dlaczego jej o tym mówiłem.
- Ona jest bardzo dobra, wiesz?

- O tak, wiem!
- ...taka miła, serdeczna... taka jak matka...
- Kogo ty przyrównujesz do matki?!
- Ja tylko tak. Ja dotąd, jak wiesz, to z kobietą nic nie miałem. A ona jest wyjątkową dziewczyną. Czasem człowiekowi lżej, jak się zwierzy. Widzisz, mój drogi, czasami mężczyzna...

– Mężczyzna? Ty gówniarzu!

Egon uchylił płachtę i wyrzał przed namiot. Nie było w pobliżu nikogo. Tylko daleko, na tle granatowego nieba rozjaśnionego zodiakalnym światłem ciemniała sylwetka wartownika z nasadzonym na lufę karabinu bagnetem.

– Słuchaj, Karol. Ubrany jesteś? To dobrze. Masz niewiele czasu, od północy jest pogotowie. Pójdiesz czy pojedziesz do Aqaqir. Tam w kantine będzie czekać ona. Wyprowadzisz ją na spacer w pustynię. Słuchaj, Karol. To jest wściekła bestia ta twoja Anna. Ona wie o nas wszystko i nie łudź się, że, będzie milczeć. Jeżeli nie zrobisz tego, co ci każę, jutro z rana poprowadzą nas na strzelnicę i rozwalą jak amen w pacierzu. Co ty na to?

– Ttto niemożliwe!

– Oczywiście. Dlatego ona musi... nie gap się na mnie tak idiotycznie! Ona musi umrzeć. Weź sztylet. Nie bój się. Będzie to na angielskich komandosów, oni czasem się aż tu zapuszczają.

– Egon, nikt nie uwierzy w angielskich komandosów, oni bab nie zarzynają, a poza tym ja tego nie zrobię za żadne skarby świata!

– Tyś tego piwa nawarzył i ty je musisz wypić. Zrobisz to, Karol, zrobisz, jeśli chcesz wrócić po wojnie do kraju, zrobisz, jeśli nie zeświniłeś się do reszty. Ja nie zawahałem się sprzątnąć Kossewsky'ego, ty...

– Ale ja ją kocham!

– Dlatego pójdzie z tobą w pustynię. Musimy żyć i przeżyć to całe piekło. Tak sobie postanowiliśmy. Albo ona, albo my. Leć już!

– Nigdzie nie pójdę...

– Karol, ja cię ostrzegam, ja jestem gotów na wszystko.

– Zabijesz mnie?

– Karolku, postawiliśmy wszystko na jedną kartę. Nie mamy odwrotu. I pamiętaj: To nie ty ją zabijesz, to wojna. A tyś wojnie przecież nie winien. Idź, musisz wrócić przed północą.

Podporucznik Gebauer złożył starannie mapę i schowa ją do torby. Powiódł wzrokiem po plutonie. Żołnierze stali w ciasnym kręgu.

– Czy wszystko jasne? Są jakieś pytania?

Odpowiedziała mu cisza.

– W porządku. Teraz pobierzecie prowiant i amunicję, dopilnujcie tego, feldfelbel Grietze. Kto chce napisać list do rodziny, niech zrobi to zaraz. Kto chce się jeszcze zdrzemnąć, może to zrobić. Za obóz ani na krok wychodzić nie wolno. Aha! I jeszcze jedno: kto w tej akcji wpadnie do niewoli, niech nie myśli, że Tommies będą się z nim certolić, więc niech jeden z drugim dobrze pomyśli, zanim ze chce mu się podnieść łapy do góry. Rozejść się!

Egon dopiero teraz dopadł Karola. Zdyszany Karol wpadł pół godziny temu na dziedziniec, gdy pluton stawał na zbiórkę alarmową. Egon zapytał krótko:

– Jak?

– Odwal się, ty diable! Nie mam z tobą nic wspólnego! No, co się tak gapisz? Tak! Zrobiłem to, ale...

– Cicho bądź, Karolku. Przejdzie ci niebawem!

*

Podporucznik Gebauer wyciągnął się wygodnie na połowym łóżku i zapalił papierosa, zakładając ręce pod głowę. Uśmiechnął się do swych myśli. Oto jemu, skromnemu zawodowemu oficerowi piechoty wpadła szansa, jak zdarza się jedna na milion. On, skromny, niczym szczególnym dotąd się nie wyróżniający podporucznik Gebauer dowodzić będzie akcją, która zadecyduje o losach kampanii, a kto wie czy nie całej wojny? Jeśli operacja KAIRO się uda... co znaczy „jeśli”? Musi się udać! Wprawdzie istnieje małe prawdopodobieństwo powrotu z niej, ale choćby możliwość powrotu była jedna na milion, to gra warta jest świeczki. Podporucznik Gebauer, porucznik Gebauer, major, podpułkownik, pułkownik Gebauer... generał... A właśnie: generał. Przed człowiekiem, który wykona operację KAIRO,

wszystko stać będzie otworem. Sława, zaszczyty... zakrzuszył się dymem i rzucił papierosa na ziemię.

...Sala Honorowa w kancelarii Rzeszy. Na ścianach zdobyte sztandary. Fuehrer, sztab Wehrmachtu, błyski lamp magnezjowych. Podchodzi wódz, wyciąga dłoń: Im Namen des deutschen Volkes, gratuliere ich Ihnen, Herr Hauptmann, Major, Oberstleutnant*.

• W Imieniu narodu niemieckiego gratuluję panu, panie kapitanie, majorze, podpułkowniku!

Podporucznik Gebauer przewrócił się na bok i ujrzał inny obrazek. Czerwony mur twierdzy. On sam, Gebauer, stoi pod murem z zawiązanymi oczami, a naprzeciwko niego ładuje broń angielski pluton egzekucyjny. Anglicy ani Rosjanie nie robią ceremonii z tymi, których konwencja genewska pozwala uznać za zbrodniarzy wojennych. A to, co ma uczynić podporucznik Gebauer... Donnerwetter!** Broń już naładowana, pada komenda... Nie! Stanowczo lepiej leżeć na wznak!

** Do stu piorunów!

*

Samochody już czekały. Stały ukryte za wydumą. Ich zamazane niebieską farbą reflektory rzucały nikły, ale upiorny blask. Noc była głęboka i bardzo ciemna. Przez gęstą oponę czarnych chmur nie przeświecała ni jedna gwiazda. Żołnierze plutonu podporucznika Gebauera podchodzili do maszyn i stawali przy nich grupkami, na jakie byli podzieleni. Było tak cicho, że słyszało się leciutki szmer piasku przesypywanego ledwo odczuwalnym tchnieniem wiatru.

Przybywało cieni. Rozległ się cichy, lecz wyraźny głos dowódcy:

– Wszyscy na miejsca! Wsiadać!

Szybko wskakiwali na wozy. W milczeniu zajęli miejsca. Dowódca szturchnął w ramię kierowcę pierwszego wozu. Ruszyli. Po dwóch kwadransach jazdy wozy zatrzymały się. Przed namiotem

dowództwa Sondereinsatz stał pułkownik Buchholz. Przemówił krótko:

– Życzę wam powodzenia. Działajcie zdecydowanie i bezwzględnie. Ci gówniarze na sam wasz widok będą trzęśli portkami. Wasza akcja to nie tylko działanie strategiczne, to także odwet. Godzinę temu Anglicy zbombardowali nasz szpital w Aqahir. Z rannych i personelu zrobili jatkę, nie ocalał nikt. Bądźcie tak samo dzicy i barbarzyńscy. Odjazd! Heil Hitler!

Kolumna wozów potoczyła się na wschód. Pułkownik Buchholz powoli szedł do namiotu. I on był wstrząśnięty zbombardowaniem szpitala. Prawda, Anglicy strzaskali szpital, gdyż wyniuchali, że pod namiotami znaczone czerwonym krzyżem są nie tylko ranni, ale także amunicja i paliwo dla czołgów. W każdym razie operację KA-IRO będzie można jako tako usprawiedliwić, gdyby się nie powiodła. Jeśli się powiedzie, nikt od zwycięzców nie będzie żądał zdawania rachunków. A jeśli się nie powiedzie?... Choć noc była upalna, pułkownikowi Buchholzowi zrobiło się zimno.

Pierwszy pluton Akeji Specjalnej mknął pustynią na wschód. Żołnierze klęli półgłosem angielskich bandytów. Po tym, co usłyszeli, poczuli się jakoś pewniej w sumieniu. Egon spojrzał na siedzącego obok w milczeniu Karola i przeraził się. Twarz przyjaciela była biała jak papier. Z półprzymkniętych oczu płynęły wielkie łzy. W umyśle Egona zrodziło się straszne podejrzenie. Ale przecież teraz nie może o tym porozmawiać z Karolem, nie może wydusić zeń prawdy o tych dwóch godzinach, które Karol na rozkaz Egona spędził z Anną. Po chwili jednak rozpogodził twarz: nawet jeśli Karol nie zabił Anny, to uczynili to Anglicy. A więc nie ma obawy, że dogoni ich radiowy rozkaz nakazujący odstawienie ich pod bagneta-
mi do bazy. Trącił kolanem Karola:

– Współczuję ci, stary. To straszne, ale tak lepiej.

Karol milczał.

*

Operacja KAIRO rozpoczęła się. Samochody wjechały w świt. Żołnierze siedzący na wozach trzymali na kolanach pistolety maszynowe, w cholewach butów tkwiły granaty. Nowiutki, wyostrome sztylety uwiązane były pod pachami. Głębokie hełmy zasmarowano farbą koloru pustynnego piasku.

Gryząc wargi do krwi rozpamiętywał Karol każdą minutę ostatniego spotkania z ukochaną. Gdy zmęczony biegiem przez diuny przybiegł do szpitala, był zdecydowany – zabije Annę. Egon ma rację. Zabije Annę, bo tego chce ten los przeklęty, który ich z rodzinnego miasta rzucił w piekło pustynnej wojny. Zrobi to, bo w tym jest ich ocalenie. Zabije Annę, bo od tego jest wojna, żeby zabijać. – Zabiję ją! – Zawołał głośno i rozejrzał się ze strachem. Wokoło nie było nikogo. Tylko na horyzoncie czerniały szczyty szpitalnych namiotów.

Anna była u siebie. Gdy stanął w progu, zerwała się z krzesła. Otwarta książka zsunęła się z jej kolan i upadła na podłogę. Zabrzmiało to jak odgłos pękającego serca.

– Czego chcesz, Peter?

– Anno, przyszedłem się pożegnać. To wszystko kłamstwo, co mówił ci Egon. Kocham cię i nigdy nie przestałem cię kochać. Muszę ci wszystko wyjaśnić, ale nie tutaj... sama rozumiesz.

Bez słowa podeszła do wieszaka i zdjęła długi, wojskowy płaszcz.

– Choć, Peter. Co ci jest? Jak ty dziwnie wyglądasz...

– Już dobrze. Kocham cię i wszystko będzie dobrze. Chodźmy.

Szli pustynią objęci wpeł. Anna wsparła głowę na ramieniu Karola. – Nic jeszcze nie mów, Pet, jeszcze przez chwilę nic nie mów, mon petit. Tak jest dobrze...

Karol pod pozorem sięgnięcia po papierosa zdjął rękę z ramienia Anny. Sięgnął do pasa, do rękojeści sztyletu. Odpiął zatrask...

- Anno... Idę do akcji, jest mało prawdopodobne, abym wrócił...
- Jeśli ty nie wrócisz to i ja nie mam po co żyć!
- Naprawdę?!

W głosie Karola zabrzmiała tak wyraźna i tak dzika radość, że Anna przystanąła.

- Oczywiście, mój mały – powiedziała zbielełymi wargami.
- Anno... ja na pewno wrócę. I dlatego, Anno...

Z krzykiem odskoczyła w tył. Blask dobytego sztyletu zamigotał w jej oczach płomykiem grozy.

– Peter! Peter, nie podchodź do mnie! Co to ma znaczyć, Peter, powiedz!

Postąpił jeszcze krok ku niej. Nie krzyczała już, patrzyła tylko. Patrzyła jak wierny pies, do którego podchodzi ukochany pan, by zadać mu śmierć.

– Krzycz! Uciekaj! Broń się! Anno, krzycz, tylko nie patrz tak na mnie! Anno, ja oszaleję!

Rzucił nóż na piasek, odwrócił się i zaczął uciekać.

– Peter, wróć, Peter, nie odchodź! Zabij mnie, tylko nie odchodź!

Biegł jak oszalały. Na dziedziniec obozu wpadł w chwili, gdy pluton stawał na zbiórkę alarmową...

IV

Uciekaj beze mnie!

Operacja KAIRO zaczęła się. Kolumna przystanąła. Żołnierze zeskoczyli z wozów i rozsypali się w pustyni zajmując stanowiska. Taki szyk nazywa się „jeżem”. Lufy i bagnety wymierzone są we wszystkie strony świata. Samochody odjechały, a pluton podniósł się z piasku i poszedł dalej marszem ubezpieczonym. Po godzinie marszu podporucznik Gebauer nakazał postój. Wystawił warty, a reszcie kazał spać.

- Można wytrzymać z taką wojaczką – roześmiał się ktoś.
- Na co my właściwie czekamy? – spytał inny.

Podporucznik Gebauer wyjął z torby połowy barometr: Chwilę wpatrywał się weń, potem odpowiedział:

– Na chamsin! Wypoczywajcie, tylko cicho. Jesteśmy już w zasięgu angielskich patroli. Grietze! Niech pan każe rozładować broń i sprawdzi każdy karabin i każdy peem. Jeżeli któryś wystrzeli przedwcześnie, będziemy się mieli z pyszna!

Było upalnie i duszno. Powłoka chmur zgęstniała, wiatr zamarł zupełnie. Spod hełmów, spod płacht maskowniczych ciekły po twarzach żołnierzy strumyczki potu. Egon z trudem doczołgał się do Karola leżącego nieco z dala. Wydobył z plecaka puszkę kompotu i otwierając ją powiedział:

– Widzę, że jesteś do niczego, ale weź się w garść. Jeżeli nie pryśniemy w tej akcji, to nie pryśniemy już nigdy. Ja sam nie wiem jeszcze, w którym momencie i jak to zrobimy. W każdym razie trzymaj się mnie i nie odchodź na krok. Załatwiłem już z Gebauerem, że będę cię miał na oku przez cały czas. I wiesz co? – Egon z trudem tłumił śmiech – iw razie czego mam cię... no, sam wiesz, dobre, co? No, stary, weź się w kupę!

Karol milczał.

*

Sierzant Harald Walker z pierwszego batalionu pułku „Black Watch”*, choć klął po polsku jak najprawdziwszy warszawski taksówkarz, nie mógł dogadać się z dowódcą polskiego patrolu. Młody podchorąży jako tako mówiący po angielsku utrzymywał, że szkockiego bełkotu sierżanta nie zrozumiałby sam Szekspir. Wreszcie znakomitą radomską angielszczyzną i edynburską polszczyzną z pomocą gestykulacji ustalili: przedpole puste. Niemcy patrolują bardziej w lewo, parę kilometrów na północ od Barce, mają widać przejścia w polach minowych. Jednak od czasu do czasu warto było podejść o tam, gdzie stoi wrak spalonego czołgu, ale to raczej z obowiązku niż z potrzeby. Oni, Szkoci, trzymali tę placówkę cztery dni i omal nie wyzdychali z nudów. W ogóle ta placówka potrzebna tu jak dziura w moście! Akurat warto osłaniać taką dziurę jak Kafr el Qid, w której para łazików z zaopatrzenia rżnie w karty od rana do wieczora!

Polski podchorąży pokręcił głową. Był zdania, że chyba jest jakiś cel w osłonie tej dziury, skoro ludność została nagle ewakuowana, a w glinianych lepiankach zakwaterowali się żandarmi. Uścisnął dłoń Szkota. – Będzie chyba chamsin – powiedział na pożegnanie sierżant Walker – strzyka mi w kolanie...

* „Czarna Gwardia” – Jeden z najwaleczniejszych pułków szkockich z parusetletnią, tradycją..

Kolano sierzanta nie kłamało. Chamsin nadciągał rzeczywiście. Polacy poukładali się na piasku i nakryli płachtami. Dwaj tylko żołnierze poszli na czujkę. Cóż bowiem oprócz piasku i wiatru przynieść może chamsin?

*

Szare niebo porudziało. Gdzieś za horyzontem przewalił się grzmot. A może to tylko artyleryjski wystrzał? Zrobiło się tak cicho i tak sucho, że wargi pękały. I nagle zerwał się wichur. Potężny taran żaru uderzył młotem w pustynię wzbijając pod niebo miliony ton piasku. Zapadła gęsta, nieprzenikniona, czerwona ciemność. Porucznik Gebauer nałożył maskę, żołnierze poszli za jego przykładem.

– Powstań! Kierunek za mną – marsz!

Pierwszy pluton oddziału Akcji Specjalnej ruszył w chamsin i ciemność, niosąc przed sobą zapalone pochodnie bagnetów.

*

Pod Barce trwał bój. Na pozycje Australijczyków wyszło uderzenie dwóch zmotoryzowanych dywizji – niemieckiej i włoskiej. Wojska Osi nacierały z brawurą, ponosząc ciężkie straty w ogniu dział przeciwpancernych. Chociaż na przedpolu płonęło już kilkanaście czołgów i tankietek, Niemcy i Włosi zrywali się do ataku raz po raz. Dowódca australijskiej dywizji pomyślał, że dowodzący nieprzyjacielskim natarciem generał chyba zwariował. Bo jakież to sens pchać się frontalnym atakiem na świetnie umocnione pozycje? Gdzie logika w tym szaleńczym natarciu, nie powiązanim z żadnym działaniem operacyjnym, z nieubezpieczonymi skrzydłami? Dowódca australijskiej dywizji postanowił zakończyć tę zabawę. Uderzy odwodami i pokaże tym „bloody Germans” co to znaczy porywać się na najlepszych żołnierzy Imperium!

Dowódca australijskiej dywizji żałował, że sam nie będzie mógł

dowodzić tą akcją, ale za kilka godzin miał stawić się na odprawę w małej, odległej wiosce. Powiedział do swego zastępcy:

– Niech pan pokaże temu niemieckiemu durniowi, gdzie raki zimują!

Ale opinia niemieckiego sztabu o generale von Ebersbach była zgoła inna. Generał nacierał i ponosił straty w imię jednego celu, który musi zostać za wszelką cenę osiągnięty, a nazywa się – operacja KAIRO.

Oddziałowi SE idącemu na Kafr el Qid nic nie może poważnie zagrozić. Dlatego właśnie, aby z drogi plutonu odciągnąć jak najwięcej nieprzyjacielskich wojsk – naciera generał von Ebersbach, dlatego płoną jego czołgi, dlatego umierają jego ludzie.

Nad ranem bitwa ustała, przerwał ją potężny chamsin.

*

Trzecią już godzinę przedzierali się przez żar i piach. Rozciągnęli się w długi wąż, tak że nie widzieli się nawzajem. Szli raczej na wycucie, „na żołnierskiego nosa”. Brnących przez to piekło mijał od czasu do czasu dowódca. Podtrzymywał słabszych, kopniakami podnosił leniwych. Żar i piach były wszędzie: w ustach, w gardle, w nozdrzach. Piach wypełniał kaptury kombinezonów i ciążył jak kamienie. Krew waliła w arteriach, krew wypełniała oczy bólem i mrokiem. Ktoś upadł. Następni mijali go lub przeskakiwali. Znalazł się porucznik Gebauer. Stał nad leżącym i szczeptał:

– Powstań!

Żołnierz nie ruszył się. Rzęził przeraźliwie. Na jego suche jak pieprz wargi wyskoczyły bąbelki różowej piany.

– Powstań! Przecież cię tu nie możemy zostawić!

Leżący ani drgnął. Porucznik Gebauer ryczał, usiłując przekrzywić wycie wiatru:

– Liczę do trzech, uważaj! Eins... zwei... – Rozejrzał się. Najbliżej niego przechodził ślaniający się Karol.

– Roth! Do mnie!

Karol podszedł na uginających się nogach.

– Drei! Roth! Pomóż mu bagnetem! Roth! Wykonacie mój rozkaz albo... – porucznik Gebauer położył dłoń na kaburze pistoletu.

Karol pochylił bagnet. Delikatnie, jak tylko mógł, ukłuł leżącego w udo. Ten nie reagował.

– Dość tej zabawy, Roth! Skończcie z nim!

Karol zamknął oczy i pełnym rozmachem wbił bagnet w pierś leżącego. Ostrze weszło miękko jak w masło. Karol szarpnął kolbą ku sobie i odemknął powieki. Franz Meinicke z Halle nic się nie zmienił na twarzy. Tyle, że przestał rzeźić.

Porucznik Gebauer schował pistolet do pochwy.

– Maszerować!

Pluton powlókł się dalej. Po kwadransie jakiś żołnierz idący w tyle zgubił się. Dowódca nakazał go szukać. Znalaziono go szybko. Tym, który go znalazł, był feldfebel Grietze. Poszedł za wydmgę i zobaczył. Żołnierz klęczał za głazem z głową ukrytą między kolanami. Tak chowa się struś. Trzymając głowę w piasku uważa, że nikt go nie widzi.

Feldfebel stanął za nim. Powiedział:

– Aha!

Żołnierz uniósł głowę, lecz nie powstał z klęczek. Patrzył na feldfebla wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Grietze sięgnął po sztylet. Wtedy żołnierz zaczął wołać. Wicher porywał i zniekształcał jego słowa. Wołanie o życie brzmiało jak urywki kiepskiego monologu z trzeciorzędnej rewii.

Żołnierz dojrzał jakiś ludzki grymas w kamiennej dotąd twarzy podoficera, bo zawołał:

– Ich danke Ihnen, Herr Feldwebel!*

Ale Grietze pokręcił przecząco głową. Wycelował ostrze w kark klęczącego. Szepnął: Verzeihe, Kamerad...**

• Dziękuję, panie sierżancie!

•• Przepraszam, kolego...

*

*„Wahiguru wahiguru wahiguru Ji
satnam satnam satnam Ji...*

Dzika, szarpiąca nerwy melodia wplątała się w rytmiczny warkot bębnow. Żołnierze siedzą na piętach w wielkim kręgu. Głowy w żółtych turbanach kołyszą się do taktu, wargi wypowiadają święte, stare i groźne słowa. Jest to zapowiedź pomsty na wrogu za poległych braci. Wczoraj w kontrataku pod Barce poległo ich ponad stu. Gurkhowie biją w bębny i śpiewają:

*Niech ciała wrogów naszych pożre tygrys,
Niech płacze po nich stara żmija,
Niech rozpacza ojciec ich – skorpion
Niech umierają długo,
Niech ścierwo ich szarpią hieny,
Wahiguru wahiguru wahiguru Ji!*

W środku kręgu siedzi młody jeszcze mężczyzna o pięknej, rozumnej twarzy. Na naramiennikach tropikalnego battledressu nosi odznaki brytyjskiego generała. Generał zżyma się. Jeśli ma zdążyć na oznaczoną godzinę na odprawę do Kafr el Qid, musi już odejść. Nie pozwala na to prastary obyczaj. Generał musi pozostać wśród swych wojowników tak długo, jak długo trwa Paramita Dżan – święty apel poległych.

Wreszcie bęben milknie. Generał podnosi się z kłeczek... Z kwater sztabów wszystkich dywizji i brygad 8 Armii wychodzą generałowie, podchodzą do zapuszczonych samochodów. Szukają; na mapach maleńkiego kółka z napisem Kafr el Qid. Tam odbyć się ma odprawa, w wyniku której...

Pułkownik Buchholz, dowódca Sondereinsatz, uczynił wszystko co w ludzkiej mocy, aby odprawa w Kafr el Qid nie przyniosła

żadnego wyniku i aby żaden z jej uczestników nie wyszedł z niej żywy. Dlatego pluton porucznika Gebauera przedziera się przez chamsin, dlatego w przodzie idą jako szperacze dwaj młodzi chłopcy z Górnego Śląska, którym depce po piętach Abwehra. Ci dwaj młodzi chłopcy – w przeciwieństwie do pułkownika Buchholza – są zdania, że operacja KAIRO nie powinna, nie może się udać...

Chamsin szalał bez przerwy. Teraz dopiero nabrał widać oddechu, teraz dopiero rozhulał się na dobre. Dwaj żołnierze w tropikalnych dressach koloru mlecznej kawy przytulili się odruchowo do siebie, jakby znaleźli się w oku polarnej zawieii a nie w samych trzewiach afrykańskiej pustyni. Leżeli w wygrzebanej w piasku wnęce, dłonie ich dotykały kolby erkaemu, którego lufa wycelowana w zamroczony horyzont nakryta była płową maskowniczą płachtą.

Strzelec Magiera trącił w bok starszego strzelca Wasilewskiego:

- Widzisz?
- Co?!
- Czy widzisz?!
- Ale co tu można widzieć?!
- Tam? Jakieś cienie! Ktoś idzie!
- To ciotka Kunegunda wraca z niesporów. Ty idioto! Komu by się chciało iść w taki czas?!
- A ja ci mówię... – Krzyk Magiery utonął w wyciu wichru.

*

Już nie szli. Wlekli się, czołgali, szli na ostatnich bebechach. Tych, którzy zalegali na dłużej niż parę sekund, porucznik Gebauer popędzał lufą wetkniętą w żebra. Jeszcze nie dotarli do postawy wyjściowej, a już brakowało w plutonie trzech żołnierzy. Walter Fabian przebił się nożem. Porucznik Gebauer długo kopał trupa, którego wyszczerzone zęby przypominały kpiący uśmiech. Porucznik Gebauer przestał karcieć dezertera, gdy uświadomił sobie, że nie wolno tak bezproduktywnie tracić energii.

Po pół godzinie postój. Żołnierze chleptali z manierek mętą, ciepłą wodę o ohydny smaku. W zębach chrzęścił piasek. W godzinę później dotarli do ruin starej, chyba czasy Ramzesów pamiętającej forteczki. Zwalili się na ziemię pod ziomkami wapiennych, pokruszonych ścian.

Porucznik Gebauer czuł zmęczenie tak wielkie, że graniczące z błogością. Pomyślał, że w dziejach ludzkości dwa tylko wojska przeszły pustynię w chamsinie: Grecy i Niemcy. Uśmiechnął się do tej myśli, ale syknął z bólu. Rozciągnięta skóra na wargach pękała jak przepalony papier...

Ruchem ręki wezwał do siebie Egona:

- Co z Rothem?
- Nic nie zauważyłem, panie poruczniku.
- Mięczak, po prostu mięczak. Myślę, że tym razem Abwehra strzeliła byka...

Chamski ucichał. Dowódca pozwolił otworzyć żelazne porcje, ale nikt nie skorzystał z pozwolenia. – Może to i lepiej, że nie jedzą – pomyślał porucznik – w razie postrzału w brzuch... Zaraz złapał się na tym, że jest mu absolutnie obojętne, ilu jego żołnierzy i w co zostanie ranionych. Byleby tylko udała się akcja. Akcja, po której... podchodzi Wódz, wyciąga rękę. Ich gratuliere Ihnen, Herr... General!!*

* Gratuluję, panie generale!!

Chamsin ustał. Na pogodnym niebie afrykańskiej nocy zabłyśły gwiazdy wielkie jak pomarańcze. Z daleka, z północy niósł się pomruk dział i delikatne, jak stukanie dzieciółów, serie karabinów maszynowych.

Gdy odpoczęli nieco, dowódca siadł między nimi:

- Nasze zadanie znacie tylko pobieżnie. Teraz chcę je wam wyjaśnić dokładnie. Do Kafr el Qid mamy już tylko trzy kilometry, to jest jeden skok. Skok ten wykonamy mniej więcej za godzinę. Musicie wiedzieć wszystko, gdyż może się tak zdarzyć, że każdy będzie

musiał być dla siebie dowódcą. Ciekawi was zapewne, dlaczego – skoro naszą akcją, wspiera lotnictwo – samej akcji lotnictwo nie wykonuje. Lotnictwo nie daje stuprocentowej gwarancji, a pamiętajcie, że zginąć mają wszyscy, wszyscy bez wyjątku, wszyscy, którzy znajdują się w domu na skraju wsi, w celu numer 1. Jest to budynek z kamienia, jednopiętrowy, zaraz na lewo od szosy. Nie może nas także wyręczyć artyleria, bo miejscowość ta leży poza zasięgiem naszych najcięższych dział, nie może nas wyręczyć nawet sam diabeł, słowem – nikt. To musimy zrobić my.

Porucznik Gebauer wydobył z torby szkic. Pierwsza grupa, dowódca Grietze – likwiduje ochronę. Druga ze mną zdobywa budynek i tam robi porządek. Trzecia, którą dowodzi plutonowy Auer, ubezpiecza od Barce. Czwarta grupa wchodzi do akcji dla ubezpieczenia odwrotu i działa po osi Kafr el Qid – Sidi Mussah. I jeszcze jedno: od tej chwili patrzy na nas sam Fuehrer!

*

Starszy strzelec Wasilewski zmienił lufę erkaemu, a zdjętą dał do przeczyszczenia Magierze.

– A ja ci mówię, Władek – powiedział Magiera – mocując się z zatraskiem łożyska – że ktoś tędy przechodził, niech skonam!

– Zdawało ci się, Stefan. A nawet jakby przechodził, to i tak wpieprzy się na miny.

– Niekoniecznie. Gdyby szedł prosto na fort...

– I akurat wiedział, że na osi fortu nie ma min! Ech, ty frajerze! Tu miny stawiali Włosi, Niemcy, nasi, Anglicy i czort wie, kto jeszcze! Nikt nie ma pojęcia, gdzie są założone miny. Kto ci zaręczy, że właśnie w tej chwili nie leżymy na jakiejś ładnej wiązce? Ruszysz nogą, trącisz potykacz i adieu, Fruziu!

– Wypluj to słowo!

Wydzielona do ochrony Kafr el Qid kompania polskiej brygady

miała za prawego sąsiada Hindusów. Na lewo rozłożyli się Nowozelandczycy.

Do Kafr el Qid wjeżdżały zielone sztabowe limuzyny, eskortowane przez dwie pancerki. Dowódca ochrony odprawy, major Henderson, uważał te ostrożności za co najmniej przesadzone. Kafr el Qid leży przecież na tak dalekich tyłach...

*

– A więc zaczęło się – powiedział do pułkownika Buchholza szczupły człowiek w generalskim mundurze. Ten spojrzął na zegarek i powtórzył: – Zaczęło się.

– Pierwszy meldunek powinien nadejść za cztery, powiedzmy, za pięć godzin.

– Mniej więcej.

Generał uderzył dłonią w rozłożoną na stole mapę. Dłoń zwinął w pięść i uderzył po raz drugi. Roześmiał się.

– I wtedy, drogi pułkowniku, następuje akt drugi i ostatni. Uwielbiam dwuaktówki, wie pan. Może dlatego nigdy nie znosiłem Szekspira. Wie pan, co zamierzam? Obejść prawe skrzydło brzegiem Kirrah i stuknąć w lewy boczek Tommies...

Pułkownik Buchholz potarł czoło. Przyszło mu bowiem do głowy... Nie. Takiej myśli w ogóle nie można dopuścić. Od powodzenia operacji KAIRO zależy, zbyt wiele. Kampania, wojna, no, a najważniejsze – Rycerski Krzyż Żelaznego Krzyża dla niego, dla pułkownika Buchholza. To musi się udać, musi, choćby tamci wszyscy mieli gryźć ziemię. Musi!

Czuł jednak na sercu przykry ucisk. W razie czego – pomyślał – można sobie przecież w łeb strzelić. Ta myśl przyniosła mu ulgę.

– Napije się pan koniaku, panie pułkowniku? Mam oryginalnego martela. Przysłano mi właśnie z Francji.

– Francja... to były czasy, panie generale, prawda? W Paryżu

kwaterowałem u Ritza. Pięciopokojowy apartament, widok na Pola Elizejskie...

– Ba... Tu zaś mamy widok na zakończenie wojny albo przynajmniej kampanii. To chyba ważniejsze, co? No, to prosit, Herr Oberst!

– Prosit, Herr General!

Obaj oficerowie wypili i zakąsili daktylami. Po drugiej szklance generał stał się nieco sentymentalny.

– Wie pan, tego Burringtona, no, generała Burringtona, dowódcę dywizji kanadyjskiej – znam dobrze. Swego czasu był w Berlinie angielskim attaché wojskowym. Świetny kompan, znakomity jeździec. Trochę mi żal, że nie doczeka świtu.

– Wojna, panie generale!

– Właśnie. Swoją drogą... to straszne dla żołnierza dać się zarznąć jak baran. No nic. Rozklejam się trochę, to wina koniaku, a więc wina Francji. Niech mi pan zrobi przyjemność, pułkowniku, i zabierze tę butelkę do siebie. Chcę jeszcze popracować. Dobranoc panu. Z chwilą otrzymania pierwszego meldunku proszę mnie natychmiast zawiadomić. Dobranoc!

– Dobranoc, panie generale!

*

– Wolf, Boose, Kaestner, Roth! Bierzcie erkaem! Podczołgacie się o tam, do tamtej palmy, a potem skokiem osiągniecie skraj wsi. Zajmiecie stanowisko z kierunkiem ognia na szosę. Po zajęciu stanowiska – sygnał – kwilenie sępa. Jazda!

Cztery postacie poczęły się czołgać krok za krokiem. Pierwszy pełznął Boose, za nim Wolf, następnie Karol z erkaemem i Egon. Odpoczywali co pięćdziesiąt metrów uważnie obserwując wieś. Niewiele było widać w ciemności. Jakieś dalekie, zmieszane z nocą cienie, słabiutki, wyblaskujące na moment światełka ślepych latarek. Łagodny wietrzyk przynosił strzępki dalekiej rozmowy, gdzieś

warczał zapuszczony motor.

Karol przeczuwał, że i c h chwila nadchodzi, że już zaraz Egon wyda nieubłagany rozkaz, który będzie oznaczał, że wszystkie mosty spalone, że nie ma odwrotu. Dotarli właśnie do palmy. Karol odwrócił się i skonstatował, że plutonu już nie widać, a zatem i pluton ich nie widzi. Serce waliło mu jak młotem, przez chwilę obawiał się, że Boose i Wolf posłyszają to łomotanie serca i...

Karol wpił się oczami poprzez ciemność w twarz Egona. W jego wzroku było namiętne błaganie: Nie, Egon, jeszcze nie teraz, na wszystko zgoda, tylko jeszcze nie teraz!...

Egon z trudem opanował drżenie rąk. Ustało, gdy powiedział sobie szeptem: teraz albo nigdy!

Najgorszy jest moment – te ułamki sekund przed powzięciem decyzji. Kiedy już jest decyzja i to decyzja nieodwołalna, napięcie ustaje. Człowiek przestaje wtedy myśleć o niebezpieczeństwie, o ryzyku, o tym, że ma właściwie jedną szansę na sto.

Egon szybko wyliczył odległość dzielącą go od wspartego na łokciach Wolfa. Wy dobył sztylet, uniósł się na kolanach... W ułamku sekundy przyszło mu na myśl, że to wszystko, co się tu teraz dzieje i za chwilę będzie działo – to coś nierealnego, coś jakby scena z dawno widzianego filmu. Podkurczył nogi i jednym susem zwałił się na plecy Wolfa. Źle wycelował, upadł na piasek obok Niemca, przekreślił się błyskawicznie... Wolf spojrzał. Wyszeptał: – Czyś ty oszalał?... – Ale zanim dopowiedział pytanie do końca – zrozumiał. Chwycił rękojeść sztyletu i otworzył usta do krzyku. W porę przygryzł wargi. Wiedział przecież, że najmniejszy hałas ściągnie im na kark Anglików, a wtedy...

Czaili się na siebie jak dwa lamparty, gdy zetkną się ich ścieżki łowów. Słyszeli wściekle szamotanie Karola z Boosem i zduszone jęki. Już! Egon poczuł potężne uderzenie w nasadę nosa, pchnął sztyletem na oślep, wyciągnął rozcapierzone palce, zmacał coś szklistego, miękkiego, zahaczył, szarpnął, zajechał sztyletem do góry, nie

trafił, cofnął lewą rękę. Palce miał oblepione czymś gęstym i lepkiem.

Wytrzymał bez sieknięcia silny cios obcasem w pierś, zachwiał się i gdy Wolf zamajaczył nad nim w długim, potężnym skoku, podstawił ostrze. Usłyszał zduszony jęk: Jezus! Żgnął raz, drugi, trzeci... Poderwał się z ziemi w chwili, gdy Boose szedł nań wilczo, chyłkiem, z tyłu. Rzucił się mu pod nogi, zwałił na ziemię, pchnął ręce w przód, do gardła. Od razu wyczuł, że Boose jest ranny, odparł bowiem atak miękko, jakby leniwie. Dobrze musiał mu Karol zajechać. Karol! Gdzie jest Karol? Karol nie żyje. Leży zażgany opodal. Jego morderca wije się teraz w uścisku Egonowych ramion, rzeźi, ostatni dech wypuszcza. Sztylet!

Egon przestał zadawać ciosy, gdy przekonał się, że to, co było przed chwilą silnym zdrowym Boosem, jest już tylko kupą krwawego mięsa. Zataczając się poszedł szukać Karola.

Rozejrzał się, nasłuchując. Wokoło była cisza...

Karol gramolił się z ziemi. Nawet w ciemności widać była, że twarz jego jest przeraźliwie blada.

– Karol! Co ci jest, Karol?!

– Uciekaj beze mnie! Ja już... przebił mnie, ja już jestem gotów. Wiej stąd, szybko! Czekaj, nie zostawiaj mnie tak, dobij, błagam cię na wszystko, nie zostawiaj mnie tak żywego...

– Ciiicho! Gdzieś dostał? – Obmacał szybko przyjaciela. Rana była łatwa do odkrycia, sztylet tkwił w niej po rękojeść. Przebił prawą łopatkę. Trzeba go tak zostawić, bo w razie wyjęcia bluźnie krew i będzie po wszystkim.

Dźwignął Karola, zarzucił go sobie na plecy i na ugiętych nogach jął pomykać ku wsi.

Gorący, urywany oddech Karola parzył mu skroń...

V

Vorwärts!

Porucznik Gebauer bez przerwy patrzył na nafosforyzowaną tarczę zegarka. Wszyscy nasłuchiwali uważnie. Nie kwilił żaden sęp. Warkot motoru we wsi umilkł i cisza stała się tak wielka, że słyhać było oddechy żołnierzy.

- Co oni się tak guzdrzą, Grietze?
- Pewnie czekają na stosowny moment.
- Jak długo można czekać, do jasnej cholery? Grietze, bierzcie waszą grupę i podsuńcie się do przodu ze sto metrów. A jak tylko dadzą sygnał...

*

Egon myślał, że ta droga nie skończy się nigdy. Był nawet zdania, że we wsi nie ma żadnych Anglików, że operacja KAIRO to jakieś ponure ćwiczenie, że zaraz nadejdzie Gebauer z plutonem i wtedy... Boże, bądź miłościwi... Gebauer... Powie mu:

- Nic nie zauważyłem, panie poruczniku. – Usłyszysz:
- Mięczak. Myślę, że tym razem Abwehra strzeliła byka...
- Hold! Hold or I fire!*

* Stój! Stój, bo strzelam (ang.)

Anglicy! Egon chce coś odpowiedzieć, ale ani jedno słowo nie

przedostaje się przez wargi, chce coś tłumaczyć rakami, ale ręce trzymają nieprzytomnego Karola. Zatacza się do tyłu i pada na piasek przywalając sobą rannego.

*

Porucznik Gebauer rozpiął kołnierz kurtki. Nagle ogarnęło go dziwne uczucie, takie samo jak wtedy przed laty na ćwiczeniach, kiedy spostrzegł, że pochłaniacz jego maski gazowej jest uszkodzony, a było wiadomo, że za chwilę rozpocznie się prawdziwy, nie pozorowany atak gazowy. Porucznik Gebauer otrząsnął się jednak szybko, albowiem porucznik Gebauer był odważnym człowiekiem.

Stało się dlań jasne, że patrol, który miał ubezpieczać akcję, wpadł w zasadzkę, a jeśli tak, to nieprzyjaciel niebawem będzie wiedział wszystko, mimo iż tamci czterej, jak zresztą wszyscy żołnierze SE, umieją milczeć. Ale Intelligence Service ma swoje sposoby. A więc za kwadrans, najdalej dwa, operacja KAIRO będzie rozszyfrowana. Żeby tylko tamci ten kwadrans wytrzymali! Nagle porucznik Gebauer przypomniał sobie, że w patrolu poszedł ten...

Roth. Roth czy Huebner, czy może Materna? Jak można go było puszczać od siebie! – Ach, du verfluchter Idiot! – syknął z wściekłością.

– Panie poruczniku – odezwał się Grietze.

– Nic. Zaraz zaczynamy. Gdzież ten samolot, do diabła?

W tej samej chwili usłyszeli oddalony warkot motoru.

*

Egon przełknął jednym haustem szklankę palącego płynu, zakrztusił się, odetchnął, rozejrzał wokół. Siedział na brezentowym połowym łóżku. Nad nim majaczyły twarze pod rondami płaskich, angielskich hełmów. Na hełmach dojrzał Egon wymalowane białe orły. Chciał mówić, ale coś trzymało za gardło mocno, twardo, nie puszczało. Poczul pod powiekami piekące łzy...

– Waszym kolegą zaopiekowaliśmy się – powiedział ktoś po niemiecku. – Czy możecie już mówić? Jakżeście się tu dostali?

Egon raptownie spuścił nogi na podłogę. Zawołał:

– Ludzie, na rany boskie, nie ma ani chwili czasu!

Oczy żołnierzy rozszerzyły się w ogromnym zdumieniu.

– Polak?!

– Nie! Turek! Panie kapitanie – krzyknął błagalnie ujrawszy na naramiennikach jednego z żołnierzy trzy gwiazdki – panie kapitanie, niech pan natychmiast bierze chłopaków i pędzi na pustynię. Ja poprowadzę!

*

Teraz nie wolno zwlekać już ani chwili, za parę minut Ju-89 znajdzie się nad celem; nad celem, którego jeszcze nie ma, który jest jeszcze nie rozpoznany. Niech diabli porwą tych łamagów, którzy wpadli w zasadzkę, niech diabli porwą wszystko!!!

Porucznik Gebauer wyszarpnął pistolet z kabury.

– Bagnet na broń! Naprzód!

*

Kapitan Nowak zdecydował się wreszcie. Wydał rozkazy. Dwie kompanie – polska i australijska – stanęły w ordynku. Zakasłały się dymem i warkotem tankietki...

– Panie kapitanie – tłumaczył Egon – na matkę moją przysięgam, że to prawda! Niech mi pan wierzy!

– Na razie wam wierzę. Czy słusznie, to się okaże. Powiadacie... operacja KAIRO... hmm. Ale co za diabły siedzą w tym szkopskim wywiadzie! Skąd oni mogli wiedzieć?!

– Tego to ja nie wiem, panie kapitanie. Ale ja nie bujam.

– Dobra. Ale jeśli to jakiś kawał czy prowokacja, nie chciałbym być w waszej skórze, jak wy się nazywacie?

– Rozmus.

– A więc nie chciałbym być w waszej skórce, Rozmus. Teraz odstawimy was do informacji...

– Panie kapitanie. Ja mam prośbę. Pan niczym nie ryzykuje. W razie czego zawsze zdąży pan wsadzić mi kulę w łeb. Niech pan mi pozwoli iść z chłopakami w pustynię!

– Nie wiem, w czym moglibyście nam teraz pomóc...

– Ja... umiem się bić, panie kapitanie! .

– W porządku. Ale w tym mundurze... przecież cię nasi chłopcy z miejsca zarąbiają!

– To niech pan każe dać mi hełm. I broń. Bo widzi pan... ja po tę broń... po te orły... Ja i Karol... z Katowic. Przez granice. Przez wszystko. Żeby tę broń... Ja nie wiem, czy pan mnie rozumie...

– Sierzancie Zieliński! Dać mu karabin, granaty i hełm. Co się pan tak gapi, sierzancie Zieliński? Nie. Nie zwariowałem. Chodźcie, Rozmus. Kompanie już wyszły w pustynię.... Operacja KAIRO... no, zobaczymy.

*

Nie ustając w biegu zadzierali głowy do góry. Stało się jasne, że to nie jeden myśliwiec leci na wsparcie operacji KAIRO, ale przynajmniej z dziesięć. Porucznik Gebauer pomyślał, że widać Buchholza ruszyło sumienie. Kilkanaście myśliwców, no tak, to jest coś. Będzie się można pod ich ochroną wycofać... Nagle w niebie coś zatrzęszczało. Błysnęło. Żołnierze plutonu SE zrozumieli, że to nie, eskadra niemieckich myśliwców lecąca na wsparcie. Że to tylko jeden niemiecki samolot opadnięty przez hurricany. Zwolnili biegu, lecz zaraz przyśpieszyli popędzani wrzaskiem dowódcy.

To wyglądało, jakby Pan Bóg zrzucił pochodnię. Ognisty kształt sunął w ostrej pice ku ziemi. Przemknął nad głowami nacierającego plutonu i wyrznął opodal w piach, wzniesając potężny pióropusz czerwonego dymu...

– Vorwärts!

Teraz tylko naprzód, naprzód, bo SE się nie cofa, naprzód, bo jeszcze nie wszystko stracone. Albo jak kto woli – wszystko stracone. Nie ma się co oglądać za siebie, tu urywa się przeszłość.

Vorwärts!...

Dłoń zaciśnięta na kolbie erkaemu, palec leciutko opierający się o spust... Tylko przycisnąć! Wtedy u wylotu tłumika ukaże się mały trzepoczący błysk i trwać będzie tak długo, jak długo palec będzie zgięty, i przez ten czas przez pustynię lecieć będzie śmierć zakłeta w małe, stożkowate kulki.

Starszy strzelec Janek Ogaza przycisnął spust, zanim przebrzmiała krótka i donośna komenda: ognia!!

Trafiony w pierś podoficer Nehl przebiegł jeszcze parę kroków, zanim runął w piach z krzykiem: zdrada!

Pustynia wrzała wystrzałami. Żołnierze porucznika Gebauera ostrzelani z zasadzki, zmieszali się pod gęstym i celnym ogniem, ale zaraz zalegli na ziemi i odpowiedzieli z wszystkich luf.

Podporucznik Gebauer ocenił siły nacierającego nieprzyjaciela na około dwie kompanie. Porucznik Gebauer był doświadczonym żołnierzem i dowódcą i wiedział, że nie ma żadnych szans wyjścia z życiem z zasadzki.

Dwa razy poderwali się do szturm Polacy i Nowozelandczycy, dwa razy odskoczyli w tył pozostawiając na piasku zabitych i rannych, tylko na lewym skrzydle udało im się dopaść na dystans bagnetu i w krótkiej, ponurej, zaciętej harataninie na pięści, kolby, i zęby, zwinąć niemiecką flankę. Za chwilę alianckie karabiny maszynowe były już z lewa...

Oddziałek Grietzego wycofywał się odgryzając kulami na wszystkie strony. Grietze pragnął za wszelką cenę dołączyć do reszty plutonu, ale iść musiał łukiem tracąc ludzi w gęstym, morderczym ogniu. Przemykając pod palmą natknęli się na trupy Wolfa i Boosego. Nie było żadnego sensu zajmować się teraz poległymi, ale zwłoki towarzyszy wyglądały tak strasznie, że oczy mimo woli odwracały

się od celowników i spoczywały na okropnie wykrzywionych twarzach.

Feldfebel Grietze posłyszał w pewnej chwili daleki, rozpaczliwy głos porucznika: – Grietze! Cofaj się na mnie!

Szybciej!

Poderwał oddział głosem i dał nura w rozbłyskaną ciemność. Niskie niebo pełne jest gwiazd, oto jedna odrywa się od nieboskłonu i spada prosto na głowę feldfebla. Gwiazda wielka, ogromna, cała srebrna, srebrna... Grietze podniósł dłonie do przestrzelonych skroni i osunął się na ziemię.

*

Droga jest gładka jak stół. Czasem tylko, gdy koło jeepa najedzie na kamyk, daje się odczuć leciutki wstrząs. Ale ten leciutki wstrząs wystarczy, aby drzemiący w ramieniu ból ocknął się i aby człowiek zaskowyczał jak kopnięty pies. Nad Karolem pochyla się sanitariusz, przytyka mu do warg manierkę.

– Du! – Próbuje swej okropnej niemczyzny spod Białegostoku – du gut Deutschland. Gut kommen, kriegten alles – cigarettes...

– Jerrunie! Zawrzesz ty ten pysk?

Sanitariusz w porę chwycił się kołnierza kierowcy. Gdyby uczynił to o pół sekundy później, wypadłby z samochodu jadącego z szybkością czterdziestu pięciu mil na godzinę.

*

– Przerwij ogień! Stop that fire!

Strzelanina ucichła, jak nożem uciął. Kapitan trącił Egona w bok:

– Zaczynajcie!

Egon przyłożył dłonie do ust:

– Ergebt euch! Poddajcie się! Poddajcie się, bo was wytłuczemy do nogi!

Po czym szepnął do kapitana: – To na nic. Oni się nie poddadzą. Ja ich znam...

Porucznik Gebauer był tego samego zdania. Nakazał jednak przetrwać ogień. Przyszło mu do głowy, że oto nadarza się jedyna w świecie okazja – policzyć się z tym zdrajcą Kaestnerem. Ten zapłaci za wszystko: i za zduszoną w zarodku operację KAIRO, i za życie i karierę porucznika Gebauera. Zawołał:

- Niech tu przyjdzie ktoś mówiący po niemiecku!
- Dobrze! Dajcie trzech zakładników!

Porucznik Gebauer ruchem palca wydał wyrok śmierci na trzech najbliższych leżących. – Idźcie!

Za chwilę zamajaczyła w ciemności postać żołnierza w angielskim hełmie.

- Podejść bliżej! – rozkazał porucznik.

Egon postąpił parę kroków. Widział porucznika gramolącego się z ziemi. A że znał go dobrze, więc padł o pół sekundy wcześniej niż strzał z lufy parabellum. – Ty świński przeklęty zdrajco! – Porucznik szedł ku niemu, by oddać strzał dobijający. Nie doszedł jednak. Od strony alianckiej buchnęły strzały. Pod ich osłoną, krok za krokiem, centymetr za centymetrem zaczął się Egon czołgać do swoich.

– Żyjecie! – ucieszył się kapitan. Potem spojrzął na zegarek: – Dość tego cackania się. Kończyć! Bagnet na broń!

*

Porucznik Gebauer zapytał: – Skończyliście? – A gdy radiota skinął głową, strzelił parokrotnie w skrzynkę polowej krótkofalówki. Teraz pułkownik Buchholz już wie, że operacja KAIRO spaliła na panewce. Teraz radio już niepotrzebne, teraz właściwie niepotrzebne już nic. Teraz... właśnie: teraz lub nigdy! Amunicja na wyczerpaniu. Starczy jej już tylko na wypad, na wypad, który jest ostatnią mizerną szansą niedobitków SE. Porucznik Gebauer otworzył usta:

– Szturm!

Sam poderwał się pierwszy szyjąc od biodra z pistoletu maszynowego. Za nim skoczył Hochmeier i zaraz zwałił się twarzą w piach. Skoczyli Niemitz ze Schmidtem i wymachujący granatem Pohl, wyprysnęli w przód Mammert i Grundmann. Przebiegli kilkanaście metrów i zalegli. Za ich plecami zasyczało ostro, krótko. Błysnęło. To nieprzyjaciel rozpoczął ostrzeliwanie z moździerzy. Skulili się...

Porucznik Gebauer sprężył się ponownie do skoku. Za wszelką cenę musi dopaść skraju wsi. Tam granatami wyrąbią sobie drogę do szosy, przeskoczą szosę i może paru przejdzie. Może tylko jeden, może nikt... Porucznik Gebauer powtórzył krzyk:

– Szturm! Naprzód!

Skoczył odrzucając swój peem, w którym nie było już ani jednego naboju. Wyszarpnął z kabury parabellum i pobiegł strzelając raz po raz przed siebie. Kątem oka zobaczył, że tylko paru żołnierzy poszło w jego ślady. Co jest, do cholery?! – Plutoooooon!!!

I nagle, jakby ktoś gorącym piaskiem posypał mu po brzuchu. Poczul jak lepka, gorąca krew spływa mu wzdłuż ud. – Nuschke! Do mnie! Nuschke chciał odkrzyknąć, że słyszy, że już idzie i... wsparł skrwawione czoło na kolbie szmajsera. Porucznik Gebauer ostatkiem sił wykręcił się do tyłu. Poczul narastający ból w dole brzucha. Wyjęczał:

– Szturm! Do szturm, wy tchórzliwa świńska bando!

Spróbowali raz jeszcze, ale ogień z powrotem przygwoździł ich do ziemi. – A więc koniec – pomyślał porucznik. Zakreśliło mu się w głowie. Przewrócił się na wznak i utkwiał mętniejący wzrok w wygwieżdżonym niebie. Dlaczego wielka Niedźwiedzica świeci tak nisko, nad samym horyzontem? Ach, prawda, jestem przecież w Afryce, dowodzę operacją KAIRO... Nieprawda. Nie dowodzę już niczym i nikim. Jestem śmiertelnie rannym człowiekiem, którego kości rozwłóczą po pustyni szakale i sępy. Nawet – myśli porucznik

– jeżeli tu, na tym piachu nie zdechnę, rozstrzelają mnie. W myśl bowiem jakichś tam idiotycznych ludzkich praw jestem przestępcą wojennym. Przestępcą jest, kto przegrywa, gdybyśmy wygrali, przestępcami byłiby tamci, wyróżnieni w majestacie prawa zwycięzcy. Ale dość tego filozofowania skoro jeszcze mogę rozkazywać. Niech śmierć przyjdzie natychmiast! Ja, porucznik Gebauer, wydaję śmierci rozkaz, aby się stawiła. Śmierć do mnie!!!

Ktoś zasłania niebo. – Odślonić mi niebo, do jasnej cholery! Człowiek w płaskim hełmie nie wykonuje rozkazu. Odpina torbę, wyciąga bandażę, błyska strzykawką... Porucznik Gebauer unosi lufę na wysokość piersi sanitariusza. Zawsze był zdania, że jego pistolet ma wyjątkowo czuły spust, a tu trzeba nadludzkiego wysiłku, trzeba całej siły, jaka jeszcze została. Zgina powoli palec dysząc z utrudzenia. Udaje się. Pada strzał i sanitariusz z okrzykiem „Jezus Maria” przewraca się do tyłu...

*

Elektryczny wentylator cicho szumi i napędza na rozpaloną twarz strumienie chłodu. Karol otworzył oczy. Siostra Lilian Burton z 213 szpitala 8 Armii uśmiecha się. Będzie żył ten ładny Polak, który podobno dokonał czegoś tam wielkiego, tak przynajmniej twierdzą ci, co go przywieźli.

Siostra Lilian sama cięła na nim strzępy niemieckiego munduru. To na pewno któryś z Intelligence Service, a może komandos? Siostra Lilian zawsze marzyła, by zobaczyć na własne oczy jednego z tych chłopców, o których wyczynach krążą legendy.

– Napije się pan kompotu?

Żołnierz otwiera szerzej oczy. Usiłuje usiąść, ale opada z powrotem na poduszki. Wargi jego poruszają się. Siostra Lilian nachyla się nad żołnierzem i słyszy drżący, zachwycony szept:

– Anno!...

VI

On! Fire!

Pułkownik Buchholz spojrzął pod światło na trzymaną w ręku szklanę. Na jej dnie zostało trochę złotawego płynu. Ostatni łyk z butelki. Koniak – prezent od generała. Pułkownik Buchholz dopił koniak i odstawił szklanę. Usiadł za biurkiem i wsparł głowę na rękach. Wzrok jego zatrzymał się na żółtej teczce z napisem „Operacja KAIRO”. Pułkownik Buchholz odkręcił wieczne pióro i zdecydowanymi prostymi pociągnięciami, równo, na krzyż przekreślił napis. Pułkownik Buchholz był bowiem znany jako pedant.

Zabrzączał telefon.

– Ma się pan natychmiast zameldować u generała.

Pułkownik Buchholz bez słowa odłożył słuchawkę i uśmiechając się, przecząco pokręcił głową. Znowu zadzwonił telefon.

Małym nożykiem do obcinania koniuszków cygar przeciął sznur. Brzęczenie ustało nagle. Pułkownik Buchholz wysunął szufladę. Czarny krążek lufy przyjemnie chłodzi skroń. Już za chwilę będzie można przestać głowić się nad odpowiedzią na pytanie: „Co pan uczynił, pułkowniku Buchholz, aby zdemaskować i unieszkodliwić zdrajców, którzy znaleźli się w pańskim oddziale...?”

*

Zostało ich już tylko ośmiu. Dowodzenie obejmuje najstarszy stopniem podoficer Thiel. Ostatni dowódca pierwszego plutonu SE zdaje sobie sprawę, że niczego tak bardzo nie pragnie, jak żyć. Chce mu się krzyczeć na głos: – Dajcie mi żyć, ja mam dopiero dziewięćnaście lat! Na myśl, że ich rozstrzelają, Gerhard Thiel zaczyna płakać jak dziecko. Rozstrzelają...

Na całym bowiem świecie nie ma sądu, który by w tym wypadku wydał inny wyrok niż wyrok śmierci. Ale... przecież chyba nie tak od razu? Jak długo może potrwać śledztwo? Pięć dni, powiedzmy: cztery. Sąd wojenny? Przypuśćmy: jeden dzień. A więc można przyjąć, że kapitulując przedłużą sobie życie o pięć dni, o pięć bezcennych dni!

Podoficer Gerhard Thiel rozpruwa brezentową powłokę opatrunku osobistego, wydobywa bandaż i rozwija go. Zatacza kręgi nad głową. Wstęga białej gazy kreśli w jaśniejącym powietrzu misterne spirale. Gerhard Thiel słyszy daleki rozkaz: – Przerwij ogień! Podnosi się i wyciąga dłonie ku niebu. Siedmiu ocalałych z SE czyni to samo. Podbiegają żołnierze w płaskich hełmach, otaczają ich. Patrzą z zimną, niechętną ciekawością. Obszukują, wydzierają z rąk broń, zabierają pasy i ładownice, kolbami zapędzają do szeregu. Niemcy skomlą cichutko: wody! Patrzą pokornie w twarze zwycięzców. Ktoś podaje manierkę, rzucają się na nią wszyscy, szarpią ku sobie wylewając cenne krople. Polacy i Nowozelandczycy patrzą nieporuszeni.

Podoficer Gerhard Thiel szuka wzrokiem, komu by zwrócić próżną manierkę. Wzrok jego pada na Egona w niemieckim mundurze i angielskim hełmie z białym orzełkiem. Na chwilę Thiel zapomina o tym, że chce żyć. Coś wilczego narasta w sercu i skowytem podchodzi do gardła...

Ale już w następnej chwili Thiel uśmiecha się pokornie. Mówi przymilnie:

– Świetnie to zrobiłeś, Kaestner!

Egon splunął i odwrócił się.

*

Niemcy otrzymują nosze i rozkaz pozbierania swoich rannych. Zwycięzcy niosą swoich zabitych. Jest ich dziewięciu. Otoczony bagnietami patrol jeńców idzie w pustynię. Odnajdują porucznika Gebauera i dwudziestu innych dających jeszcze jakieś znaki życia.

Porucznik Gebauer ma postrzał brzucha, ale jest przytomny. Na widok zbliżającego się nowozelandzkiego oficera każe przystanąć. Mówi z wysiłkiem:

- Żądam, aby natychmiast...
- Pan nie ma prawa niczego żądać. O co pan prosi?
- Jestem oficerem i żądam...
- Jest pan po prostu przestępcą wojennym. I nie ma pan prawa niczego żądać.

Daje znak i Gebauera niosą dalej. Na chwilę wzrok jego krzyżuje się ze wzrokiem Egon. Noszowi znowu przystają. Porucznik Gebauer otwiera usta, ale Egon jest szybszy.

- Pana obelgi nie mogą mnie dotknąć, panie Gebauer. Niech się pan nie trudzi...

- Ty!...

- Nie szkodzi. Jesteśmy Polakami i spełniliśmy nasz obowiązek. Spełniać będziemy go dalej. Tak długo, aż was wszystkich wreszcie szlag trafi. I niech się pan nie cieszy za bardzo. Mój przyjaciel żyje. Żyje i wyzdrowieje i będzie walczył z wami. I niech pan wie...

Polski dowódca przerywa rozmowę. – Maszerować dalej! Dość tych flirtów! A wy, Rozmus, idźcie z szefem, niech wam da mundur, ubierzcie się wreszcie po ludzku!

*

Nietrudno wyobrazić sobie konsternację, jaka zapanowała w sztabie alianckim na wieść o operacji KAIRO. Niedoszłych morderców dowódców 8 Armii postanowiono ukarać tak, aby nieprzyjacieli

wreszcie zrozumiał, że Sprzymierzeni w żadnym wypadku nie będą tolerować bandyckich metod prowadzenia wojny.

Podoficer Gerhard Thiel przewidział dobrze: w równe pięć dni po zniszczeniu plutonu SE czternastu niemieckich żołnierzy i jeden oficer stanęli przed angielskim sądem wojskowym jako oskarżeni o usiłowanie morderstwa, ponadto oficer o zamordowanie sanitariusza. Rozprawa była krótka, tym krótsza, że porucznik Gebauer z isticie hitlerowską butą oświadczył, że nie będzie odpowiadać na żadne pytania, gdyż jedynym sądem, który ma prawo go sądzić, jest sąd niemiecki.

Ostatnie słowa sentencji wyroku brzmiały: – „...w myśl przepisów prawa międzynarodowego oraz przepisów brytyjskiego kodeksu wojennego, wszyscy oskarżeni zostali uznani winnymi usiłowania dokonania morderstwa na osiemnastu oficerach alianckich.

Ponadto oskarżony Franz Gebauer został uznany winnym zamordowania polskiego sanitariusza, szer. Leona Krawczyka. Sąd skazuje wszystkich oskarżonych na karę śmierci przez rozstrzelanie. Wyrok wykonany ma być w ciągu dwóch godzin od jego ogłoszenia”.

Słońce wyszło już ponad palmy oazy El Saleh, gdy niewielki konwój zatrzymał się w pustyni. Na niedalekiej szosie warczały niezgaszone motory samochodów. Pokazano skazańcom, gdzie mają stanąć. No pytanie o ostatnie życzenie, byli żołnierze SE poprosili o papierosy. Palili powoli zaciągając się głęboko. Wreszcie zawiązano im oczy.

Dziesięć metrów przed nimi stanęło dwudziestu czterech żołnierzy z Yorkshire Light Infantry Regiment.

– On!* – Lufy karabinów uniosły się.

– Fire!**

* Cel! (ang.)

** Pal! (ang.)

Zakurzył piasek wydmy za plecami trafionych. Dowódca plutonu egzekucyjnego, który miał oddać strzał dobijający, odpiął kaburę i wystąpił naprzód...

*

Kończyła się kampania afrykańska. Egon i Karol myśleli z radością i żalem jednocześnie, że już niedługo przyjdzie im opuścić Afrykę, gdzie tyle wycierpieli i, co tu dużo mówić – dokonali niemało. Bili się w szeregach Karpackiej Brygady pod El Gazalą i Alamein, walczyli na tysiąckilometrowym szlaku odwrotu Rommla. Zdążyli ukończyć skróconą wojenną podchorążówkę. W bitwie pod Aqafir, miejscowością gdzie przechodzili szkolenie Sondereinsatz, Egon dostał promocję oficerską. Karol awansował z plutonowego na sierżanta podchorążego. Nie byli to już ci chłopcy strzelający z okien Domu Powstańca w pamiętnym wrześniu, nie byli to już dwaj wojenni wagabundzi, lecz zahartowani żołnierze, stare pustynne wygi. Przez kilkanaście miesięcy okrutnej pustynnej wojny okrzepli i zmężnieli, a także – czuli to dobrze – zobojętnieli na śmierć, cierpienie i łzy.

Kończyła się kampania afrykańska. Szybko likwidowano stawiające jeszcze tu i ówdzie opór oddziały niemieckie. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa tygodnie i ruszą do Europy, do Polski...

Kończyła się kampania...

VII

Ostatnie spotkanie

Szosa do Sollum pędziła kolumna carriersów. W pierwszym jechał jej dowódca podporucznik Egon Rozmus. W jednym z następnych wozów siedział z przewieszonymi na zewnątrz nogami jego zastępca – Karol.

Jadąc po osi, po której toczyły się walki pościgowe, oglądali setki spalonych czołgów i samochodów, z których ogromna większość znaczona była herbami niemieckich i włoskich dywizji. Gdziekolwiek leżały nie pogrzebane trupy, niemal doszczętnie ogryzione przez hieny. Wszędzie wały się podziurawione hełmy, części oporządzenia i uzbrojenia. Nad tym wielkim cmentarzyskiem ludzi i maszyn krążyły stada sępów. Gdy tylko kolumna przejechała, opadały, wając się na długich skrzydłach, powoli w dół.

Te makabryczne widoki nie były jednak w stanie zepsuć nastroju jadących żołnierzy. Pociągnawszy dobrze z manierek darli się na całe gardło, śpiewając piosenki, o których z całą pewnością można było powiedzieć, że nie układał ich ksiądz kapelan.

W pewnej chwili carriers dowódcy zahamował tak raptownie, że następne omal nie pozderzały się. Parę metrów przed czołem kolumny stał na szosie australijski żołnierz i dawał znaki „stój”. Drugi leżał koło niego w kałuży krwi. W bok od szosy stał samochód dziwnie

przechylony na bok. Pod potrzaskanymi kołami pojazdu czerniała duża okrągła dziura.

– Co się tu stało?!

Australijczyk przytknął dłoń do kapelusza. – Wskoczyliśmy na minie, panie poruczniku! Diabeł nas podkusił i pojechaliśmy w bok, na przełaj. Bierzcie go prędko – mówił pokazując na rannego kolegę – ma urwaną stopę!

– Że też was cholera tam poniosła! Czy jest tu gdzie w pobliżu jakiś szpital? Co? Dopiero w El Bihr? Karol, ładuj go do swego carriersa i jedź z nim do szpitala. Potem dołączysz w Sollum. Spiesz się.

Egon podniósł dłoń w górę. Znaczyło to: kierunek ten sam, z drugiego biegu, naprzód!

Karol ze swym kierowcą i Australijczykiem ułożyli rannego na dnie carriersa, podesałwszy mu koce. Kikut nogi ściągnęli mocno kocem, ale człowiek z urwaną stopą krwawił nadal. Kierowca pędził tak, że zdawało się, iż gąsienice pozlatują.

Po półgodzinnej jeździe ujrzeli w prawo od szosy jakąś białą plamę. Była to flaga Czerwonego Krzyża. Ruszyli na przełaj pustynią, nie zważając, że mogą w każdej chwili najechać na minę.

Był to szpital. Dziwne tylko, że przed wjazdem na dziedziniec stała angielska warta z zatkniętymi bagnietami na karabinach. Jeden z wartowników, dowiedziawszy się co zaszło, puścił się biegiem naprzód, dając znaki, by jechać za nim. Z namiotów wychodzili ludzie i gapili się na zbryzgany krwią carriers z widoczną satysfakcją. To był szpital niemiecki.

W namiocie, który służył za izbę przyjęć, krzątali się lekarze w mundurach, lecz bez pasów. Ujrzawszy rannego, szybko zaczęli nakładać kitle i maski. Jeden z nich zawołał: – Siostró Anno! – I ze zdziwieniem zobaczył, że jeden z żołnierzy, którzy przynieśli rannego, na pozór zupełnie zdrowy, zachwiał się na nogach. Zapytał przeto:

– Ten także ranny? Proszę go szybko rozebrać!

Karol i Anna stali naprzeciwko siebie. Milczeli. Karol widział Annę jak przez mgłę, z wielkiego jakby oddalenia. Zmieniła się bardzo. Jej gładko uczesane włosy koloru kasztana świeżo z łupiny obranego, przekreślone były wąską, białą smugą idącą od oka do skroni. W kątach pobladych warg rysowały się gorzko dwie bruzdy.

Przelknął z trudem.

- Anno... ja myślałem, żeś zginęła w nalocie. W tym co to...
- Wiem... Nic nie mów, jeszcze przez chwilę nic nie mów.
- Mówisz jak wtedy, kiedy...
- ...chciałeś mnie zabić.

Postąpił o krok, lecz Anna cofnęła się.

- Anno, czy ty się mnie boisz?

Zaprzeczyła ruchem głowy. – Już nie. Teraz już nie.

Uśmiechnęła się. Był to uśmiech rozdzierający, na którego widok zbiera płacz lub gniew.

- Anno...
- Wiem. Już wiem wszystko. Niczego nie tłumacz.
- Anno, tyś mnie nie wydała.
- A tyś mnie nie zakłuł nożem. Jesteśmy skwitowani, Peter, mój mały, słodki, głupiutki Pet! Ślicznie wyglądasz, zmężniałeś. Nie śmieję się ze mnie, to ja jestem głupia...

- Nie płacz, Anno...
- Nie płaczę: Śmiać mi się chcę, wiesz? Ze wszystkiego. Boże mój, jakie życie jest piękne!

– Masz rację. Teraz już się nie rozstaniemy. Anno, ja ci całym życiem wynagrodzę tamten przeklęty wieczór, ja zrobię wszystko...

– Mon petit. Nic nie zrobisz, bo nic tu zrobić nie możesz. Odeszliśmy od siebie tak daleko. Ja jestem w niewoli, może mnie repatriują... Ty pójdziesz w inną stronę. Tak musi być, Peter.

- Czy ty mnie... jeszcze kochasz?
- Tak.

- Więc zostaniesz ze mną.
- Nie, Peter, to niemożliwe.
- Kłamiesz, że mnie kochasz!

Nie odpowiedziała. Patrzyła w niebo ponad jego głową lśniącymi od łez oczami.

– Ja rozumiem, że po tym wszystkim nie możesz mnie kochać, Anno.

– Kochałabym cię nawet wtedy, gdybyś zabił moją matkę, ojca i małego braciszka. Kochałabym cię nawet wtedy, Pet. Co ty dzieciaku wiesz o miłości?

– Wiem tyle, że się z tobą nie rozstanę.

– To niewiele wiesz. Słyszysz? Twój żołnierz już zbiera się do odjazdu. Ładnie ci w tym mundurze, Peter. Już idą po ciebie.

Biegający żołnierz przystanął, obrzucił ciekawym spojrzeniem niemiecką sanitariuszkę, podniósł dłoń do hełmu.

– Carriers gotowy, panie podchorąży!

– Czekać!

– Rozkaz!

Obejrzała się za odchodzącym carrierzystą i w tej chwili Karol chwycił ją w objęcia. Tulił do siebie i całował szybko, zachłannie. Nie oddawała pocałunków, ale i nie uchylała warg. Płakała cichutko, bezradnie, jak mała dziewczynka.

Puścił ją i odstąpił na krok.

– Przekonałaś mnie. Tak, musimy się rozstać. Teraz widzę, że byłem w twoich rękach zabawką, ćwiczeniem, wprawką, etiudą przed kolejnym romansem. Gdybyś mnie naprawdę kochała, poszłabyś ze mną. Więc bądź zdrowa, Anno...

– Żegnaj, mon petit. Bądź szczęśliwy. Bądź tak szczęśliwy jak ja, kiedy byłem przy tobie. Podaj mi rękę. O, tak. A teraz idź.

Odwrócił się na pięcie. Szedł twardym miarowym krokiem. Żołnierze byli już na miejscach. Motor carriersa warczał. Kierowca zmrużył oko.

– He he, ale pan podchorąży ma gust! Kobita pierwsza klasa. O rany, jakie zderzaki!...

– Zamknijcie pysk! Nikt was się o nic nie pyta, zrozumiano?!

Zdziwiony żołnierz umilkł. Karolowi zrobiło się przykro. Nigdy w ten sposób nie mówił do swoich chłopców.

– Są, widzicie, Buraczyński, takie sprawy. Ta kobieta... jak by to wam wytłumaczyć?... No, słowem, ta kobieta...

Kierowca skinął ze zrozumieniem głową:

– Wiadomo – powiedział poważnie.

*

Gdy wyjechali na szosę, nad Gambutem wschodził księżyc. Wielka czerwona tarcza powoli wychylała się zza horyzontu. Szybko rozmazywały się w blasku długie cienie wydm. Było cicho i jasno. Gdzieś nad pustynią ważyły się sępy...

VIII

O siódmej na rynku po wojnie

– Masz rację, Egon. Ja sam widzę, że coś się między nami popsuło. To chyba nie twoja ani nie moja wina. Ale ja ją chciałem zabić. To już we mnie zostanie do końca życia.

– Słuchaj, stary! Szło o wielką rzecz, o operację KAIRO. Dla tego celu gotów byłem sprzątnąć nawet ciebie. Taka jest wojna, bracie, i nic na to nie poradzimy. Udało nam się. A reszta to fraszka.

Karol skinął głową:

– Dla ciebie tak. Ale ja...

– Co ty? Inny jesteś, lepszy, prawda? Taki tkliwy, czuły, szlachetny. Przyznaj się. Masz mnie po prostu dość. Mnie i naszej przyjaźni. A więc to tak...

Leżeli na plaży. Wystarczyło wyciągnąć rękę, aby zanurzyć ją w ciepłej, lazurowej wodzie. Morze podchodziło do brzegu delikatnym rozkołysaniem fali. Daleko na błękitnym horyzoncie czerniały drobne punkciki. To brytyjskie okręty strzegły odpoczynku „szczurów pustyni”.

– Tak albo nie tak, Egon. Wszystko mi już obrzydło.

– Wszystko, to znaczy co? Wojna? Wojsko? Czy nie za wcześnie trochę?

– Nie to. Afryka mi obrzydła. To niebo, ta pustynia. Bóg wie,

jak długo będziemy tu jeszcze kisać. Wiesz, Egon, ja chyba...

– ...pójdę się przespać. Tak, to ci dobrze zrobi.

– ...przenieś się.

– Może do innego hotelu? Polecam „Europejski”, ten na Mariackiej. Pełny komfort.

– Daj spokój. Pójdę do lotnictwa. Ogłosili przecież w rozkazie, że kto chce, może się zgłosić. Wyjadę do Anglii, będę latał nad Niemcy.

– I rzucał zamiast bomb róże na domek twojej błękitnookiej Anny?

– Egon. Ty o niej...

– No, dobrze już, dobrze. Nie wygłupiaj się, stary druhu. Ja wiem, że mam cholerną naturę. Jeśli uważasz, że nasza przyjaźń funta kłaków nie warta...

– Wcale tak nie uważam. Ja po prostu nie mogą być razem z tobą. Teraz. Na jakiś czas...

– Dobrze. Być może, że właśnie tak trzeba...

*

„Cape Douglas” odbijał od molo. Na jego pokładzie stali ochotnicy wyjeżdżający do Anglii, do lotnictwa. Żegnali ich towarzysze z kompanii, baterii, szwadronów.

– Złamcie pysk!

– Do zobaczenia!

– Spotkamy się na defiladzie w Berlinie!

Dwaj młodzi oficerowie długo i w milczeniu ściskali sobie dłonie, a potem padli w objęcia.

– A więc pamiętaj, Karol. Spotkamy się na drugi dzień po wojnie na rynku pod teatrem, punktualnie o siódmej.

– Tylko się nie spóźnij, Egon!

– Nie ma strachu!

Statek odbijał powoli.

– Karooool! Napijemy się wódki?

- U „Wojki”?!
 - Niech będzie, u „Wojki”!
 - Egoon! Na wszelki wypadek będę czekał dłużej, gdybyś miał się spóźnić!
 - Ja też zaczekam!
 - A jak byśmy się po cywilnemu nie poznali, to wołaj co pół minuty: KAIRO!
 - Dobra! KAIRO!
- Ktoś stojący obok Egona spojrzał zdziwiony. – Cairo?
Przecież oni płyną do Anglii.
Egon skinął głową. – Oczywiście, do Anglii – chociaż niektórzy do Polski...

Spis treści

Kryptonim „Gefreiter”

I. Godziny mroku	7
II. Rozkołysało się morze	55

Abwehra straciła trop

I. Abwehra jest na tropie	95
II. Żołnierze SE	111
III. Siostra Anna musi pójść za Kossewskym	123
IV. Uciekaj beze mnie	139
V. Vorwärts!	152
VI. On! Fire!	161
VII. Ostatnie spotkanie	166
VIII. O siódmej na rynku po wojnie	171